KWIECIEŃ — MAJ — [redacted] 1936

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

Nr. XLVIII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

S. A. Z. G. „Drukarnia Polska“, Warszawa, Szpitalna 12, Tel. 5-87-98.
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z. o. o.

2

TREŚĆ:

O D E Z W A

w sprawie jednomiljardowej daniny narodowej na zbrojenia.

Rodacy!

Prawdziwy patrjotyzm w dwóch tylko wyraża się realnie przejawach: w daninie krwi i w daninie mienia.

Daninę krwi, choć wcale się przed nią nie wzdragamy, może nierychło trzeba nam będzie znowu złożyć — miejmy nadzieję! Ale zato obecne położenie państwa, jak również słusznie przez ogół wyznawana idea Ojczyzny Mocarstwowej, wymagają od nas niewątpliwie daniny mienia.

Obowiązek ten, prawdziwie i realnie patrjotyczny, spełnimy najlepiej, inicjując wśród nas — ogółu prywatnych sfer obywatelskich — formalnie dobrowolną, ale moralnie wszystkich obowiązującą, bo z głębokiego płynącą przekonania, jednorazową ofiarę zbiorową w kwocie możliwie jednego miljarda złotych na wzmożenie i przyśpieszenie uzbrojenia naszej armji, zwłaszcza lądowej i powietrznej.

Znamy dobrze ciężkie położenie gospodarcze szerokich sfer obywatelskich. Ale wiemy również, iż wielu jest jeszcze, nawet bardzo wielu, których stać na wydatne przyczynienie się do takiej akcji składkowej. A zresztą na tak doniosły cel powinny znaleźć się choćby skromne ofiary nawet ze strony najmniej zamożnych. Wiemy wreszcie napewno, że szeroki ogół obywateli może złożyć znaczne sumy, choćby tylko robiąc pewną ofiarę przez jakiś czas ze swych różnych rozrywek, nie mówiąc już o większym prywatnym wysiłku.

W takim czynie i zbiorowym porywie, bez żadnego zewnętrznego nacisku, ale wyłącznie tylko z przekonania dokonywanym, ujawnia się dopiero prawdziwa moc i tężyzna narodu. Wszystko inne jest pustym i łatwym frazesem, który nic nie kosztuje i właśnie dlatego nie ma żadnej głębszej wartości. I niema żadnej potrzeby w takim wypadku wdawać się w dyplomatyczne rozważania i pytać na prawo i lewo, czy można, czy wypada, czy należy? Wszak złożyć ofiarę na potrzeby Ojczyzny — i to potrzeby tak oczywiste, tak bezsporne — wolno każdemu!

To też redakcja miesięcznika „Nasza Przyszłość“, poświęconego — jak wiadomo — szczególnie opracowywaniu i propagandzie różnych, ważniejszych problemów państwowych, a wśród nich zwłaszcza walce z komunizmem i z tem wszystkiem, co na tle ekspansji komunizmu w Europie może od zewnątrz Polsce grozić, uważa za konieczne wystąpić z inicjatywą takiej jednorazowej, miljardowej daniny obywatelskiej na rzecz uzbrojenia państwa, rozpocząwszy w dniu 14-go maja listę składek skromną kwotą 50 zł., złożoną na ręce Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, p. generała Edwarda Śmigłego-Rydza. Skromna to ofiara, ale nie stać chwilowo na większą redakcję wydawnictwa miesięcznego, które nie rozporządza żadnym kapitałem i nie ma za sobą, jak wiadomo, żadnej finansującej grupy. Ale w zakresie swego zasięgu oraz przy pomocy Związku Polskiej Myśli Państwowej, w którego skład wchodzi redakcja nasza, jako osoba prawna, postara się Nasza Przyszłość o odpowiednią propagandę dalszych i możliwie wydatniejszych składek, wzywając równocześnie całe polskie społeczeństwo do podjęcia, wzmożenia i rozpowszechnienia tej inicjatywy. Wyrażamy przekonanie, że nikt, kto

naprawdę jest patrjotą i kto głębiej rozumie żywotny interes zarówno państwa, jak i obywatela, nie uchyli się od złożenia tej daniny w wysokości, odpowiadającej jego istotnym możliwościom materjalnym.

Równocześnie zawiadamiamy, że otwieramy w administracji naszego wydawnictwa — Warszawa, Żórawia 11 m. 8 — oraz na rachunku wydawnictwa w P.K.O. Nr. 22.875 osobną rubrykę na przyjmowanie składek, które kierować będziemy co pewien czas do rąk Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych lub gdzie z jego polecenia będzie wskazanem i z których sprawozdania ogłaszać będziemy w kolejnych tomach Naszej Przyszłości.

W pierwszym zaś rzędzie kierujemy niniejszy apel do wszystkich Członków i Sympatyków „Związku Polskiej Myśli Państwowej" oraz stałych Prenumeratorów „Naszej Przyszłości".

Warszawa, 14 maja 1936.

Dr. Jan Bobrzyński
wydawca miesięcznika „Nasza Przyszłość".

WYJAŚNIENIE

Aby z góry zapobiedz wszelkim możliwym nieporozumieniom, względnie jakiejkolwiek, pod pierwszem wrażeniem powyższej odezwy mogącej powstać krytyce, o którą, niestety, tak zawsze u nas łatwo, uważamy za wskazane podnieść, iż chodzi nam oczywiście i przedewszystkiem o pierwszą inicjatywę, o danie impulsu i zaktywizowanie możliwie najszerszych sfer społeczeństwa w kierunku stopniowej, konsekwentnej realizacji projektu — nie zaś o zamiar natychmiastowego wydobycia ze społe-

czeństwa takiej właśnie ogromnej sumy, którą wy=mienia odezwa. Zdajemy sobie aż nadto dobrze sprawę z doraźnych możliwości, to też owego mil=jarda złotych nie rozumiemy w postaci jakiegoś ter=minowego rezultatu, ale przedewszystkiem jako cel i hasło ogólne, do którego urzeczywistnienia, w miarę sił i możności, zmierzać należy.

Nie chcemy również odezwą tą wzniecać żadne=go szczególnego niepokoju, ani tem mniej podej=mować próby podniecania społeczeństwa w kierun=ku niezdrowego imperjalizmu. Chodzi nam tylko o fakt, prosty i bezsporny, że eksponowana geogra=ficznie Polska winna być, zdaniem naszem, jeszcze więcej uzbrojona dla zapewnienia sobie pokoju i autorytetu, niż jest w tej chwili.

Pragniemy wreszcie wlać realną treść w popu=larne, ale zbyt często bez głębszej myśli powtarza=ne hasło Polski mocarstwowej, a przez skierowanie umysłów i wysiłków ogółu obywateli na tory praw=dziwie doniosłego celu skojarzyć ogół bezpośrednio z pojęciem mocarstwowości państwowej.

Całkiem zaś szczególnego znaczenia nabiera ak=cja taka w okresie, kiedy bolszewizm wciska się do naszej ojczyzny wszelakiemi drogami z niebywałą poprzednio siłą, a nadto okrąża nas politycznie i mi=litarnie groźnym łukiem także już i od południa, wyzyskując, niestety, zbyt zacieśnione stosunki, ja=kie panują od dłuższego czasu, a zwłaszcza od paru lat ostatnich, między Rosją a Czechosłowacją. Te=go niebezpieczeństwa, stanowiącego fakt, całkiem niestety realny, lekceważyć nie wolno Polakom, na=wet tym — i przedewszystkiem tym — którzy pra=gnęliby jaknajlepszego ułożenia się w przyszłości polsko=czeskich stosunków. Niech pamiętają o tem, że stosunki te w każdym razie tem korzystniej i pręż

dzej się ułożą, im większą będzie militarna potęga Polski.

Podobnie niech myślą ci, którzy — zależnie od swej orjentacji politycznej — pragnęliby zabezpieczenia normalnych stosunków z Niemcami i Rosją, z tem oczywiście, że Rosja zaprzestanie dotychczasowego, wprawdzie nieoficjalnego, nie mniej jednak bardzo intensywnego popierania penetracji komunizmu do Polski i podniecania w naszem państwie wszelkich fermentów i agitacji rewolucyjnej, a Niemcy zlikwidują definitywnie akcję antypolską, która — wbrew wyraźnym oświadczeniom ich kanclerza — ciągle jeszcze jest kontynuowana. Ale pożądana normalizacja stosunków z temi państwami rozwijać się może na serjo właśnie tylko w miarę wzrostu militarnej potęgi Polski.

Nie może ulegać wątpliwości, że — mimo wszelkich usiłowań — moc pieniędzy marnowała się dość nieproduktywnie, albo nawet i całkiem nieproduktywnie przez długi szereg lat w naszym kraju. Powszechna na tym punkcie panuje zgoda. Niechże więc raz zdobędzie się społeczeństwo polskie — bez jałowych dyskusyj, krytyk i partyjno-politycznych „wątpliwości zasadniczych" — na skoordynowany wysiłek w jednym, oczywistym, wyraźnie określonym, a niezbędnym kierunku!

Nie pytajmy, ile i kiedy się zbierze. Nie bawmy się w jasnowidztwa optymizmu lub pesymizmu. Nie żądajmy — jak to niestety z reguły u nas bywa przy każdej nowej inicjatywie — aby pomyślny jej wynik był odrazu, zgóry, niejako „hipotecznie" zapewniony. Bierzemy się w dyscyplinowanym odruchu do dzieła tak, jak nam tego przykład dały choćby w ostatnim czasie pewne narody — niekoniecznie najbogatsze — które jednak dla siebie wielkich dokonały rzeczy.

Uważaliśmy za wskazane zapoczątkować akcję składkową wprost na ręce obecnego Naczelnego Wodza armji, wspominając przy tem również o mi=nionej przedwczoraj rocznicy zgonu wielkiego Pier=wszego Wodza. Nie podnieśliśmy bezpośrednio ini=cjatywy powstania *Komitetu obywatelskiego dani=ny Narodowej na uzupełnienie uzbrojenia armji.* Uważaliśmy, że spełnienie pierwszego faktu doko=nanego i wdrożenie starań o dalsze jest ważniejszem od formy organizacyjnej. Nie chcemy się specjal=nie naprzód wysuwać, właśnie dlatego, że dajemy inicjatywę. Niech organizacja wymienionego Komi=tetu wyjdzie z innych sfer społeczeństwa.

Redakcja Naszej Przyszłości.

Zarząd Związku Polskiej Myśli Państwowej uchwalił na posiedzeniu d. 19=go maja przyłączyć się do inicjatywy Redakcji „Naszej Przyszłości" i wezwać członków i sympatyków Związku do skła=dania możliwie najwydatniejszych ofiar.

W POCZUCIU TRYUMFU SŁUSZNEJ SPRAWY.

Czytelnik Naszej Przyszłości, który może doniedawna traktował wydawnictwo to mniejwięcej na platformie zwykłych perjodyków, takich czy innych, w których treści to lub owo może podobać się lub nie podobać, ale które koniec końcem ranżują się w ogólną kategorję „druków", wychodzących i czytanych bez pragmatycznego rezultatu — musi dobrze uświadomić sobie niezwykłą rolę, jaką Nasza Przyszłość, po kilkoletniem, starannem a wszechstronnem przygotowaniu, zaczyna od pewnego czasu odgrywać w kraju i poniekąd, rzec już można, nawet w Europie.

Zwłaszcza bowiem poprzedni, obszerny tom Naszej Przyszłości, przynoszący szereg bardzo aktualnych, programowych artykułów w sprawach zagranicznych i w walce z komunizmem wewnętrznym i zewnętrznym, jak również rozwinięta na tym tle akcja Związku Polskiej Myśli Państwowej, szczególnie w kierunku antybolszewickim, antyczeskim, a prowęgierskim — poruszyły bardzo żywo opinję publiczną w kraju i zagranicą, wywołując tu i tam mnóstwo informacyjnych lub polemicznych artykułów, ogłoszenia przez radjo i wreszcie bardzo wzmożone zainteresowanie samem naszem wydawnictwem. Spotęgował się cały ten ruch jeszcze i przez to, że poszczególne, ważniejsze artykuły wymienionego tomu zostały staraniem różnych sfer, w propagandzie ich zainteresowanych, z upoważnieniem Redakcji rozkolportowane w wielu tysiącach egzemplarzy. Jak zareagowały na to pewne sfery

polskiej opinji publicznej, zwłaszcza sfery partyjno-polityczne różnego autoramentu, skupione dokoła pewnych dzienników? Ujrzeliśmy niezmiernie ciekawe i charakterystyczne zjawisko: odruch społeczeństwa — krótko mówiąc — przyzwyczajonego do jarzma długoletniej obcej niewoli.

Bo z czem wystąpiła właściwie Nasza Przyszłość dla uważnego czytelnika? Da się to streścić w paru lapidarnych punktach, które biją w oczy z każdej stronicy:

1) Zaktywizowanie prywatnej opinji publicznej w kierunku śmiałego, zdecydowanego, samodzielnego myślenia i dążenia w pewnych ważnych problemach zagranicznej polityki narodowej, na podstawie realnego stanu rzeczy, twardego objektywizmu, walnego od sielankowych nastrojów sympatji czy antypatji, a z pewną suwerenną mocą i z pewnym odcieniem miarkowanego imperjalizmu, bez czego wszelkie pretensje i hasła mocarstwowe są pustym frazesem i objawem „megalomanji ze strachu".

2) Walka z niezmierną obecnie ekspansją komunizmu, a raczej wprost już rosyjskiego bolszewizmu, który „rozpiął olbrzymią wstęgę czerwoną od Władywostoku do Madrytu", zdobywając perfidnie kolejno szereg państw pod swe wpływy, a nawet już i władzę i zamieniając różne sfery także i w naszym kraju na swe bezwiedne, ale niemniej posłuszne a szkodliwe narzędzia.

3) Inicjatywa zbliżania się Polski do tych państw większych i mniejszych, ale wszystkich zdrowych i tęgich, nieprzeżartych korupcją wywrotową i zarazą komunizmu, które zapomocą różnych swych ustrojów, dyscypliny społecznej i państwowej opierają się falom demagogji, bolszewizmu i wywrotu i przedstawiają w cywilizowanej Europie pewne mocne

ośrodki ładu i porządku — choćby ładu i porządku nie w naszym, polskim guście.

4) Wszystko to zaś na podstawie niezłomnej wiary i przekonania w moc państwa polskiego, które jest dzisiaj nadto bardzo potrzebne tej właśnie organizującej się przeciw doktrynom wywrotu Europie i które może i powinno pozwolić sobie śmiało na całkiem swobodną politykę sojuszów, jakie okazują mu się realnie pożyteczne, bez żadnej obawy, ani potrzeby przykuwania się przez to do czyichkolwiek rydwanów.

5) Wkońcu postawiliśmy ogólną tezę, stwierdzoną nauką dziejów po wsze czasy, że najlepszym sposobem obrony swych granic jest — poza rozbudową sił zbrojnych — ingerowanie w odpowiedni sposób w obce sprawy i interesy. Kto bowiem śmiało sprawami obcego, a zwłaszcza sąsiedniego państwa się zajmuje, ten tem samem paraliżuje to państwo w zajmowaniu się jego sprawami.

Nie umiała robić tego i nie uznawała wcale tej sztuki dawna Rzeczpospolita, kurcząc się coraz bardziej w wąskiem kręgu swego wewnętrznego podwórka i dla tego upaść musiała, bo znikła z wszelkiej roli na arenie europejskiej i pobudziła chciwych sąsiadów do coraz większej ingerencji w jej własne sprawy.

Oto, co przyniósł poprzedni tom Naszej Przyszłości. Jakaż była na to partyjno-polityczna reakcja?

Przedewszystkiem rzuciły się na nas z pianą na ustach wszelakie świadomie lub podświadomie działające narzędzia bolszewizmu. Rzuciły się czołowe gazety socjalistyczne, radykalne i endeckie. Ale rzuciły się nie argumentując rzeczowo, nie polemizując z nami na podstawie całości tekstu i tez naszych artykułów, lecz wspólnie stosowaną metodą endecką

wyrywając tu i tam pewne słowa, zwroty, czy fragmenty ustępów, sklejając je perfidnie razem i obrzucając nas na tak kłamliwie skonstruowanych podstawach stekiem bezrozumnych drwin, bezmyślnem wyzywaniem od faszystów, hitlerowców, „zdrajców“, a przedewszystkiem błotem karczemnych wyrazów, jakie w czasach przedwojennych słyszało się tylko w szynkach podmiejskich, ale które dzisiaj weszły widocznie w modę u „wybitnych, znanych i cenionych“ publicystów pierwszorzędnych, a przynajmniej mających się i uchodzących za takich.

Dziwne są, zaiste, metody dzisiejszej publicystyki politycznej i to nawet w pierwszorzędnych organach prasowych, stosowane przez ludzi, którzy skądinąd uchodzą za poważnych, osiwiałych ojców i papieży polskiej publicystyki prasowej. Gdy brak takiemu panu argumentów rzeczowych, albo gdy widzi, że jego najskryciej i najsprytniej ukrywana linja polityczna jest zdemaskowana, wówczas udaje, że przeciwnika lekceważy, nie argumentuje wcale, ale, wysławszy przodem kilka demagogicznych frazesów, obrzuca go potem błotem pospolitych wyzwisk. Bo przecież, jeżeli nam poważny publicysta pisze w poważnym dzienniku, żebyśmy „z naszą polityką poszli do wszystkich biesów“, to przyzna każdy, że takiego argumentu, takiego publicysty i takiego dziennika nie możemy na serjo traktować, choćby taki pan i taki dziennik uważane były za poważne w małokrytycznych kołach pospolitych pochłaniaczy gazet w tramwajach lub kawiarniach.

No, tym razem co prawda atakujący nas gladjatorzy pióra mieli pewną trudność ze znalezieniem kontrargumentów. Rzecz cała bowiem leżała w tem, iż twierdziliśmy, że Czechy stają się coraz więcej placówką wypadową Sowietów i że Francja dostaje się niestety również coraz bardziej pod but bolsze-

wieki. Nasi zaś antagoniści z pod znaku gazet socjalistycznych i endeckich zbijali nas gołosłownie, że wcale tak nie jest. A tu tymczasem nowe wybory francuskie wzmogły siedmiokrotnie ilość komunistów w parlamencie, a ilość komunistycznych głosów we Francji do półtora miljona, nadchodzące zaś najnowsze wiadomości z Czechosłowacji meldują szczegółowo o zbrojeniach sowieckich na terene Rusi Zakarpackiej, Słowaczyzny, a nawet już i rdzennych Czech. Jakgdyby Czechy były moskiewską Abisynją!

Na takie fakta trudno znaleźć w Polsce na serjo usprawiedliwiające, czechofilskie lub bezkrytycznie frankofilskie argumenty. Ideologja słowiańska, reprezentowana u nas głównie przez endencję, bierze po prostu w łeb. I stąd owa piana na ustach, stąd owo bezsilne żygnięcie stekiem wyzwisk, które niczego innego nie dowodzą, jak tylko złego wychowania.

Ale nie to było dla nas niespodzianką. Prawdziwie bowiem ciekawe doświadczenie, bardzo charakterystyczne dla obecnych czasów i mentalności ludzkiej, zebraliśmy z łamów całkiem innej prasy, bliższej nam w każdym razie światopoglądem. Otóż i te dzienniki wydały nam walkę, ale znów nie argumentując wcale, lecz tylko ciskając się na nas na podstawie endeckiej metody operowania wyrwanymi tu i tam i przekręconymi fragmentami. Czytając te gazety i te polemiki, człowiek chwyta się mimowoli za głowę i powiada sobie z prawdziwem przerażeniem: Przecież walczę z bolszewizmem, w obronie państwa polskiego, a jeżeli za to gazety *wszelkich* odcieni atakują mnie pod pretekstem jakiegoś wyrażenia, podchwyconego wśród trzystu stronnic tomu Naszej Przyszłości i wykręconego bez związku z treścią i tendencją całości, więc z tego wynika chy

ba, że... Nie, to przecież nieprawdopodobne — myśleć o tem nawet nie wolno...!

I ciekawa jest niezmiernie — niestety smutnie ciekawa — taktyka naszej prasy. Przez sześć lat wychodzi Nasza Przyszłość i przez całe te sześć lat prasa zupełnie, albo prawie zupełnie przemilcza wszystko, co wydawnictwo nasze przynosi, chociaż o wszelakich innych, nieraz całkiem podrzędnych perjodykach, artykulikach, stowarzyszeniach, wypadeczkach i przypadeczkach aż zanadto detalicznie — z t. zw. obowiązku publicystycznego — donosi. Aż tu nagle, gdy wśród wielu tysięcy stronic naszego wydawnictwa wynajdzie przypadkiem jakiś zwrot, który można nadużyć, przekręcić, pozlepiać i odwrócić, chwytają go skwapliwie nasze hjeny „obowiązku publicystycznego" i, unikając podania istotnej treści i tendencji danego artykułu, rozmazują po szpaltach dzienników perfidnie, albo tylko głupio pozrywane i powykręcane fragmenty.

Co warta taka prasa krajowa i czy chlubną gra w ten sposób rolę społeczną? A już zgoła, jeżeli w ten sposób atakuje — z premedytacją lub bezmyślnie — wydawnictwo, występujące wyraźnie do takiej walki z wewnętrznym bolszewizmem w kraju, na jaką niejeden z trzęsących się ze strachu i związany tysiącznymi względami i względzikami dziennikarz wogóleby się nie odważył, to zapytujemy jasno i otwarcie: na czyją korzyść *w ostatecznym rezultacie* działa taka prasa polska? Czyjem jest bezwiednie narzędziem?

Odpowiadamy bez ogródek: jest bezwiednem narzędziem kominternu i robi to właśnie, czego komintern pragnie, aby robiła. Bo oczywiście komintern nie ma i nie może mieć pretensji, aby poważna, patrjotyczna prasa polska głosiła zasady komunistyczne. Ale wystarcza mu narazie, jeżeli prasa ta

z jakichkolwiekbądź względów i powodów przeciwstawiała się temu, co przeciw bolszewizmowi występuje.

O co poszło w gruncie rzeczy?

Oto w poprzednim tomie Naszej Przyszłości, poświęconym przeważnie walce i zdemaskowaniu ataków bolszewizmu na Polskę od wewnątrz i z zewnątrz, zamieściliśmy, między innymi, dwa artykuły, omawiające właśnie te dwa fronty ataku i rozpowszechniliśmy je w kilku tysiącach odbitek pod zbiorowym tytułem: „Druga inwazja czerwonej Moskwy“. Ponieważ, między innymi faktami, przytoczona tam jest również i znana okoliczność, że bolszewizm penetruje do nas obecnie szczególnie łatwo drogą t. zn. ideologji słowiańskiej, która w korzeniach swych o białą Rosję się opiera, więc endencja, galopująca także na słowiańskim pegazie, dostała ostrego ataku szału — zgodnie i konsekwentnie ze swą zasadniczą ideologją oparcia „słabej“ Polski o „potężną“ Rosję — ideologją, ustaloną i wyznawaną od roku 1905, kiedy to Dmowski i jego akolici rzucili się plackiem przed carskim tronem, żebrząc o miłosierdzie dla Polski, a dla siebie o mandaty w Dumie.

W lochach tajnych jaczejek endeckich ukuto więc czarną zemstę na Naszą Przyszłość. Padło hasło: zlikwidować tego Bobrzyńskiego, który staje się arcyniewygodnym i niebezpiecznym dla białej Rosji i endencji i to tembardziej, że nie należy do żadnej partji i nie wykazuje żadnych pospolitych ambicji politycznych do mandatów, tłustych posad i innych zaszczytów lub korzyści — samo się przez się rozumiejących w zwykłej działalności partyjno-politycznej. A to dopiero niebezpieczny człowiek! Takiego jeszcze nie było! A więc — zlikwidować go bez pardonu!

Ale jak? Broszurę „Druga inwazja i t. d.“ zaatakować trudno, bo komunizm w Czechach i Francji zbyt widoczny. Więc rzuciły się pismaki do gorliwego szperania w ostatnim, grubym tomie Naszej Przyszłości. Aha, jest! Znalazło się zdanie w jednym z artykułów, traktującym wprawdzie mocno i suwerennie stosunki nasze do sąsiadów, ale to zdanie zawiera pewną metaforyczną supozycję, którą można sprytnie wyrwać z całości, pozbawić przez to właściwego sensu i ukuć na tem absurdalne oskarżenie.

Supozycja ta brzmi w oczywistym swoim sensie, związku z treścią całego artykułu, w ten sposób:

Niebezpieczeństwo niemieckie nie jest aż tak wielkie, jak to wielu naszych strachopuchów sobie wyobraża. Kiełkuje bowiem w coraz szerszych sferach niemieckich świadomość, że Polska jest dla niemieckiego Drangu nach Osten przeszkodą nie do przebycia i nie do zmiażdżenia. Wzmaga się tam przeświadczenie, że jeżeli potężne Niemcy, przedwojenne nie były w stanie przez sto pięćdziesiąt lat wynarodowić paru miljonów Polaków w swych granicach, to tem mniej mogłyby dzisiaj marzyć o zgnębieniu dwudziestukilko-miljonowego narodu, nawet dopuszczając supozycję, że jakimś sposobem powiodłyby się nurtujące jeszcze w Niemczech gdzieniegdzie zamiary zaborcze i gdyby Polska miała zostać przez Niemcy zwyciężona. Niemcy zadławiłyby się na śmierć takim kęsem, o ile wogóle zamach taki mógłby się im na chwilę udać. Zdają sobie z tego w Niemczech coraz lepiej sprawę i stąd też niebezpieczeństwo niemieckie daleko jest mniejsze, niż się u nas przypuszcza, zwłaszcza, że Niemcy niebardzo chyba pragną ponownego, bezpośredniego kontaktu z Rosją i to bolszewicką. Dlatego muszą z Polską się liczyć i jest

im ona nawet z ich punktu widzenia potrzebna, jako zapora przed wschodnią nawałą. Dlatego również stać Polskę na prowadzenie samodzielnej polityki, jaką uważa w danym okresie za korzystną dla siebie, a nawet na ewentualne zawieranie antybolszewickiego porozumienia z Niemcami (zarazem z Włochami, Anglją i t. d.) bez niepotrzebnej obawy, że przez to przykutą zostanie do „rydwanu polityki niemieckiej", jak twierdzą u nas różni tchórze.

Taki jest najwyraźniejszy sens odnośnego ustępu w Naszej Przyszłości. Każdego, kto uważnie, przytomnie rzecz przeczyta, musi uderzyć wiara w moc Polski, bijąca z każdego zdania tego artykułu, a zwłaszcza tego ustępu. Tylko Polak, bardzo pewny sił swej ojczyzny, mógł tak napisać.

Ale wystarczyło to tajnemu Fehmgerichtowi w lochach Kurjera Warszawskiego, a także hasełkowym adeptom spolonizowanego dla potrzeby socjalizmu i radykalizmu, aby — z zemsty za broszurę o czerwonej Moskwie — obrzucić Naszą Przyszłość błotem „zdrady narodowej" za „sprzedawanie Polski Niemcom". Podchwycił to zkolei pewien wielki radykał z jakiegoś lewicującego pisma „prorządowego" i odwalił z prasy endeckiej ten sam zarzut. Powtórzyło go bezmyślnie parę innych gazet, prawie napewno nie znając treści naszego artykułu i tendencji całego tomu wydawnictwa.

A Komintern tymczasem zaciera ręce i cieszy się z naiwnie zaciekłych Polaczków. I ma rację, bo Polaczki robią właśnie to, czego on po nich oczekuje!!! Rzecz inna, że Nasza Przyszłość kpi sobie z niegramotnych i niezbyt inteligentnych ludzi, którzy w zapale „dziennikowania od wiersza" zupełnie nie orjentują się w sytuacji i we własnej, bardzo smutnej roli. Ale będziemy dalej robić swoje, bo zarazę bolszewicką trzeba ze szczętem wyplenić, a przede-

wszystkiem społeczeństwo polskie przeciw mimowolnemu, bezwiednemu bronieniu perfidnych interesów bolszewizmu należycie uświadomić i opancerzyć.

Ale widzimy, jaka pod tym względem panuje u nas jeszcze słowiańska słabość i galareta. Żaden góral albański nie byłby tak bezkrytycznym i ślepym wobec równie groźnego niebezpieczeństwa. Ale rodacy nasi uznają najczęściej tylko puste hasełka i frazesy, byle dobrze biało-amarantowym sosem podlane, a nie umieją całkiem patrzeć wgłąb sytuacji i problemów.

Jak najkategoryczniej zastrzegamy się przeciw kawiarnianym zarzutom nietylko germanofilstwa, ale wogóle każdego innego, bezkrytycznego „filstwa" w odniesieniu do jagiegokolwiek obcego narodu, czy państwa, bo wszelkie „filstwo" uważamy stanowczo za mazgajstwo polityczne, no, a my mazgajami nie jesteśmy. A zdradę najżywotniejszych interesów kraju i poniżanie jego autorytetu niech w rzeczywistości kontynuują sobie te wszystkie tchórze, które kłaniają się w pas — nie wierząc w moc własnego państwa — przed każdym bolszewikiem, Czechem, Francuzem, Niemcem czy Yankesem, a zwłaszcza przed każdym zagranicznym komiwojażerem lub — masonem, który zawsze tak strasznie różnym naszym rodakom imponuje, że starają się go niewolniczo małpować! Tryumf zaś nasz polega na tem, że dopiero Nasza Przyszłość wsadziła śmiało kij w zatrute atmosferą bolszewicką mrowisko i nie bawiąc się w sielanki wykazywania czytelnikom z kawiarni lub tramwaju, że bolszewizm, to rzecz nieładna, brzydka, paskudna — o czem dość już nasłuchaliśmy się po różnych zebrankach i pisemkach — wyciąga niemiłosierną sondą nawierzch całe bagno, które pod pokrywką hurrapatrjotyzmu nagromadziła

w kraju naszym od osiemnastu lat „genjalna“ w swo- im rodzaju bolszewicka robota. Bo gdy Nasza Przy- szłość raz do czegoś się zabiera, to niema przelewek, ale — według naszego ulubionego wyrażenia — się- gamy odrazu aż „do wątroby“.

I dlatego z wszelkich zarzutów germanofilizmu, czy jakichkolwiek innych, któreby jeszcze mogły nastąpić, absolutnie nic sobie nie robimy, a bezwie- dne, choć niemniej uparte narzędzia sprytnej tak- tyki kominternu bez miłosierdzia będziemy w kra- ju demaskować. Bo w tak poważnej i niezmiernie trudnej sprawie, jaką jest walka z penetracją bol- szewickiej zarazy, albo wykonać trzeba gruntowną robotę, albo nie podejmować żadnej. Wszelka poło- wiczność, oględność, brak decyzji wyjdą tylko na korzyść bolszewizmu i Sowietów.

Wiemy, że zwyciężyć wkońcu musimy, bo o do- brą walczymy sprawę, a ataki naszych wrogów oparte są na bardzo kruchej, fikcyjnej podstawie wykręcania na opak naszych zdań, oszczerstwie i świadomej złej woli. Bo wiedzą kalumniatorzy, że „zdrajcami“ i „defetystami“ nie jesteśmy. Wiedzą o tem dobrze z czterdziestu siedmiu dużych tomów „Naszej Przyszłości“, które wyszły w ciągu sześciu ostatnich lat!

Ale na czemże polega głównie nasz tryumf — ten tryumf słusznej sprawy — który obwieszczamy w tytule niniejszego sprawozdania?

Polega właśnie na tem, że wszyscy na nas się rzu- cili. Że prasa wszelkich odcieni, od konserwy i sa- nacji, aż do endecji, radykalizmu i socjalizmu, ka- mienuje nas. Co z tego wynika? Otóż wynika jasno, jak na dłoni, że mamy rację. Bo gdyby jedni szcze- kali, a drudzy nas bronili, albo przynajmniej zacho- wali neutralność, to mógłby ktoś ewentualnie jesz- cze poddać integralność naszej racji w pewną wąt-

pliwość. Ale skoro rzucili się na nas w wyjątkowo zgodnym porywie wszyscy, którzy pozatem żrą się między sobą do upadłego i zajmują we wszystkiem z zasady wprost przeciwne względem siebie stanowiska, to widocznie nasza akcja, linja i metoda mają suwerenny walor złotego środka.

Przykłady: Kurjer Warszawski jest w zasadzie antykomunistyczny, ale prorosyjski (t. j. niby prosłowiański), a Czas jest oczywiście również antykomunistyczny, ale zdecydowanie antyrosyjski i ujawnia pewne lekkie skłonności proniemieckie. Obaj jednak rzucili się na nas — endecy z konserwą — w rozczulającym zgodnym porywie. Niech żyje jedność narodowa!

Kurjer Polski jest rzecznikiem interesów „Lewiatana", a więc wielkiego kapitału, a Robotnik zwalcza te krwiopijcze interesy. Ale znów obaj zaatakowali nas jadem i żółcią, pieniąc się w nieprzytomnych ze złości frazesach.

No, wobec tego mamy chyba rację i to tak stuprocentową rację, że cała, zrutynizowana w partyjnictwie prasa krajowa rady sobie z naszą słusznością dać nie może. Arystokraci, socjaliści, prorządowcy, opozycjoniści, narodowcy, międzynarodowcy, przeciwnicy i zwolennicy marksizmu, słowianofile i zwolennicy różnych zachodnich orjentacji — wszystko to wali w nas kamieniami, a niektórzy i błotem. Wali, dlaczego w głębszej istocie rzeczy? Bo wydaliśmy po raz pierwszy „integralną walkę" bolszewickiej zarazie i atmosferze, bo rozcinamy wrzód aż do najgłębszych jego korzeni i dewualujemy, że istnieją w kraju dwie kategorje agentów bolszewizmu: agenci bezpośredni, a więc zdeklarowani bolszewicy, których likwidowanie jest rzeczą przedewszystkiem władz policyjnych, oraz pośredni agenci, przeważnie półświadomi lub całkiem nie-

świadomi tego, że służą w ostatecznym rezultacie swej roli za narzędzia Kominternu, robiąc to właśnie, co Komintern chce, aby robili.

I stąd właśnie zawrzało w całej naszej prasie, jak w mrowisku, w które ktoś głęboko kij zanurzy. Wykazuje się po raz pierwszy, jak daleko wżarła się w komórki społecznego organizmu polskiego bolszewicka toksyna, jak mało wszelakie odłamy tego społeczeństwa i ich organy prasowe są przeciw niej immunizowane i jak słabo przygotowane do prawdziwie skutecznego odporu!

Bo, że tam ktoś powie lub napisze, że bolszewizm, to rzecz brzydka i paskudna, to z tego Komintern tylko się śmieje. Zdawkowe, dziennikarskie kiwania palcem w bucie przeciw potężnej komunistycznej nawale, płynącej, jak hordy Dżyngischana, różnymi torami, żadnego uszczerbku tej nawale z całą pewnością nie zrobią. Natomiast radują się szatańsko władcy na Kremlu i ich podrzędni mandatarjusze, gdy widzą, jak niesłychana dezorjentacja, naiwność i anarchja polska dopomagają im wydatnie przez paraliżowanie głębiej podjętej przez nas akcji odporu oszkalowaniem nas za germanofilów. To zwekslowanie polskiej opinji publicznej względem Naszej Przyszłości z kierunku antybolszewickiego na kierunek antyniemiecki i oskarżenie nas o germanofilski defetyzm jest narazie kapitalnym sukcesem dla bolszewizmu. Bo trzeba tylko choć na jedną sekundę zastanowić się rozumnie, objektywnie: podejmujący integralną walkę z Kominternem Polacy napiętnowani zostają przez własnych rodaków mianem zdrajców kraju pod pretekstem jakiegoś — powierzchownie przeczytanego i całkiem źle zrozumianego — zwrotu o stosunkach polsko-niemieckich! Czy mógł Komintern większego spodziewać się sukcesu!

Ale smutny ten rezultat jest zarazem bezsprzecznie tryumfem dobrej sprawy, którą podjęliśmy. Stoimy w prawdziwej glorji. Cierpimy od bezkrytycznych rodaków za podjęcie walki z bolszewizmem. A przytem wielkie błoto, dotąd przed oczyma zmaterjalizowanego, dojutrkującego i motylkującego społeczeństwa ukryte, wybucha nawierzch, jak owe gejzery błotne, znane w różnych częściach świata. Przerażający ogrom bolszewickiej narkozy i psychozy odsłania się w całej pełni. Ujawnia się, jak dalece Polska, nawet katolicka Polska, stała się bezwiednem narzędziem w rękach wszechpotężnej doktryny wywrotu!

Nasz tryumf — ale niestety bardzo smutny tryumf, jakiego oczywiście wolelibyśmy nie przeżywać!

Teraz wiemy już przynajmniej, dokąd sięgnęły potajemnie macki wroga i z czem właściwie trzeba walczyć, aby akcja antykomunistyczna nie była, jak dotąd, czczą farsą. Pozostawiając więc policji likwidowanie bezpośrednich jaczejek i agentów bolszewickich — w istocie stosunkowo dzisiaj już mniej niebezpiecznych — zwracamy całą naszą uwagę przeciw pośrednim agenturom i mimowolnym rozsiewaczom bolszewickiej zarazy, precyzując oba te wyrażenia w sposób następujący.

„Pośrednim agentem“ — a więc podświadomym — bolszewizmu jest:

1) kto pod jakimkolwiek pretekstem ubocznym zwalcza akcję antybolszewicką,

2) kto ułatwia penetrację bolszewizmu drogą bronienia i szerzenia słowianofilizmu wszelkiego typu, skoro bolszewicy trafnie odgadli, że tą drogą najłatwiej mogą przemycić w Polsce bakcyle swej doktryny.

3) kto ze względów sentymentalnych, a z pominięciem faktów realnych, popiera w Polsce orjentację braterstwa z dzisiejszymi Czechami oraz bezkrytyczny frankofilizm, wobec całkiem oczywistej roli Czech jako bastjonu wypadowego Sowietów i wobec obecnej sytuacji we Francji, w której komunizm i będący pod jego komendą socjalizm i masoński radykalizm rosną do niebezpiecznych dla Polski rozmiarów, osłabiając znaczenie dla nas Francji, jako naturalnej sojuszniczki przeciw ewentualnym zamiarom zaborczym Niemiec, a poddając natomiast Francję coraz bardziej pod wpływ Sowietów,

4) kto ze strachu przed rzekomymi „wymaganiami ducha czasu i postępu" i przed rzekomą „rewolucyjnością" polskiego chłopa i robotnika szerzy małodusznie hasła i programy kapitulacji z prawa własności prywatnej, konieczność wywłaszczania, etatyzację i t. p. — zarówno na podstawie argumentów praktyczno-politycznych, jak i naukowych,

5) kto w dzisiejszej epoce i tak już aż nazbyt rozwiniętej demokratyzacji, lewicowości i wszelakiego hasełkowego postępu, chce w dalszym ciągu jeszcze lewicowość w kraju szerzyć, tworzyć jakiekolwiek „ludowe fronty" i wykorzystywać ciężkie położenie gospodarcze dla tumanienia mas, że przez jeszcze większą postępowość i lewicowość położenie ekonomiczne rzekomo się poprawi,

6) kto, głosząc się szermierzem katolicyzmu, praktykuje jednak taką partyjną nienawiść do innych katolików, wyznających odmienne przekonania polityczne, że przez to szerzy — wbrew podstawowej zasadzie miłości bliźniego — rozdwojenie i wojnę wśród katolików i w danym razie woli łączyć się nawet z socjalistami i innymi wrogami Kościoła, niż koordynować, przynajmniej w najnie-

zbędniejszym stopniu, życzliwe współdziałanie wszystkich sfer katolickich.

Ten osatni punkt ma szczególnie doniosłe, ale i niezmiernie bolesne znaczenie. Niepodobna go jednak nie poruszyć, jeżeli sprawa skutecznej, integralnej walki z bolszewizmem i przewrotem ma być jasno, wyraźnie i bez hipokryzji postawiona.

Nie ulega dla nas najmniejszej kwestji wielka prawda, że najskuteczniejszym puklerzem i zarazem mieczem przeciw bolszewizmowi jest i może być tylko religja katolicka. Ale tem bardziej właśnie winni rozumieć tę prawdę i tę swoją rolę wyznawcy tej religji, a w pierwszym rzędzie oczywiście Duchowieństwo. Otóż nie uważamy, żeby miało to być uszczerbkiem dla Kościoła i dobrej sprawy, jeżeli otwarcie stwierdzimy, że niestety nie wszystkie szersze sfery duchowieństwa spełniają należycie swą rolę. Jest wielu księży, tak partyjno-politycznie zaciętych, że konsolidację świeckich sfer katolickich na platformie oporu przeciw marksowskiej doktrynie stanowczo utrudniają. Praktyczne życie dostarcza niestety codzień smutnych w tym względzie przykładów. Niepodobna wymagać, aby każdy Polak-katolik był absolutnie tego samego zdania w różnych świeckich kwestjach politycznych i do jednej tylko i tej samej należał partji, która rzekomo miałaby monopol zapewnienia wiecznego zbawienia. Takie żądanie byłoby poniżeniem myślącego o państwie obywatela do roli bezmyślnego pod względem patrjotycznym stada. Ale natomiast można i trzeba wymagać, aby każdy kapłan katolicki, bez względu na swoje osobiste przekonania, z obowiązku swego stanu i swej wzniosłej misji odnosił się życzliwie do świeckich katolików wszelkich przekonań, gdy okazują dobrą wolę pracy w jakimś użytecznym dla religji, społeczeństwa i ojczyzny

kierunku. Niestety, złożyć należy świadectwo prawdzie, że zbyt często tak nie jest. Zbyt wiele codzienne doświadczenie wykazuje odstręczających przykładów. Zacietrzewiony politycznie ksiądz, natchniony jakimś dziwnym w tym względzie fanatyzmem, odnosi się z miejsca wrogo do najlepszego nawet katolika i do najlepszej sprawy, jeżeli przypadkiem katolik ten lub sprawa nie noszą na sobie wyraźnego stempla partji, której ów kapłan jest nazbyt duszą i ciałem oddany.

Zebraliśmy ostatnio i pod tym względem jedno smutne doświadczenie więcej. Co robi ktoś, gdy otrzyma nadesłaną skądkolwiek propagandową ulotkę czy broszurę? Albo ją przeczyta i zaaprobuje w swem przekonaniu, albo wrzuci poprostu do kosza — i sprawa skończona. Całkiem inne natomiast ma znaczenie, jeżeli ktoś, otrzymując bezinteresownie, dla okazu lub propagandy przesłaną broszurę, odsyła ją, zaznaczając na niej pisemnie, że jej przyjąć nie chce. To już wyraźna demonstracja.

Otóż rozesłaliśmy niedawno znaną czytelnikom naszym broszurę przeciwbolszewicką w czterech tysiącach egzemplarzy, zawierającą odbitkę dwóch artykułów z Naszej Przyszłości pod wspólnym tytułem „Druga inwazja czerwonej Moskwy“. Wśród tego była pewna ilość, zaadresowana do szerszych kół duchownych. Nikt nie żądał za to zapłaty, każdy adresat, któremu się broszura nie podobała, mógł ją spokojnie rzucić do kosza lub do pieca. Ale oto kilkudziesięciu księży zwróciło nam ją ostentacyjnie. Dlaczego? Bo w jednym z artykułów broszury znajduje się poważnie ujęta, źródłowym materjałem poparta odpowiedź, dana przez nas pewnemu partyjnemu pisarzowi, który zaatakował nas poprzednio z powodu podjętej przez nas walki z komunizmem i przez to samo zrobił mimowoli wra-

żenie, jakoby brał komunizm w obronę. Należało więc dać mu odpowiedź spokojną, rzeczową, kulturalnym stylem ujętą.

Ale to już wystarczyło tym kilkudziesięciu księżom, jednostronnie partyjnie nastawionym, że otrzymaną broszurę, jak gdyby trądem zarażoną, demonstracyjnie odesłali.

Nie wdając się w żadne dalsze komentarze, zapytujemy, czy w takiej atmosferze łatwą jest prawdziwie skuteczna walka z bolszewizmem i innymi wrogami religji?

Oto mniejwięcej całokształt sytuacji na początku podjętej przez nas kampanji. Jak z tego widać, walka z dzisiejszym największym wrogiem religji, cywilizacji i polskości jest sprawą niezmiernie skomplikowaną. I na tem tle zrozumiałem staje się dopiero w całej pełni, dlaczego zaraza bolszewicka takie czyni spustoszenia, tak wszystko z nieubłaganą konsekwencją ogarnia i dlaczego dotychczasowa z nią walka, podejmowana przez różne w Polsce czynniki, nie mogła wydać poważniejszych rezultatów.

Pójdziemy bezwzględnie naprzód raz obraną drogą, nie zważając na żadne wstręty i przeszkody ze strony świadomych lub nieświadomych popleczników bolszewizmu i to tem bardziej, że akcja ta już na samym wstępie tak ciekawe — a raczej bardzo nieciekawe! — odsłania nam kulisy.

Na zakończenie musimy tylko jeszcze rozprawić się dodatkowo i specjalnie z redakcją „Czasu“ warszawskiego, którego atak najbardziej nas zdziwił i który dlatego na osobną zasługuje odpowiedź. Ale tę przenosimy do następnego artykułu.

ROZPRAWA Z „CZASEM“ I Z INNĄ PRASĄ*)

„Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze;
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre świszcze,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu“.

Tak twierdzi Mickiewicz. Ale ze mną ten żubr „Czasu“ całkiem inaczej postąpił. Bo gdy rzuciłem granat w gąszcz zbolszewizowanej w Polsce atmosfery i gdy granat ten pękł, jak piorun, odsłaniając łom bolszewizmu aż do najgłębszych korzeni, to żubr wprawdzie nie uciekł, ale zato, potrząsając brodą, wylał łzy krokodyle — tak jest: żubr wylał łzy krokodyle! — nad moją rzekomą zdradą ojczyzny. Wyzwał mnie od „germanofilów“!

I dlatego podnieść się muszę z pod ciężkiej płyty granitowej, którą przywalono mnie w dniu 20-go lutego 1933 roku i spojrzeć w twarz tym, ongiś mnie bliskim, którzy mnie w ten sposób ośmielili się zbeszcześcić i zaatakować. Nie mam wprawdzie innej w ręku broni, oprócz mego historycznego kaduceusza, ale wystarczy on aż nadto na żubra „Czasu“.

Nie dbam o ujadania partji politycznych. Żądza popularności była mi zawsze obcą. Ujadała na mnie dawniej szlachta, dziś demokraty... Nie dbam o to. Ale nie ścierpię krzywdy od tych, którzy dzięki mej

*) Drukowane i rozpowszechnione w broszurach przed wykończeniem całego niniejszego tomu.

interwencji mogli przez pewien czas w nowoczesnej, demokratycznej Polsce pewną rolę odgrywać!

Zrobiliście mnie germanofilem, powtarzając bezkrytyczne plotki. Zapomnieliście, że gdy król mój, Zygmunt, dozwolił Brandenburczykowi zdradziecki hołd złożyć sobie wśród waszego — szlachty polskiej — tryumfalnego nastroju, zamiast mądrze wypędzić go z Prus za dziesiątą granicę, to ja jeden siedziałem wówczas pogrążony w smutku na Rynku krakowskim.

A później, po upływie wieków, w innych stosunkach i dziejach, za Polski wskrzeszonej, po przewrocie majowym, za waszego wielkiego politycznego rozkwitu, gdy zainspirowałem w „Naszej Przyszłości" tezę, że dobre stosunki z Niemcami można utrzymać tylko pokazując im pięść opancerzoną, gdyż to tylko rozumie pruska natura, to wy napadliście na mnie z krzykiem, że wydaję Niemcom wojnę, że Niemców przyciągać należy przedewszystkiem „korzyściami ekonomicznemi", a więc czapką, papką i solą...

Takie było wasze mniemanie kilka lat temu. A dziś, kiedy w niemniej pancernych wobec Niemców enuncjacjach twierdzi Nasza Przyszłość, że Polska dość jest mocarna i potrzebna Europie, aby, bez żadnej obawy przykucia się do rydwanu polityki niemieckiej, móc pozwolić sobie — zawsze czujnie z bronią u nogi! — na porozumienie z Niemcami w sprawie wspólnej obrony przed bolszewicką nawałą, gdyż przeżarta komunizmem narazie Francja, paktująca z Sowietami pod przewodnictwem żyda-socjalisty Bluma, nie może nam niestety dać żadnej w tym względzie pomocy, to wy, wykręcając się nagle, ośmielacie się piętnować germanofilem mnie — Stańczyka!!!

Wiedzcie więc o tem, że ja się nie zmieniam,

o konjunktury nie dbam, eksperymentów nie robię i pozostałem tym samym, *bez najmniejszej różnicy*, jakim byłem zawsze. To wy zmieniliście się. Ja nie!

I wiedzcie to także, że autorzy artykułów w Naszej Przyszłości nie są „nieudolni“, jak mniemacie, ale doskonale orjentują się w sytuacji i lepiej od was wiedzą, o co chodzi. Niebawem przekonacie się sami. Tylko cierpliwości...!

Nienawidzicie mnie instynktownie, bo jestem wam niewygodny, bo stoję przed wami jako symbol ciągłego wyrzutu sumienia, który chcielibyście zdusić w sobie, wymawiając się sami przed sobą rzekomemi wymogami ducha czasu, postępu, konsolidacji, bieżącej sytuacji politycznej i bo ja wiem, czem jeszcze! Na nic to się nie zda, żeby nawet wszystkie moce ziemskie były chwilowo za wami. Moc ziemska, jak każda łaska pańska, na pstrym koniu jeździ. Wsiedliście na tego konia i pogalopowaliście na nim naprzód, pozostawiając wszystko inne za sobą i gubiąc wasz złoty róg w pamiętnym dniu 20-go lutego 1933 roku. Wyrwaliście wówczas lekkomyślnie te głębokie korzenie, które nawet in rebus angustis moc trwałości wam dawały i z których każdej chwili nowe wytryskać mogły pędy. Dziś jesteście pniem bez korzenia, miotanym falą konjunktury.

Byłem z wami w czasach waszej wielkości, prawdziwej wielkości, gdy po klęsce powstań bezpośredni wasi przodkowie utwierdzali w zgnębionym narodzie, wśród ciężkiego znoju i wśród miotanego na nich gradu kamieni, tak mocarnego ducha, że dzięki niemu — dzięki metodzie autokrytyki narodowej i żelaznej, samodzielniej, pozytywnej pracy państwowej — oswobodzona nagle z więzów Polska zdołała zorganizować się ku zdumieniu całego świata i wielkiemu rozczarowaniu jej wrogów. Przywykłem wówczas do tego, że wasza metoda elitarna,

która was wówczas od pospolitej gawiedzi wyróżniała, polega na bardzo dokładnem studjum ludzi i rzeczy; że każdy własny lub cudzy list, czy artykuł, czy enuncjacja studjowane są jak dokumenty, starannie, uważnie, co do litery i istotnego sensu. Przecież to różniło was głównie od powierzchownej, porywczej tromtadracji innych!

A dzisiaj zapomnieliście nawet o tej sztuce i obowiązku uważnego czytania, nie mówiąc już o tem, że nie umiecie zupełnie czytać między wierszami. Uważnie czytać i należycie, wytrawnie interpretować.

Wszak bezimienny autor z waszego grona, który oskarżył mnie w „Czasie“ o tendencje germanofilskie na podstawie jakoby lektury „Naszej Przyszłości“, poprostu... wcale jej nie zna i nie czyta. Bo zaraz na wstępie powołuje się na podtytuł tego wydawnictwa jako „trybuny *zachowawczej*“, który już od paru lat na okładkach Naszej Przyszłości nie istnieje, zastąpiony podtytułem „trybuny *polskiej* myśli państwowej“. Jakiż więc tom wydawnictwa miał autor w ręku? Oczywiście z przed lat kilku. Ale pisze przecież o naszej enuncjacji z poprzedniego tomu. Więc jakże — czytał, czy nie czytał? Niewiadomo.

W żadnym razie nie zna autor dokładnie Naszej Przyszłości, nie rozumie jej, nie studjuje, a potem nagle — pod wpływem niepoważnego impulsu — strzela w świat artykułem. I to w sprawie ważnej, gdzie ostatecznie o cześć ludzką chodzi...

Tak to się dzisiaj uprawia sztukę dziennikarską! Nie tak to illo tempore bywało — w wielkich czasach krakowskiej szkoły historycznej, przed którą dziś jeszcze nawet przeciwnik z respektem pochyla głowę. Nie tak to bywało w wielkiej epoce krakowskiego „Czasu“, którego każdy artykuł miał walor

historycznego dokumentu, opartego przedewszystkiem na głębokiej, dokładnej informacji.

Dziś spotykam wciąż konserwatystów z pod nowo moderowanych chorągwi, którzy leją żółć na Naszą Przyszłość, albo z wyniosłem traktują ją lekceważeniem, nie znając jej wcale. Niektórzy nie znają jej tak dalece, że jąkają się w samej nazwie, mówiąc „Nowa Przyszłość", czy jak tam. Ale krytykują. Niegramotni! Krytyka nieznanego. Kritik des Unbekannten. Dobry tytuł dla jakiejś filozofji niemieckiej... I odkądże to „Czas" nauczył się metody żerowania na wyrwanym bez związku fragmencie?

Wylewając jednak nademną w ten sposób łzy krokodyle i wspominając, że wydawca Naszej Przyszłości, Jan Bobrzyński, jest synem pewnej wielkiej Tradycji, zapomnieli ludzie z dzisiejszego „Czasu", warszawskiego, kim jestem i w jakiej oni znaleźli się w tym wypadku kompanji i roli? Razem ze Strońskim, Czapińskim i Rzymowskim...

Ja, Stańczyk, oddycham najswobodniej i rosnę najpotężniej i czoło najdumniej podnoszę właśnie wśród gradu kamieni. Wszak wielcy ludzie z dawnej krakowskiej szkoły czego doznawali od szerokich tłumów? Pod jakim to pracowali stale pręgierzem? Piętnowano ich właśnie jako „zdrajców kraju" austrofilów (a więc czemś w rodzaju germanofilów), wrogów ludu i postępu i gorzej jeszcze. Więc i dziś, obrzucony kamieniami przez powierzchowne dziennikarstwo różnych obozów — i to w momencie, gdy śmiało uderzyłem w ton Polski mocarstwowej, zrzucając brzemię trwogi, ugniatające po dziś dzień jeszcze karki naszych polityków i pisarzy, jako smutna pozostałość z okresu niewoli — dumnie podnoszę głowę i odrzucam wam przez ramię:

Mnie waszego nie trzeba uznania!

„*Stańczyk*".

A zaś pod adresem innej prasy polskiej — endeckiej, radykalnej, socjalistycznej — która podobne, a nawet gorsze jeszcze zamieściła na nas ataki, skonstruowane wszystkie sztucznie na wykręceniu jednego zwrotu, czy ustępu, bez związku z treścią i tendencją całości, odpowiada Redakcja „Naszej Przyszłości“, że widzi w tem bezkrytyczne powtarzanie cudzych notatek, albo wykrętną zemstę za rozpowszechnioną przez nas broszurę p. t. „Druga inwazja czerwonej Moskwy“, w której, jak wogóle w ostatnich czasach w naszem wydawnictwie, podjęliśmy planową walkę z komunizmem, atakując także to wszystko w Polsce, co nieraz *pośrednio i bezwiednie wspomaga zamiary Kominternu.*

Ponieważ trudniej wydało się przeciwnikom naszym broszurę tę zaatakować, więc znaleźli się wśród nich gorliwi szperacze, którzy szukać zaczęli wśród trzystu stronic ostatniego tomu Naszej Przyszłości jakiegoś zdania, dającego się zaatakować, w oderwaniu od całości tematu, napuszoną, hurrapatrjotyczną dialektyką.

I znaleźli je — mianowicie w rozdziale, w którym, określając bardzo mocno i wyraźnie konieczność silnego a czujnego stanowiska Polski wobec sąsiadów, zawsze z bronią u nogi, twierdzimy jednak, że Polska dzisiejsza dość jest silna i powinna być dość pewna siebie, aby wobec groźnej czerwonej wstęgi, którą rozwija bolszewizm poprzez Azję i środek Europy aż do Madrytu, zawierać ewentualne porozumienia z tymi państwami, które wykazują odpowiednią tężyznę w odporze bolszewickiej zarazy, bez względu nawet na to, czy łączyły nas dotąd z takiemi państwami sympatje lub dzieliły przeciwieństwa.

Między innemi twierdzimy, że może Polska pozwolić sobie dzisiaj na porozumienie nawet z Niem-

cami w sprawie odpierania bolszewickiej zarazy. Nie wynika z tego wcale, jak twierdzą płochliwi, żeby miała Polska przez to przykuć się do „rydwanu niemieckiego“. Wyobrażenie, jakoby porozumienie Polski z jakiemkolwiek innem mocarstwem miało ją zaraz od niego uzależniać, uważamy za błędną pozostałość z długiego okresu niewoli, która w wielu mózgach jeszcze pokutuje.

Twierdzimy dalej, że niebezpieczeństwo niemieckie, jakkolwiek zawsze czujnym być trzeba, nie jest aż tak wielkie, jak to sobie potoczna opinja wyobraża. Kiełkuje bowiem w różnych kołach niemieckich coraz bardziej przeświadczenie, że Polska jest dla niemieckiego Drangu nach Osten zaporą nie do przebycia. Szerzy się tam świadomość, że skoro potężne Niemcy przedwojenne nie były w stanie zgnieść i zniszczyć narodowo swych paru miljonów Polaków, to tem mniej mogą marzyć Niemcy dzisiaj o podbiciu i zniszczeniu dwudziestukilkomiljonego, zjednoczonego w niepodległem państwie narodu. Przypuściwszy więc nawet na moment—w wyobraźni — że powiódłby się Niemcom przy jakiejś fikcyjnej okazji chwilowo zamach zaborczy, to nawet w takim wypadku zdławiłyby się Niemcy śmiertelnie polskim kęsem. Zdają sobie z tego coraz lepiej sprawę różne sfery niemieckie i dlatego upadają tam dawne zaborcze względem nas nastawienia, a niemiecki Drang ekspansywny zaczyna szukać dróg w innych kierunkach.

A przeświadczenie o tym stanie rzeczy, wraz ze spokojnem, ale nieustannem wzmacnianiem siły zbrojnej państwa, powinno naszemu samopoczuciu państwowemu i naszym pociągnięciom w polityce zagranicznej dać tem większą pewność i tem silniejsze podstawy.

Tak brzmi jasny i oczywisty sens ostatniego to=

mu Naszej Przyszłości, wyrażony w całym szeregu artykułów, a w szczególności: Walka ze światem Marksa — Burza od wschodu — Sowiety nad Dunajem — Bolszewizm w centrum Europy — Przeciw bolszewizmowi, czy za nim? — Tragedja narodu słowackiego — Honorowe odosobnienie.

Ten ostatni zwłaszcza artykuł zawiera tak twarde i rzeczowe pod adresem polityki Hitlera twierdzenia, że szaleństwem jest chyba czynić nam zarzut słabości względem Niemiec!

Trzeba więc albo kompletnej bezmyślności reporterskiej, albo wprost złej woli, żeby z tak skonstruowanego tomu wydawnictwa, z tej jego treści, tak zupełnie odmienne wyciągnąć wnioski na podstawie jakiegoś, w oderwaniu zacytowanego zwrotu. Taką metodą można istotnie najlepszą rzecz wypaczyć i skarykaturować! Jakież to nędzne, marne, niegodne, tromtadrackie...

A kto wyniósł rzeczywistą, ostateczną, realną korzyść z całego tego prasowego na nas ataku? Bez żadnej wątpliwości korzyść tę wyniósł bolszewizm. Ataki te bowiem, bardzo nieoględnie przemyślane, skierowane zostały na wydawnictwo, które w walce z bolszewizmem i polityką Sowietów głębiej sięgnęło, niż jakiekolwiek inne. I aby sparaliżować naszą akcję antybolszewicką użyto z czyjejś strony perfidnego wybiegu napiętnowania nas jako „germanofilów" i *odwrócenia w ten sposób powszechnej uwagi od naszego głównego celu:* od celu zdemaskowania tych sfer w Polsce, które, mimowoli, bezwiednie, ale niemniej dla kraju szkodliwie osłabiają czujność i odporność naszego społeczeństwa na wewnętrzne i zewnętrzne niebezpieczeństwo bolszewickie, wykorzystujące, między innemi, także i nastrój t. zw. słowianofilski różnych kół polskich.

Zagalopowała się więc część prasy polskiej bez-

krytycznie pod jakąś chwilową podnietą. A przecież od prasy, jeżeli ma pełnić należycie swą rolę, mamy prawo żądać, aby opinję swą, w tak ważnych zwłaszcza sprawach, wyrażała nie zdawkowo, lekkomyślnie, według wyrwanych fragmentów, ale na podstawie uważniejszej lektury tego, co chce krytykować.

Zresztą — zdaniem naszem — prawdziwą przysługę Ojczyźnie oddaje się nie „ciętem" piórem i mocnym krzykiem, ale przedewszystkiem czynem. Dlatego najlepszą naszą odpowiedzią na bezkrytyczne ujadanie było przedewszystkiem natychmiastowe zainicjowanie obywatelskiej akcji w kierunku zebrania znacznej, jednorazowej, dobrowolnej daniny narodowej na zbrojenia, którą zapoczątkowaliśmy odrazu składką naszej redakcji i wezwaniem do dalszych składek. Kto się boi Niemców, niech nie krzyczy, nie uprawia taniego hurra-patrjotyzmu, ale niech sięgnie głęboko do portfelu i da na samoloty bojowe, tanki i armaty! Realniejsze to dla kraju, niż zjadliwa krytyka literacka i szarganie czyjejś czci w błocie, co nic nie kosztuje i żadnego nie wymaga wysiłku.

A prasa endecka, która chciała przytem upiec swoją pieczeń i wywrzeć zemstę za nasz list otwarty do jednego z redaktorów Kurjera Warszawskiego, obrzucając nas ulubionym zarzutem germanofilstwa i „zdrady kraju" (wiadomo, że każdy zdrajca, kto nie endek!), niech głębiej zastanowi się nad dość dla niej ważnym problemem, *komu swym atakiem wyrządziła największą przysługę?*

I jeszcze jedno. Dlaczego szereg gazet, które nas zaatakowały, nie zamieścił rzeczowego sprostowania, któreśmy im dawno rozesłali, coprawda nie zaopatrując go w przymus art. 19-go ustawy prasowej? To dziwne...

Redakcja „Naszej Przyszłości".

ZEBRANIE OBYWATELSKIE

w sprawie niebezpieczeństwa czesko-bolszewickiego oraz konieczności sojuszu polsko-węgierskiego

Z inicjatywy Sekcji dla spraw zagranicznych „Związku Polskiej Myśli Państwowej“, w porozumieniu z pewnemi innemi zrzeszeniami, odbyło się 26-go kwietnia w sali kolumnowej Resursy Kupieckiej w Warszawie liczne zebranie obywatelskie i to reprezentujące bardzo szerokie koła stołecznego społeczeństwa, gdyż przybyły na nie także delegacje różnych stowarzyszeń, aż włącznie do przedstawicieli młodzieży akademickiej i różnych organizacyj robotniczych.

Przy stole prezydjalnym zasiedli, oprócz prezydjum Związku P. M. P., zasłużony działacz w akcji zwalczania bolszewizmu ks. prałat dr. Antoni Około-Kułak oraz przybyły z Wilna profesor uniwersytetu Stefana Batorego, dr. Franciszek Bossowski.

Zebranie — w obecności przeszło dwustu osób ze wszystkich sfer społeczeństwa — zagaił prezes Związku, dr. Jan Bobrzyński, następującem przemówieniem *).

„Szanowne Panie i Panowie!

W imieniu Związku Polskiej Myśli Państwowej mam zaszczyt powitać wszystkich obecnych, podziękować za łaskawe przybycie i wskazać, że przystępujemy na dzisiejszem zebraniu do czegoś, do pewnego stopnia niezwykłego w zwyczajnych na-

*) Oba przemówienia podajemy według stenogramu, umyślnie nie polerując ich stylistycznie do druku, aby czytelnikom dosłownie podać, co i jak zostało powiedziane.

szych warunkach na terenie warszawskim. Ma się bowiem dziś odbyć cichy, ściśle prywatny, niemniej jednak bardzo doniosły akt, gdzie przedstawiciele pewnej elity społecznej stolicy mają wyrazić swoje zdanie, swoje przekonanie w zakresie pewnych, nader ważnych spraw państwowych i międzynarodowych, które ogłoszone zostaną zapewne w prasie krajowej i zagranicznej, a o czem wiadomość, wprawdzie w ogólnikowej formie, przedostała się już nazewnątrz i duże wrażenia wywarła.

Akcja nasza, przygotowywana bardzo starannie od kilku lat pod względem naukowym, społecznym i politycznym, wychodzi dziś w pewnym stopniu na światło dzienne i to w momencie, który dla sprawy samej jest szczególnie aktualnym, skoro kraj nasz znajduje się pod groźbą prawdziwego, realnego niebezpieczeństwa. Dlatego też głos obecnych tutaj na sali przedstawicieli inteligencji stolicy powinien odbić się głośnem echem w całej Europie.

Istotnie grozi nam, Szanowni Państwo, wielkie i realne niebezpieczeństwo. Zgnębieni troskami życia codziennego, kryzysem i pogonią za kawałkiem chleba w warunkach wyjątkowo trudnych, widzimy wprawdzie rozmaite wewnętrzne przemiany sytuacji politycznej, które falują w naszym kraju, ale nie zdajemy sobie dokładnie w całej pełni sprawy z grozy niebezpieczeństwa. A jest ono daleko większe, niż było w roku 1920. Wówczas hordy stukilkudziesięciu tysięcy niedość uzbrojonych, źle odzianych żołnierzy bolszewickich spadły na Polskę i bohaterskim porywem naszego narodu zostały odparte. Dziś sprawa ma się zupełnie inaczej. Komintern i wogóle władze sowieckie, przekonawszy się, że dotychczasowe metody wywieszania czerwonych transparentów i głoszenia znanych wszystkim haseł komunistycznych nie dają rezultatu, że to „nie chwy=

ta", bo chociaż chłop i robotnik polski daje się chwilowo podniecić, ale na serjo dziś już w te rze- czy nie wierzy — jęły się zupełnie innej taktyki, która w skutkach swych na dalszą metę może być groźniejszą, niż otwarta inwazja. Zresztą, co tu du- żo mówić — spójrzmy na kraj: Radom, Częstocho- wa, Kraków, Lwów, ostatnio Poznań — trupy i tru- py i setki rannych. Z jakichkolwiek powodów te rozruchy powstały, jest rzeczą pewną, nieulegającą wątpliwości, że zostały one przez komunistów do- kładnie przygotowane i w ostatniej chwili bardzo zręcznie zareżyserowane i przeprowadzone. A ta fala wzmaga się i może iść coraz dalej.

Jak powiedziałem, taktyka Kominternu jest te- raz zupełnie inna. Przedewszystkiem trzeba wie- dzieć, że w ostatnich kilku latach dwukrotnie pró- bowali bolszewicy różnemi sposobami rzucić Pol- skę na zachodnią Europę, czy to na Niemcy, czy na Czechy, czy na inne narody, ażeby przez Polaków wyciągać potem dla siebie z ognia kasztany. Polska zrozumiała sytuację i dwa razy oparła się tym za- kusom. Między innemi oparła się bardzo zręcznie, zawierając pakt o nieagresji z Niemcami. Pakt ten ma takie znaczenie, jak każdy pakt papierowy, nie- mniej jednak przez zawarcie go Polska zaznaczyła wobec całej Europy i wobec Bolszewji, że nie pój- dzie na sugestje Kremla i że nawet przeciw państwu, ze strony którego może nam militarnie najwięcej grozić, t. j. przeciwko Niemcom, nie damy się rzucić dla użytku bolszewickiego delfina.

Wówczas Sowiety jęły się u nas zupełnie innego sposobu działania i to zarówno wewnątrz kraju, jak i odzewnątrz. Wewnątrz zaczęły używać w ciągu ostatnich dwóch lat tego samego systemu, którego używały 10 lat temu wobec narodów azjatyckich. Mianowicie podniecają rozmaite narodowe waśnie,

czy to w sprawach gospodarczych, podburzając jedne warstwy społeczne przeciw drugim, czy wzniecając rozruchy i buntując różne sfery społeczne przeciw władzom polskim, czy usiłując perfidnie rzucić jednych katolików przeciw drugim, czy wreszcie wyzyskując rozmaite hasła nacjonalistyczne, czy walkę między sanacją a endencją i t. d. i t. d. Jednem słowem, wszystkie tarcia i zmagania, które odbywają się u nas w kraju, wyzyskują i potęgują bolszewicy w niesłychany sposób. A przytem żenią przed sobą fale gazów trujących w postaci, której niktby się nie domyślił — w postaci przedwojennej literatury rosyjskiej — Tołstoja, Mereżkowskiego, Dostojewskiego i t. d. I ta filozofja — wysoka bardzo, ale rozkładowa — ten pierwiastek niesprzeciwiania się złu, który w tej filozofji tkwi, oddziaływa na dzisiejszych Polaków, pogrążonych w kłopotach, troskach, niezadowoleniu, malkontentyźmie z powodu przedłużającego się kryzysu. Starają się to wykorzystać bolszewicy, wiedząc, że tam, gdzie znajdzie miejsce książka rosyjska, będzie można zaszczepić stopniowo także elementy bolszewizmu w ten sposób, że się nikt nawet nie spostrzeże. Dlatego można spotkać w antykwarniach naszych książki rosyjskie, przedwojenne i powojenne, po bardzo niskich cenach, tańszych, niż polskie, bo Sowiety dopłacają różnicę kosztów.

Z drugiej strony wykorzystują bolszewicy w sposób niesłychanie sprytny ideologję t. zw. słowiańską, która powstała dawno przed wojną i miała na celu pewne skonsolidowanie się rozmaitych narodów słowiańskich przeciw Niemcom i Austrji. Ruch ten nosił kolejno różne nazwy, czystej słowiańskości, panslawizmu, neoslawizmu i t. d. Tę ideologję wykorzystują bolszewicy w sposób perfidny. Idą oni już nie jako Rosja bolszewicka, ale

jako Rosja narodowa, jako patronka całego ruchu słowiańskiego i starają się w ten sposób osłabić społeczeństwa, które ideologją bolszewicką chcą zarazić, a więc w pierwszym rzędzie Polskę, w drugim Czechosłowację. Poza tą zasłoną ukazuje się jednak bagnet rosyjskiego sołdata, idącego na zachód, dawniej z dwugłowym orłem, a dziś z czerwoną gwiazdą na czapce. I to jest praktyczny rezultat tej całej słowiańskiej propagandy.

W ten sposób przedstawia się wewnętrzna działalność Sowietów w Polsce. Ale na tem nie koniec. Ponieważ przekonały się, że Polska nie będzie im służyła jako taran do rozbijania Zachodu, że Polska, mimo wszelkich chwilowych nieporozumień, trzyma z Francją, jako ze swoją naturalną sojuszniczką, postanowiły Sowiety Polskę okrążyć i korzystając z jednej strony z idei słowiańskiej, której w bardzo sprytny sposób nadużywają do swoich celów, a z drugiej strony z radykalizmu i malkontentyzmu mas, ruszyły na południe od Karpat przez Rumunję, Czechosłowację i Francję do Hiszpanji. Obecnie więc jest już faktem realnym, niezaprzeczalnym, że czerwona wstęga rozciąga się od Władywostoku przez Pragę, Paryż, aż do Madrytu, gdzie do ostatnich czasów nie ustają pożary kościołów i klasztorów. Ale niedość na tem. Oto wzdłuż granicy Karpat, od Użhorodu aż po granicę niemiecką w Sudetach, powstał szereg lotnisk niby czeskich, ale dla których oficerowie sowieccy dają plany i na których rej wodzą zupełnie oficjalnie.

I tu w tem miejscu następuje tragedja, że się tak wyrażę, narodu czeskiego. Prawdziwa tragedja. Gdyby bowiem naród czeski, wyzwoliwszy się z pod panowania austrjackiego, ograniczył się do swoich rdzennych krajów, bogatych i ludnych, t. zn. Czech i Moraw, w takim razie łączyłyby ten naród z Pol-

ską napewno jaknajprzyjaźniejsze węzły i byłby to kraj prawdziwie niezależny. Niestety, powojenne czynniki, które decydowały z poza granic o rozmiarach tworzącej się Czechosłowacji, sięgnęły o wiele dalej, niż pojemność i siły narodu czeskiego mogły zagarnąć. W ten sposób zagarnęły one całe północne Węgry, nietylko Słowację, ale i Ruś Zakarpacką, z którą Czechy nie miały nic wspólnego, a zagarnęły ją nie jako własność, ale jako mandat Ligi Narodów. Tak się stało, że wobec bezkrytyczności ludzi, decydujących w tej sprawie, Masaryk wystąpił jako znawca spraw słowiańskich i zdołał przekonać Wilsona, że nawet Marmarosz Sziget jest ziemią słowiańską i skutkiem tego Czechy objęły mandat nad Rusią Zakarpacką. W ten sposób powstało państwo czechosłowackie, mające 55% mniejszości narodowych i, co więcej, ten wydłużony kształt, niezgodny z żadnemi historycznemi, ani etnograficznemi, ani geograficznemi czy historycznemi granicami. Państwo to gwałtem utrzymuje te mniejszości przy sobie, bo innego sposobu nie ma. Miljon Węgrów, włączonych w granice Czechosłowacji, musi tam stanowić irrydentę. A co się dzieje z narodem słowackim, najbliżej nam poprzez Karpaty pokrewnym? Nie wiem, czy jest to powszechnie wiadomem, ale grozę winno budzić położenie obecne narodu słowackiego. Oto Słowacy są nietylko czechizowani, ale doprowadzeni do największej nędzy, doprowadzeni do tego, że w tym najspokojniejszym narodzie w Europie jest już największy odsetek samobójstw i przestępczości, tak, że poprostu społeczeństwo to jest na wyginięciu. Jeżeli ktoś nie nazywa się Czechem, czy „Czechosłowakiem“, jak się tam mówi, ten skazany jest na emigrację, na bezrobocie i na zagładę.

Co się tyczy Rusi Zakarpackiej, to gdy w roku 1920 hordy bolszewickie zbliżały się do Warszawy,

prezydent Massaryk — który, zdaniem mojem, choć wielki miał autorytet w swojem społeczeństwie, ale nie odpowiadał rdzennej psychice narodu czeskiego i był jakgdyby zgóry narzucony — głosząc po całym świecie finis Poloniae, oświadczył wobec posła sowieckiego w Pradze, że trzeba tę Ruś Zakarpacką jako „anvertrautes Gut" wcielić do Sowietów.

Grunt był więc tak przygotowany, że gdy Sowiety ruszyły w ostatnich latach na podbój państw europejskich, w których radykalizm szczególnie był rozwinięty, bardzo łatwo było im opanować Czechosłowację, tak, że w obecnej chwili w Czechosłowacji rządzi Kreml. Przykład: kiedy chodziło o zmianę ministra spraw zagranicznych i obecny prezes rady ministrów, Hodża, chciał objąć tę tekę, Sowiety zaprotestowały przeciw temu, oświadczając, że tolerują Hodżę jako premjera, ale na ministra spraw zagranicznych życzą sobie kogo innego! I został wybrany za zgodą Sowietów Krofta. Z tego prosty wniosek, że Czechosłowacja zeszła do roli sowieckiej kolonji i bramy wypadowej.

Teraz, niestety, następuje najprzykrzejszy moment mego przemówienia, który muszę poruszyć w imię realizmu narodowego i państwowego, mówiąc o sprzymierzonej z nami Francji.

We Francji powstał obecnie t. zw. Front Commun — Front ludowy, który dotychczas miał 11 komunistów w izbie deputowanych, a teraz, przed nowemi wyborami, już gazety piszą, że będzie miał prawdopodobnie więcej, niż 60, a który wprzągł do swego rydwanu wszystkich socjalistów i — co najważniejsze — także tamtejszą partję radykalną, t. j. partję Herriota, która sprawowała dotychczas rządy we Francji. A zatem oblicze Francji zmienia się, a raczej może się zmienić. Stajemy przed problemem, niesłychanie bolesnym. Francja jest dla nas

naturalną sojuszniczką, jest gwarancją, że Niemcy bezkarnie na nas nie mogłyby uderzyć. Niestety, we Francji wytworzyły się stosunki tego rodzaju, że gdy ambasador sowiecki Potiomkin przeprowadził pakt, na podstawie którego Francja ułatwia pochód Sowietów na zachód i kiedy ten sojusz militarny francusko-sowiecki był ratyfikowany przez parlament i został przyjęty większością głosów, ale większością niedostateczną zdaniem bolszewików, to proszę sobie wyobrazić, że, jak niegdyś Repnin szedł do Stanisława Augusta i robił mu wymówki różnego rodzaju, tak samo ambasador Potiomkin poszedł do premjera Sarraut i robił mu gorzkie wymówki, że wprawdzie pakt przeszedł, ale nie taką większością głosów, jakiej Sowiety sobie życzyły. Wstrzymuję się od wszelkich komentarzy.

A jeżeli przekroczymy Pireneje, to widzimy, że tam jest już wyraźna rewolucja bolszewicka, której brak tylko nazwy. Jest to akcja, która nie tworzy wprawdzie rad robotniczych i chłopskich, ale pali kościoły, wywołuje wieczny zamęt i wprowadza stan nieustannego wrzenia, a więc to, czego bolszewicy we wszystkich krajach pragną: permanentną rewolucję.

Nadomiar złego Czesi, wyciągnąwszy swoje państwo wzdłuż Karpat, odcięli nas od świata. Na granicy czeskiej przeprowadza się ostre rewizje: nie wolno przewozić żadnych prawie gazet polskich. Przelot samolotów polskich przez Czechosłowację do Wiednia i do Budapesztu jest wzbroniony, pozostaje jedyna droga na Berlin. Obywatele polscy, proskrybowani na liście czeskiej — powiedzmy w nawiasie: sowieckiej — nie mogą przez Czechy przejechać, żeby się nie narazić na aresztowanie. Słowem, Czesi odcięli nas od świata. Ale nietylko nas. Bo jest drugi naród, bardzo nam podobny swoją

psychiką, swoją tradycją i swoją racją stanu — drugi naród, który wspólnie z nami pełnił przez długie wieki wielką rolę przedmurza chrześcijaństwa. Są to Węgry. Węgry otoczyła Mała Ententa, w której prym wiedzie Praga. Wprawdzie Jugosławja, która zdaje sobie sprawę z tego, czem to grozi, nie chce się poddać bezkrytycznie komendzie Małej Ententy, a raczej Czech, poddaje się jej jednak część rządu rumuńskiego, z ministrem Titulescu na czele, który przedstawia w Rumunji, wbrew opinji i woli króla, element pertraktujący z Sowietami, a związany bardzo silnie w Paryżu z masonerją Wielkiego Wschodu.

Wielkiem niebezpieczeństwem jest to, że w tej olbrzymiej wstędze, która idzie przez Azję i Europę aż po Pireneje, dwie są moce, które współdziałają, wzmacniając się wzajemnie: z jednej strony wywrotowy radykalizm, który wyraża się w komuniźmie, a z drugiej wielki stan posiadania, skupiony w t. zw. Comité de Forges i in., gdzie gra rolę kapitalistyczna masonerja. Oczywiście, jeżeli komunizm zwycięży, te dwie moce wezmą się za bary, ale tymczasem współdziałają ze sobą, żeby tę wstęgę możliwie rozszerzyć. Równocześnie jesteśmy świadkami, jak Liga Narodów zaczyna się dezagregować, dowodząc całemu światu, że do roli swej nie dorosła.

Taką jest sytuacja. Pragnęlibyśmy, żeby było inaczej. Jesteśmy za pokojem i poszanowaniem wszelkich traktatów. Jako Polacy o poglądach umiarkowanych nie jesteśmy za wywoływaniem jakichkolwiek awantur. Niestety faktem jest, że grunt europejski zamienia się w trzęsawisko i inne formy tworzenia sojuszów stają się aktualne. Zaczyna się zarysowywać front państw, które posiadają wprawdzie różne formy rządów i ustrojów, ale które są za utrzymaniem porządku i ładu i które wyznają jakąś

umiarkowaną doktrynę społeczną. Te państwa zbliżają się do siebie. Państwa natomiast, przeżerane przez komunizm i radykalizm, zaczynają służyć postępowi czerwonej gwiazdy. Miejmy nadzieję, że to się im nie powiedzie, ale narazie tak się dzieje.

Otóż, w jaki sposób zaradzić złemu?

Przedewszystkiem społeczeństwo nasze musi zdać sobie dokładnie sprawę z tego, że należy oponować przeciw wszystkiemu, co jest rosyjskie. Nie wynika z tego — akcentuję to z całym naciskiem — zalecanie kierunku germanofilskiego. Absolutnie nie!

Ale chodzi o to, żeby zdać sobie sprawę, że dziś każda książka rosyjska i wszystko, co ztamtąd płynie, choćby pozornie nawet bardzo piękne i wzniosłe, te Puszkiny, Tołstoje i t. d. — jest narzędziem w ręku bolszewickiem.

Drugą sprawą jest zorganizowanie i uświadomienie społeczeństwa polskiego we wszystkich sferach, żeby zdawało sobie sprawę, iż wszelkie waśnie społeczne, wszelkie rzucanie jednych przeciw drugim, pozornie odbywające się na gruncie zmagań polskich, w rzeczywistości w 9 wypadkach na 10 wykorzystywane są przez Sowiety z ich doskonałą organizacją i z ich olbrzymimi środkami. Oni to Polaków wzajemnie przeciw sobie podjudzają i w ten sposób osłabiają naród.

Pozatem jest rzeczą konieczną, żeby pewna elita społeczna, tak, jak to bywa w innych państwach, mających pretensje mocarstwowe, np. w Anglji, zaczęła, poza sprawami swego najbliższego podwórka, także myśleć i działać na szerszej arenie, wypowiadając swoje zdanie w sprawach, które o losach Polski mogą stanowić. Było zawsze przyzwyczajeniem — niedobrem przyzwyczajeniem — Polaków, że nie lubili spoglądać zagranicę. A jednak jest akcjomatem, potwierdzonym przez historję, że jeżeli

ktoś miesza się sprytnie do spraw sąsiada, tem samem paraliżuje go i wtedy sąsiad do jego spraw się nie wtrąca. Gdyby dawna Rzeczypospolita więcej ingerowała w sprawy sąsiadów, nie byłoby rozbiorów. Bo najlepszym sposobem defensywy jest ofensywa. Jeżeli opinja publiczna polska zacznie wypowiadać się głośno ze stanowiskiem swojem wobec Czechów, Rosji i w innych kierunkach, wtedy te moce, które teraz na nas idą, będą zdewualowane, a następnie w znacznej mierze sparaliżowane.

Związek nasz, pracując od 5 lat, najpierw naukowo, potem stopniowo przechodząc do akcji czynnej, propagowanej piórem i słowem, wypracował pewien plan, który ogłoszony został na zebraniu w tym lokalu cztery lata temu w referacie p. t. „Blok dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy“. Chodzi o te wszystkie państwa, które się znajdują między morzem Bałtyckiem, Adrjatyckiem i Czarnem, a które mogą stanowić z natury rzeczy wał przeciw zalewowi ze wschodu, a zarazem stworzyć większą spójnię w tej aż nazbyt, poszatkowanej Europie środkowo-wschodniej. Propagujemy tę myśl wszelkiemi sposobami i mam wrażenie, że się ona zrealizuje, bo już w prasie zagranicznej odzywają się głosy i zarysowują się kontury bloku środkowo-europejskiego z udziałem Polski.

W koncepcji tej nie wykluczamy udziału Czech. Nie jesteśmy zasadniczymi przeciwnikami Czechów, ale chodzi o to, żeby ich doprowadzić do przytomności, żeby ich wyrwać z tej niewoli bolszewickiej, do której się z własnej winy dostali.

Proszę Szanownych Państwa! Społeczeństwa obecne są w wysokim stopniu zetatyzowane. Wszędzie, gdziekolwiek się mówi i słyszy o jakiejś kwestji zagranicznej, każdy uważa, że za tem stoi rząd, że to robi rząd, który występuje albo oficjal-

nie, albo zapomocą jakiejś organizacji. I ludzie już się do tego przyzwyczalili. Otóż nie jest to zgodne z polską naturą. Chodzi właśnie o to, żeby samodzielnie, ze społeczeństwa polskiego, z pewnej elity społecznej, wyszła myśl, która zacznie działać na opinję publiczną, na zagranicę, na rząd. Bo społeczeństwo, które się niczego nie domaga, musi kurczyć się i wpadać w marazm. Pewna prężność, w granicach taktu i umiaru utrzymana, jest wielkim walorem każdego żywotnego społeczeństwa. Bez tego wyraz „mocarstwowość" jest pustym frazesem.

Otóż tu rzuca się w oczy potrzeba pewnego odporu przeciw napływowi tej fali sowieckiej, a z drugiej strony pewnego odporu przeciwko narodowi czeskiemu, w którym chwilowo (oby później to się zmieniło!) mamy największego, najjaskrawszego wroga, który mobilizuje przeciw nam wszystkich i wszystko. To są fakty zupełnie realne. Nie jest to kwestja przekonań czy orjentacji, ale długi szereg pozadyskusyjnych faktów. Przecież przy pomocy Czech ma bolszewizm daleko łatwiejszą grę, niż gdyby w tem miejscu było jakieś katolickie, zaprzyjaźnione z Polską państwo.

Ale najważniejszą rzeczą, najpozytywniejszym postulatem skutecznego odporu, jest dla nas sojusz z Węgrami.

Proszę Szanownych Państwa! Stulecia historji wykazują, na długim szeregu faktów, że najżywotniejszy interes Polski i Węgier, ze względu na ich położenie geograficzne, ze względu na sąsiadów, ze względu na wspólny napór od wschodu, jest i był zawsze identyczny. To nie są sielanki sentymentalne, zrodzone pod wpływem wypicia paru kieliszków tokaju — to prawda historyczna. Tem się tłumaczy, że w historji tak często nawzajem wymienialiśmy między sobą królów.

Państwo węgierskie jest dziś małe, znajduje się dziś w podziałach, w rozbiorach. Nie tak dawno myśmy znajdowali się w podziałach i mieliśmy rację, żeśmy przeciw tym podziałom całą mocą protestowali. Nie naszą jest rzeczą mieszać się w całokształt tych podziałów państwa węgierskiego, za daleko sięgnęlibyśmy, ale w każdym razie na pewne rzeczy musimy położyć nacisk. Chodzi o to, żeby Węgrom z naszej strony pomóc i to pomóc ściśle w ramach międzynarodowych traktatów, bez żadnych awanturniczych pociągnięć. W roku 1916, w pierwszej fazie wojny światowej, gdy w Rosji panował Mikołaj Mikołajewicz, w Austrji Armeeoberkommando — wiadomo z jaką gospodarką — a w Niemczech gospodarka wojenna, gdzie nie wolno było poruszać naszej sprawy, kiedy premjer francuski delegację polską Komitetu Narodowego w Paryżu, która się do niego zgłosiła, odesłał do ambasadora rosyjskiego, mówiąc, że to jest wewnętrzno — rosyjska sprawa — wtedy w kilkudziesięciu komitatach o ludności rdzennie węgierskiej odbyły się tłumne zebrania, zwołane z inicjatywy tamtejszych obywateli, które żądały od parlamentu i rządu węgierskiego interwencji, aby mocarstwa centralne podniosły sprawę polską, jako sprawę europejską. A kiedy w roku 1920 — trzeba to raz jasno powiedzieć, nie trzeba się tego wstydzić — naród nasz, nie mając dużej armji i opierając się w znacznej części na siłach ochotniczych, zerwał się do walki dla odparcia najazdu bolszewickiego i kiedy nastąpił tragiczny moment, że zabrakło nam amunicji karabinowej, bo Czesi, tłumacząc się podstępnie komunizmem — co było nieprawdą, bo wtedy jeszcze komunizmu w Czechach prawie nie było — zatrzymali transporty amunicyjne, a znów niemieccy robotnicy w Gdańsku zatrzymali również amunicję, przesyłaną drogą morską z

Francji, to wówczas Węgrzy drogą okrężną przez Rumunję dostarczyli nam 20 miljonów naboi karabinowych. Nadeszły one w ostatniej chwili 12 czy 13 sierpnia, przed bitwą warszawską. I to — nie powiem: rozstrzygnęło, ale w każdym razie walnie przyczyniło się do zwycięstwa. To jest usługa, której szlachetny naród drugiemu narodowi zapomnieć nie powinien.

Dlatego na dzisiejszem zebraniu, które poprzedziły rozesłane przez nas liczne odezwy, chodzi nie tylko o to, żeby zapoczątkować prywatnie pewną akcję odporu przeciw bolszewizmowi dla przerwania tej wstęgi czerwonej, która idzie przez Europę i grozi zagładą całej naszej cywilizacji, jeżeli zawczasu jej się nie przeciwstawimy, ale także o to, żeby właśnie z Warszawy, poprzez wszystkie gazety krajowe i zagraniczne, złożyé akt wdzięczności dla narodu węgierskiego, który wspólnie i identycznie z nami cierpiał i który ma identyczne z nami interesy, bo taksamo Polsce, jak Węgrom, zależy na odparciu tej wschodniej nawały. Dlatego zależy na tem, żebyśmy dziś, po rozważeniu tej sprawy, którą jeszcze prof. Bossowski, z uniwersytetu wileńskiego przybyły, nam przedstawi, uchwalili pewne oświadczenia w prywatnem naszem gronie, żeby te oświadczenia były opublikowane i żebyśmy przytem dali wyraz zrozumieniu tego faktu historycznego, iż Polska w dalszym ciągu pełnić musi swoją misję przedmurza od nawały wschodniej, która cichsza jest dziś, ale groźniejsza, niż w roku 1920 i która, jak powiedziałem, zaczyna się zaznaczać w Polsce już nawet w sposób krwawy. Jednocześnie mamy dać wyraz przekonaniu, opartemu na wynikach badań naukowych, że *bez silnej Polski nie było silnych Węgier, a bez silnych Węgier nie było nigdy silnej Polski!*“

Zkolei zabrał głos profesor Bossowski.

„Proszę Państwa! Poprzedni mówca, p. prezes Bobrzyński, mówiąc o niebezpieczeństwie sowieckiem, o tej wstędze płomiennej, która z Kremla sięga już dziś aż po Madryt, wskazał na naszego wiernego, wypróbowanego przyjaciela, jakim jest państwo węgierskie — jakim jest nietylko państwo, ale i naród węgierski.

I rzeczywiście, jeżeli będziemy porównywali historję Polski i historję Węgier, to stwierdzimy dwie prawdy, które rzucają się w oczy. Przedewszystkiem tę, że zarówno w historji Polski, jak w historji Węgier, momenty najświetniejsze, momenty największej siły i potęgi, to były te, kiedy te dwa państwa działały ręka w rękę. Wtedy przeprowadzały one swoją wolę nietylko w Europie środkowej, ale wpływ ich i znaczenie sięgały także dalej, na wschód i na zachód. Równocześnie możemy stwierdzić, że w chwilach najbardziej krytycznych jeden naród znajdował pewną, niezwodną pomoc u drugiego. P. prezes Bobrzyński wspomniał o tych 20 miljonach naboi karabinowych, które przybyły w przeddzień bitwy pod Warszawą, wspomniał też o tych rezolucjach, powziętych samorzutnie w obronie niepodległości Polski, wtedy, kiedy szalała wojna światowa. Proszę Państwa, takich wypadków więcejby się znalazło. Jeden z takich wypadków ośmielę się Państwu przypomnieć.

Wtedy, kiedy Polska została zajęta przez Czechów, wtedy, kiedy król czeski, Wacław II, ogłosił się królem polskim, wtedy, kiedy prawowity nasz monarcha, Władysław Łokietek, musiał tułać się po własnej ziemi i kryć w jaskiniach i kiedy wszyscy go zawiedli, wtedy nie zawiodła go tylko stara przyjaźń węgierska. Później przypieczętowaniem tej

przyjaźni węgiersko-polskiej, która wielkiemu zjednoczycielowi Polski, Władysławowi Łokietkowi, pozwoliła dokonać jego dzieła, było nawiązanie węzłów dynastycznych między dynastją piastowską a panującą na Węgrzech dynastją andegaweńską. Ta nić wzajemnej pomocy i współpracy, zarówno w chwilach pomyślnych, jak w chwilach ciężkich i tragicznych, snuje się przez całą historję Polski i przez całą historję Węgier.

W czem leży tego przyczyna? We wspólności interesów, wywołanej naszem położeniem geograficznem. Zarówno Polacy, jak i Węgrzy, z woli przeznaczenia zajęli miejsce na wschodnich rubieżach świata zachodnio-europejskiego, świata chrześcijńskiego i wskutek tego broniliśmy własną piersią cześcijaństwa i cywilizacji zachodnio-europejskiej przed napadami, grożącymi od wschodu. Historycy podnoszą wiekopomne zwycięstwo Karola Martela, odniesione nad Saracenami, mówią, że to zwycięstwo uratowało chrześcijaństwo, że gdyby nie to zwycięstwo, Europa nie byłaby chrześcijańską, że w Europie zachodniej, we Francji i w innych krajach, panowałby mahometanizm. To jest prawda. Ale takie zwycięstwa odnosiliśmy i my w naszej historji i odnosili je Węgrzy. Były to zwycięstwa, które po wielekroć w ciągu późniejszych wieków świat zachodni, cywilizację zachodnio-europejską i chrześcijaństwo przed tem niebezpieczeństwem, od wschodu grożącem, uratowały. Bywały wprawdzie w historji naszej klęski, bywały one i w historji Węgier, ale to były klęski, które do tego stopnia wyczerpały nieprzyjaciela, że chociaż porażone zostało rycerstwo polskie czy węgierskie, jak to się stało z rycerstwem małopolskim pod Chmielnikiem, z rycerstwem śląskiem pod Lignicą, czy z rycerstwem węgierskiem pod Mohaczem, to jednak nieprzyja-

ciel, osłabiony, już dalej iść nie mógł. W ten sposób dosłownie naszemi ciałami i naszą krwią ratowaliśmy zachód i cywilizację zachodnio-europejską. *I jeżeli cywilizacja ta żyje dziś i rozwija się, to jest w tem zasługa nasza i naszego wiernego przyjaciela — narodu węgierskiego.*

I zarówno w historji Polski, jak w historji Węgier przewijają się te same tragiczne nuty. Oto Austrja, tak przez nas broniona, nie rozumiała wielokrotnie naszej roli i właśnie to niezrozumienie prowadziło nieraz do bardzo tragicznych powikłań w historji Węgier, które Austrja chciała przekształcić w niemiecką prowincję swego państwa. Tak samo nie rozumiała Austrja roli Polski, jako przedmurza swego przed wschodniem barbarzyństwem i rezultatem tego były rozbiory Polski. Wydawało się Austrji, że zagarnięcie sąsiednich prowincji polskich i zgermanizowanie ich wmoże potęgę państwa, co dostatecznie zabezpieczy je przed wzmożoną potęgą Rosji. Nie wiedziała, że Rosja, która umocni się nad Wisłą, wywierać stąd będzie presję na sprawy nietylko w centralnej, ale i w zachodniej Europie. Proszę Państwa, wszyscy znamy, wszyscy pamiętamy te słowa Mickiewicza, wypowiedziane w „Dziadach", kiedy mówi o tych kibitkach, pędzących na Sybir, o tem, jak mieszkańcy Rosji tłumaczyli sobie, kto tam może w tych kibitkach jechać: „Może król pruski, francuski lub saski, lub inny Niemiec wypadł z cara łaski i car go w turmie zamknąć postanowił". W tych słowach jest genjalnie ujęta supremacja Rosji w centralnej Europie, która była następstwem tej krótkowzrocznej niemieckiej i austrjackiej polityki. Istotnie Niemcy, wówczas rozdrobnione na kilkadziesiąt państewek, w osobach swoich poszczególnych władców zeszły do roli wa-

sala Rosji. A kiedy wybuchła rewolucja lipcowa w Paryżu, to zwolennicy rządów Ludwika Filipa że-brali u Mikołaja I łaski, żeby raczył nie interwenjo-wa, bo wiedzieli wszyscy, że jeżeli Mikołaj zechce, to i we Francji zrobi to, co będzie uważał za „zrobie-nie porządku". Do tego stopnia wzmogło się wów-czas znaczenie Rosji!

A jakże jest dziś? Dziś wprawdzie niema cara, jest czerwony wódz Stalin, ale ten teraz nie jest już wodzem proletarjatu, on w Rosji przybiera gesty wodza całego narodu. Jakże się dziś tam, pod pano-waniem Sowietów, sprawa przedstawia? W polity-ce zagranicznej ekspansja ku zachodowi, ta dążność, żeby silniej umocnić się w Europie środkowej i ma-jąc tam umocnioną pozycję, wywierać presję na sprawy nietylko Europy środkowej, ale nawet za-chodniej i południowej — ta dążność i w Rosji dzi-siejszej pozostała ta sama. Tylko sytuacja się zmie-niła, a śmiem twierdzić, że zmieniła się na korzyść Sowietów, a na niekorzyść naszą. Przyczyną tej zmiany jest obecna sytuacja geograficzna państwa czechosłowackiego. Wtedy, kiedy dyplomaci, zasia-dający w Wersalu, a później w Saint Germain, wy-krawali to państwo czechosłowackie, było ono poj-mowane jako jakaś wielka pozycja wypadowa dla Rosji w tym celu, żeby ta Rosja mogła wywierać wpływ na sprawy środkowej i wschodniej Europy. Czechosłowacja na to została obdarowana, wbrew swym warunkom ekonomicznym, żeby w ten sposób zostać połączoną terytorjalnie z Rosją, która miała zwiększyć się przez przyłączenie Małopolski wscho-dniej — czyli, mówiąc po staremu, Rusi Czerwo-nej—i Rusi Zakarpackiej. Ten plan nie został zreali-zowany, ten plan został udaremniony, a został uda-remniony przez polskie zwycięstwo pod Warszawą. Myśmy się utrzymali przy wschodniej Małopolsce,

przy tej Rusi Czerwonej, którą tylekroć kolonizowaliśmy i której tylekrotnie nasi przodkowie przed Turkami i Tatarami bronili. Wskutek tego Czechosłowacja nie uzyskała połączenia terytorjalnego z Rosją sowiecką. Następstwem tego były bardzo daleko idące komplikacje.

Przedewszystkiem pamiętajmy o jednem — o tej Rusi Zakarpackiej, która miała być przyznana nie Czechosłowacji, ale Rosji. Wtedy, kiedy w Rosji już były Sowiety, kiedy rząd bolszewicki był uważany za prowizoryczny, najwyżej 6-tygodniowy, dyplomacja zachodnio-europejska nie chciała tej Rusi Zakarpackiej przyznawać Rosji sowieckiej. Dlatego też, jak Państwo wiedzą, w Traktacie Wersalskim granic wschodnich Polski nie wytknięto, dlatego osobny artykuł Traktatu Wersalskiego ustanawiał, że wschodnie granice Polski zostaną wytknięte później przez państwa sprzymierzone, a wytknięcie tych wschodnich granic miało nastąpić po ustaleniu się stosunków politycznych w Rosji i miało uwzględniać ten stan rzeczy, który przez to ustalenie stosunków zostanie wytworzony. Ale coś trzeba było zrobić z tą Rusią Zakarpacką przy zawieraniu traktatu w Saint Germain en Laye. I możemy bez przesady i nadużycia przenośni powiedzieć, że ta Ruś Zakarpacka została powierzona Czechom jako depozyt, t. zn., że przyznano tę Ruś Czechom, ale lettre d'envoi Milleranda głosił, że przyznanie Rusi Zakarpackiej Czechosłowacji następuje tylko ze względu na niewyjaśnioną sytuację polityczną w Rosji. Co więcej, rząd czechosłowacki ten prowizoryczny charakter swego panowania na Rusi Zakarpackiej konsekwetnie uznawał. To mu trzeba przyznać. Już tu wspominał p. prezes Bobrzyński o tem, że kiedy bolszewicy szli na Warszawę, kiedy zdawało się, że istotnie Polska upadnie,

prezydent republiki czeskiej, Masaryk, uznał obowiązek Czech do zwrotu Rusi Zakarpackiej na rzecz Rosji, jeżeli ta Rosja po pokonaniu Polski zawładnie Galicją wschodnią.

A jeszcze w innej formie i innemi aktami władze czeskie podkreślały, że ich panowanie na Rusi Zakarpackiej ma charakter prowizoryczny. Mianowicie rządy czeskie na Rusi Zakarpackiej, to typowe rządy w prowincji okupowanej, którą się chce wyzykać na to, żeby ją potem, przy sposobności, oddać. Występuje to wyraźnie w takich rzeczach, jak tolerowanie propagandy komunistycznej, oczywiście zupełnie niedogodnej dla burżuazyjnej Czechosłowacji, ale dopuszczalnej na Rusi, skoro ta Ruś Zakarpacka ma być przy najbliższej sposobności zwrócona Rosji. Tem samem tłumaczy się także popieranie propagandy prawosławia, oczywiście zupełnie zrozumiałe przez to, że ta Ruś nie ma pozostawać długo w związku państwowym z Czechosłowacją, że ma być oddana państwu, które ma u siebie tak przeważający, przygniatający odsetek ludności prawosławnej. Ta linja polityczna tylko w ten sposób da się wytłumaczyć.

A również niezmiernie charakterystyczną jest polityka wyzysku ekonomicznego Rusi Zakarpackiej. Przed wojną na tej Rusi nie działo się źle, mimo, że był to kraj niezbyt bogaty, kraj górski — a teraz jest to kraj najstraszniejszej nędzy, jest to kraj, gdzie ludność karmi się stale chlebem takim, jakim myśmy się żywili za najgorszych wojennych czasów. Tak straszny jest wyzysk ekonomiczny tego kraju, wyzysk, który da się prowadzić tylko na krótką metę, a który jest stwierdzeniem, że Czechosłowacja rządy swoje w tej nieszczęsnej krainie uważa tylko, jak powiedziałem, za rządy prowizoryczne.

Ten stan rzeczy stwarza stałe niebezpieczeństwo dla Polski. Z jednej strony Czechosłowacja, która była pomyślana jako państwo, mające kontakt terytorjalny z Rosją, a z drugiej strony Rosja Sowiecka dążą do siebie, jak dwa silne ładunki elektryczne, przedzielone cienką polską ścianą — wąskim pasem wschodniej Małopolski. Tem się tłumaczy, że i od strony Sowietów i od strony Czechosłowacji wre u nas ciągle jakaś robota irrydentystyczna, wre ciągle propaganda antypaństwowa. Ciężko mówić o tak bolesnych rzeczach, o tych aktach sabotażu, podpalania stert, podpalania dworów, organizowania bojkotu antypolskiego, które tam, w tej nieszczęsnej krainie czerwonoruskiej ciągle się szerzą. Ja sam 13 lat tam przeżyłem, znam nietylko Lwów, ale mogę powiedzieć, że niema tam prawie wsi, którejbym jako turysta pieszo nie zwiedził i wiem, że za to, co się dzieje, nie można czynić odpowiedzialnym tego narodu ruskiego, który wschodnią Małopolskę zamieszkuje. Ten chłop ruski jest spokojny i do ziemi swojej przywiązany. Jak widział zbliżające się karabiny ukraińskie, uciekał do swojej chaty, do gospodarstwa. Ale jest tu obca ręka, która nie dopuści, żeby tam, w tej wschodniej Małopolsce, nastał spokój, dlatego, że ta wschodnia Małopolska oddziela od siebie dwa państwa, które dążą do tego, żeby się ze sobą terytorjalnie stykać, t. j. Sowiety i Czechosłowację.

Nie potrzebuję powtarzać, przypomnę tylko, co powiedział mój świetny przedmówca, p. prezes Bobrzyński, że dziś Czechosłowacja staje się bramą wypadową dla Sowietów. Tam już nietylko wzdłuż granicy polsko-czeskiej, ale aż do Sudetów budowane są lotniska, które są pod komendą oficerów sowieckich. Przypomnę też, że u nas w Polsce wśród działaczy komunistycznych aresztowano wy-

sokiego oficera rosyjskiego, Jodłowskiego, któremu udało się uciec tylko dzięki temu, że występował pod przybranem nazwiskiem, a nasza policja nie zdołała wcześnie stwierdzić jego identyczności. To są fakty niezmiernie groźne. A co znaczą te lotni- ska, o których wspomniał p. prezes Bobrzyński? Spójrzmy na mapę: Czechosłowacja graniczy z Niemcami w tem miejscu, gdzie pas terytorjum nie- mieckiego, oddzielający Francję od Czechosłowacji, jest najwęższy. Jeden lot wystarczy, żeby się aero- plany sowieckie znalazły nad Francją, nad tą Fran- cją, w której hydra komunizmu teraz tak zuchwale głowę podnosi, w której robi się wybory za pienią- dze. przysyłane z Kremla. Nie trzeba wielkiej by- strości, żeby zrozumieć to straszne niebezpieczeń- stwo, które zagraża nietylko Polsce — bo my we dwa ognie możemy zostać wzięci, od wschodu i za- chodu — ale które zagraża i innym państwom, za- graża Niemcom, zagraża nawet Francji i idzie je- szcze dalej.

Proszę Państwa! Cóż nam czynić należy? Prze- cież nie będziemy ograniczali się do łamania rąk, do narzekania tylko, że jest źle. Cała nasza tradycja i przeszłość rycerska nie pozwalają nam na krzyki i gesty rozpaczy. Tradycja ta pcha nas do czynu. I tutaj droga działania zarysowuje się przed nami zupełnie wyraźnie.

Jak już mówiłem, panowanie czeskie na Rusi Za- karpackiej ma charakter wyraźnie prowizoryczny. Ta kraina została Czechosłowacji przyznana, ale tylko ze względu na jej specjalne położenie. Ta sy- tuacja, ze względu na którą Ruś Zakarpacka zosta- ła Czechosłowacji przyznana, nie została zrealizo- wana. A zatem ze stanowiska prawa międzynaro- dowego jest podstawa do rewizji traktatów, jest podstawa do rektyfikacji granic.

Obok tego istnieje jeszcze inna podstawa, również bardzo silnie uzasadniającą żądanie rektyfikacji granic. Pamiętajmy o tem, że nie dążymy do wojny. My wszyscy dążymy do pokoju. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że wojna, jeżeliby wybuchła, to byłaby katastrofą, katastrofą daleko większą, daleko groźniejszą od tej, którą dopiero co przeżyliśmy. A co się dzieje właśnie dzięki temu panowaniu czeskiemu na Rusi Zakarpackiej? Dzięki temu ta Ruś staje się ogniskiem zamętu, ogniskiem niepokoju, staje się bazą, z której może wyjść ofensywa sowiecka, zagrażające nietylko Polsce, nietylko Węgrom, ale i innym państwom, aż do Francji włącznie. Zatem w myśl tej zasady prawa międzynarodowego, że wszystkie układy są zawierane z klauzulą rebus sic stantibus, istnieje powód objektywny, uzasadniający rewizję tych traktatów, uzasadniający żądanie rektyfikacji granic. *To są argumenty ściśle prawnicze, ale argumenty żelazne, argumenty murowane.*

Porównajmy moc tych argumentów z mocą argumentów innych, któremi się w dyplomacji, w dziedzinie prawa międzynarodowego operuje. Przecież Pomorze zostało przyznane Polsce Traktatem Wersalskim bez żadnych zastrzeżeń, przyznane zostało na zasadzie etnograficznej, tak wówczas respektowanej i, co więcej, na zasadzie konieczności życiowej zapewnienia Polsce niezbędnego dostępu do morza. A przecież Niemcy wynaleźli jednak art. 16, który mówi, że jeżeli wytworzone zostaną stosunki takie, które grożą niebezpieczeństwem wojennem, to można wtedy domagać się rewizji traktatów i rektyfikacji granic — i nikt nie uważał tego rozumowania za naciągane. Jeżeli dziś jest inaczej, jeżeli ta sprawa na szczęście została na wieki pogrze-

bana, to nie stało się to dlatego, żeby ten argument był uznany za prawniczo słaby, tylko, że się zmieniła sytuacja międzynarodowa, a przedewszystkiem dlatego, że myśmy się stali silniejsi, więc nikt teraz z tego rodzaju żądaniami nie może występować i Niemcy dziś zrozumieli, że lepiej szukać porozumienia z Polakami, niż przy podżeganiu lewicy francuskiej szukać z nami zwady. Ale jeżeli tego rodzaju argument uznany został za dobry, gdy chodziło o odcięcie nas od morza, to taki argument tem bardziej należy uznać za usprawiedliwiony wtedy, kiedy wchodzą w grę żywotne interesy nasze i związanego z nami wspólnością interesów narodu węgierskiego. Bo będziemy mogli — wprawdzie bez lekceważenia nieprzyjaciela, bez przechwałek, ale z zimną krwią—spokojnie patrzeć w oczy temu niebezpieczeństwu, grożącemu od wschodu, o którem mówił p. prezes Bobrzyński, jeżeli będziemy działali w porozumieniu z Węgrami. Jeżeli zostanie zrektyfikowana ta granica, to nie nam będzie grozić zaatakowanie z dwóch stron, od wschodu i zachodu, ale przeciwnie, ci, którzyby nas chcieli zaatakować od wschodu, sami zostaliby wzięci we dwa ognie.

A za tem to, o czem tu mówimy, ma żelazne, murowane podstawy prawne, a, co więcej, jest podyktowane naszym żywotnym interesem, a nawet, śmiem powiedzieć, żywotnym interesem całej Europy, nie wyłączając tak nam sympatycznej, a dziś tak zagrożonej przez wrogów Francji, tej Francji, gdzie — jestem głęboko przekonany — obok komunistów, obok lewicy, jest ta druga Francja, która wydała w swoim czasie gen. Trochu, obrońcę Paryża, która w czasie wojny światowej wydała Focha, a która także i teraz może da sobie radę. Ale w każdym razie, jeżeli chcemy, żeby tak było, to musimy iść na rękę nie tym,

którzy zwiększają niebezpieczeństwo tej Francji, ale tym, którzy chcą zwiększenia jej sił zdrowych, żywotnych, na których przyszłość jej może się oprzeć".

Oba przemówienia wysłuchane były przez zebranych z widocznem, wielkiem zainteresowaniem i zaaprobowane zostały rzęsistymi oklaskami, poczem przewodniczący zakomunikował, że dla skonkretyzowania postulatów, wyłożonych w obu referatach, odczytane zostaną pewne rezolucje, ułożone przez Sekcję zagraniczną Związku i poddane szanownym zebranym do aprobaty. W tym celu udzielił głosu sekretarzowi Sekcji dla spraw węgierskich, p. Eugenjuszowi Schummerowi.

Zanim jednak p. Schummer rozpoczął odczytanie, zażądał głosu jeden z obecnych gości w sprawie dyskusji. Przewodniczący oświadczył, że wprawdzie dyskusja nie jest w porządku dziennym zebrania przewidzianą i w tak licznem gronie nawet niebardzo możliwą, ale jednak w drodze wyjątku udziela żądanego głosu.

Ale przygodny mówca, poczynając swe przemówienie od reminiscencji jakiejś swej rozmowy z pewnym Czechem z przed lat przeszło trzydziestu, okazał się bezkrytycznym stronnikiem teoretycznej ideologji jak najściślejszego sojuszu Polski z Czechami, bez względu na obecną czeską rzeczywistość, a więc bez względu nawet na istotną możliwość realizacji takiego zamiaru. Nie zważając zupełnie na fakta, podane w obu referatach i na niebezpieczeństwo komunistyczne, grożące Polsce także i z czeskiej strony, upierał się mówca przy twierdzeniu, że „powinniśmy tworzyć jedność z Czechami", a więc jakąś unję, czy wspólnotę państwową.

Liczne okrzyki z sali zaczęły przerywać mówcy,

żądając odebrania mu głosu. Odezwały się spontaniczne okrzyki: Dosyć! Niech żyją Węgry!

Wówczas powstał przewodniczący zebrania i zaznaczył, że postulat mówcy „utworzenia jedności polsko-czeskiej" jest w rezultacie swym prowokowaniem poważnego zebrania do niepoważnych, awanturniczo-agresywnych pociągnięć, skoro w danych, konkretnych warunkach jedność polsko-czeska mogłaby być osiągnięta realnie tylko albo zaborem państwa czeskiego przez Polskę, albo Polski przez Czechów. Wobec tego przewodniczący, zgodnie z opinją zebrania, protestuje przeciw takiemu stawianiu sprawy i odbiera głos mówcy, zapraszając równocześnie p. sekretarza Schummera do odczytania opracowanych rezolucyj bez dalszej już zwłoki.

REZOLUCJE:

„Przedstawiciele prywatnych sfer inteligencji społeczeństwa polskiego, zebrani w dniu 26-go kwietnia 1936 r. na uroczystem posiedzeniu o charakterze akademji w stolicy Polski, przyjmując do wiadomości referaty i wnioski, przedłożone przez Sekcję dla spraw polsko-węgierskich „Związku Polskiej Myśli Państwowej", wyrażają zgodność swych zapatrywań i żądań w następujących kwestjach o kapitalnem dla narodu i państwa polskiego znaczeniu:

1) Społeczeństwo polskie, pomne odwiecznej misji swej Ojczyzny, jako Przedmurza chrześcijaństwa przed falami zniszczenia materjalnego i kulturalnego, bijącemi w cywilizację europejską raz po raz ze wschodu, jak i pamiętne dotkliwej nauki własnych dziejów, nie może zachować się obojętnie

wobec wielkiego, realnego i bezpośrednio aktualnego niebezpieczeństwa, jakie dla Polski i dla głębszych podstaw chrześcijańskiej cywilizacji zachodniej stwarza i wzmaga od długiego szeregu lat, z całą konsekwencją, polityka i dążność państwa czesko-słowackiego w jego wyraźnym charakterze przedniej placówki Rosji, a w związku z tem i bolszewizmu. W szczególności niebezpieczeństwo to istnieje w formie groźnego łańcucha, okalającego coraz silniej Polskę od wschodu, południa i południowego zachodu wskutek stworzenia przez politykę czeską bezpośredniej łączności sojuszniczej i terytorjalnej, sięgającej od Moskwy przez Ruś Zakarpacką i Słowaczyznę do Pragi. Łączność tę pragną podobno jeszcze wzmocnić pewne czynniki w Rumunji przez ewentualne przyznanie wojskom rosyjskim na wypadek wojny swobodnego przemarszu przez terytorjum rumuńskie. Ten stan rzeczy, potwierdzony długim szeregiem wyraźnych objawów nieprzyjaźni dla Polski ze strony rządów czeskich, jest w istocie swej niczem innem, jak koalicją przeciw Polsce, zapomocą której rządy czeskie starają się zabezpieczyć faktyczną nieżywotność swego, zbyt imperjalistycznie i ponad wewnętrzne siły narodu czeskiego zdobytego i na krzywdach sąsiadów zbudowanego państwa.

2) Odpowiedzią na takie realne niebezpieczeństwo nie może być żadną miarą tolerowanie tego stanu rzeczy i pomijanie go bojaźliwem, kurtuazyjnem milczeniem, ale przeciwnie — zdecydowany jego odpór w postaci przecięcia wyżej wspomnianego czesko-rosyjskiego pierścienia niebezpieczeństwa i to w czworaki sposób naturalny, oparty, bez wojennych zawikłań, na prostych zasadach prawa międzynarodowego i niewygasłych międzynarodowych aktach, a mianowicie:

a) powierzenie mandatu Ligi Narodów nad Rusią Zakarpacką państwu węgierskiemu, skoro ziemia ta od niepamiętnych wieków do Węgier należała, z dziejami narodu i państwa czeskiego nie łączą i nie łączyły jej nigdy żadne względy ni tradycje, a w ręku obecnej Republiki Czesko-Słowackiej ziemia ta zorganizowana została niemal oficjalnie w najniebezpieczniejszy punkt wichrzeń i zarzewia wojennego w całej Europie,

b) zarządzenie plebiscytu w Słowacji, przy zabezpieczeniu Słowakom ze strony międzynarodowej rzetelnej swobody wypowiedzenia się, czy chcą stworzyć sobie państwo niezależne, czy też pozostać na prawach pożądanej przez nich autonomji w łączności z państwem czeskiem lub węgierskiem,

c) przeprowadzenie w każdym razie — na podstawie Lettre d'envoi prezydenta Milleranda — sprawiedliwej rektyfikacji granic obecnego państwa węgierskiego, które wskutek nieprzyjaznych zabiegów ze strony różnych, krótkowzrocznych czynników międzynarodowych zostało bezspornie pokrzywdzone traktatem w Trianon — nawet z samego punktu widzenia zasady samookreślania się narodów — tak, że w rezultacie zbyt wielka ilość Węgrów znajduje się dzisiaj przymusowo pod obcem panowaniem, aby zgodnem to było z najoczywistszem poczuciem demokratycznej sprawiedliwości,

d) nieprzyznanie przez Rumunję wojskom rosyjskim swobodnego tranzytu przez jej terytorjum, na ziemi lub drogą powietrzną, który byłby w istocie samobójczym dla państwa

rumuńskiego, gdyż wiemy z własnych dziejów, że naród, który swobodny przemarsz obcej sile zbrojnej przez kraj swój przyznaje, temsamem poddaje się tej sile.

3) Uznając pewne trudności pierwszego zapoczątkowania akcji w powyższych warunkach przez oficjalne czynniki dyplomatyczne w danym układzie stosunków, wyrażają zebrani przekonanie, że winna ona zacząć realizować się na podstawie przedewszystkiem bardzo silnego nacisku prywatnej opinji publicznej w Polsce na różne czynniki miarodajne w kraju i zagranicą, wzmocnionego następnie przez wzbudzenie analogicznych tendencji w tych społeczeństwach i rządach zagranicznych, które zdadzą sobie należycie sprawę z popełnionej na narodzie węgierskim krzywdy i z powstałego na tym błędzie polityki międzynarodowej niebezpieczeństwa dla pokoju i cywilizacji zachodniej.

4) Przez energiczne podniesienie tej kapitalnej sprawy i konsekwentne dążenie do jej pomyślnego rozstrzygnięcia w duchu powyższych czterech postulatów prywatne sfery polskiego narodu pragną zarazem złożyć wyraz słusznej wdzięczności narodowi węgierskiemu za wielokrotne w czasie wojny światowej i po tej wojnie przyjacielskie jego w sprawie polskiej wystąpienia i uzyskaną realną pomoc w czasie inwazji bolszewickiej. Poczucie tej wdzięczności opiera się jednak nietylko na momencie przekonania o słuszności sprawy i na sentymencie, lecz również i na stwierdzeniu rzeczywistej w tym wypadku wspólnoty polskiej i węgierskiej racji stanu oraz na bezspornie tysiącletnią historją obu narodów stwierdzonym aksjomacie, że wskutek specjalnego geograficznego położenia Polski i Węgier oraz innych jeszcze warunków, silny, celowy, przewidujący sojusz między obu temi państwami i na-

rodami jest jednym z kardynalnych warunków ich wzajemnej, bezpiecznej egzystencji“.

Po odczytaniu tekstu rezolucji rozległy się długotrwałe oklaski, poczem przewodniczący, konstatując przyjęcie wniosków przez aklamację i podnosząc znaczenie dzisiejszej manifestacji obywatelskiej, zawiadomił zebranych, że akcja na tej jednorazowej manifestacji oczywiście się nie skończy, ale kontynuowana będzie przez sekcję zagraniczną Związku Polskiej Myśli Państwowej z niezachwianą konsekwencją piórem, słowem propagandowem i czynem. Pożądanym byłby więc liczniejszy udział współdziałających z tą sekcją i dlatego zarząd Związku zaprasza tych z pośród obecnych, którzy pragnęliby poruszonym dzisiaj sprawom w pewnej ciągłości się poświęcić, aby zechcieli wpisać się do wyłożonej listy.

W rezultacie kilkadziesiąt osób z różnych sfer społeczeństwa zapisało się na listę po zamknięciu zebrania, wyrażając przytem żywe zadowolenie z powodu poruszenia z trybuny publicznej nareszcie takich ciekawych spraw zagranicznych, związanych najżywotniej z egzystencją państwa, a które jednak, nie wiadomo dlaczego, nigdy i nigdzie nie były u nas publicznie poruszane. Uczestnicy zebrania, rozchodząc się wśród ożywionych rozmów, wyrażali zdziwienie z powodu dotychczasowego systemu przemilczania w Polsce tak ważnych problemów, podczas gdy zagranica nie robi sobie pod tym względem z Polską żadnych ceremonji. Wobec tak pomyślnego rezultatu zebrania, które charakterem swym i uchwalonemi rezolucjami stanowi niewątpliwie pewien ważny ewenement na terenie stolicy, przedewszystkiem jako wyraz aktywizacji samodzielnej, prywatnej opinji społeczeństwa w sprawach ogólnego położenia państwa, zwołał zarząd

Związku Polskiej Myśli Państwowej w krótkim terminie pierwsze plenarne posiedzenie Sekcji dla spraw zagranicznych, powiększonej obecnie o kilkadziesiąt osób.

Jednym zaś z najbardziej charakterystycznych rezultatów zebrania był postulat, wysunięty wobec przewodniczącego ze strony delegacji pewnej organizacji wyższych, kwalifikowanych robotników, aby Związek P. M. P. zechciał urządzić w najbliższym czasie w ich lokalu, przy tłumnym udziale członków tej organizacji, zebranie na podobne tematy.

Odgłosy tego zebrania były bardzo żywe w prasie zagranicznej. Szereg dzienników węgierskich umieścił obszerne sprawozdania pod reklamowymi tytułami, wyliczając ważniejsze punkty uchwalonych rezolucji. Odezwała się prasa niemiecka, a w chwili, gdy oddajemy ten komunikat do druku, dowiadujemy się, że mają zamieścić odpowiednie komunikaty także pewne organy prasy francuskiej, czy szwajcarsko-francuskiej. Prasa czeska zareagowała oczywiście wściekłością. Nawet pewne oficjalne czynniki czeskie poruszyły się z protestem.

Tylko prasa polska milczy — za wyjątkiem krótkiej, przychylnej wzmianki w Illustrowanym Kurjerze Codziennym oraz wielce zjadliwego, niemądrze zaciekłego artykuliku w Kurjerze Polskim, a więc organie warszawskiego „Lewiatana“, w którym jakaś autorka — pozostająca najwidoczniej pod wpływem czeskim, czy wogóle „ideologji słowiańskiej“ — ciska pioruny na aranżerów zebrania w bardzo niekobiecej formie, nie mając przytem najmniejszego pojęcia ani o samem zebraniu, ani o ludziach, którzy je zwołali, ani przedewszystkiem o głębszych jego przyczynach i celach.

Ale o tem parę słów osobno w następnym artykule.

PRASA MILCZY

Nie może już ulegać wątpliwości, że zebranie obywatelskie w palącej sprawie nowej inwazji bolszewizmu na zachodnią Europę i zarazem w sprawie polsko-czeskiej oraz polsko-węgierskiej, urządzone 26-go kwietnia w Resursie Kupieckiej w Warszawie staraniem Związku Polskiej Myśli Państwowej, stanowi prawdziwy ewenement polityczny na tle codziennego toku pospolitych perypetji życia publicznego stolicy. Stanowi ewenement tem bardziej, że nie zakończyło się — jak zwykłe zebrania — samemi tylko przemówieniami, ale uchwaleniem doniosłych rezolucji o charakterze postulatów międzynarodowych i znacznem powiększeniem liczebnem sekcji dla spraw zagranicznych Związku, która z tem większą obecnie już konsekwencją i siłą podjęła na specjalnem zebraniu konstytuującem 11-go maja planową realizację uchwalonych postulatów i wogóle całego swego programu specjalnemi metodami.

Ważność tego ewenementu polega wreszcie i na tem, że stanowi on pierwszą, dobrze przemyślaną i przygotowaną próbę zaktywizowania w najbliższych kwestjach zagranicznych polskiej prywatnej opinji publicznej, pogrążonej dotąd albo w grubym materjaliźmie, bardzo zwykle krótkowzrocznym, albo — conajwięcej — nadmiernie zaaferowanej drobnemi przygodami dnia wewnętrzno-politycznego, nie mającemi najczęściej donioślejszego i trwalszego znaczenia dla rzeczywistego rozwoju sytuacji w kraju.

Dlatego skierowanie uwagi szerszych prywat-

nych sfer społeczeństwa na problemy, niebezpieczeństwa i realne cele polskiej zagranicznej racji stanu, czego dotąd w podobnym zakresie i tak wyraźnie nikt nie robił, daje opinji publicznej znacznie szerszy horyzont, wyrywa ją z zaśniedziałego podwórka i sprowadzić może poważny przełom w nastawieniu umysłów, niezbędny dla narodu, mającego w zasadzie mocarstwowe aspiracje. Bez zwrócenia bowiem bacznego wzroku na zewnętrzne położenie, potrzeby i zadania państwa i odpowiednią w tem rolę także i sfer prywatnych, wszelkie tendencje mocarstwowe pozostają pustym frazesem.

Prasa zagraniczna, poczynając oczywiście najpierw od węgierskiej, a kończąc na czeskiej, zareagowała też na fakt takiego zebrania i takich rezolucji bardzo żywem echem. Ukazały się tam w poważnych organach wielkie artykuły wstępne, zamieszczone reklamowo, donoszące dokładnie o zebraniu, nawet o pewnych szczegółach jego przebiegu, z wymienieniem uchwalonych rezolucji. Prasa czeska uderzyła oczywiście z całą wściekłością. I — co również symptomatyczne — napłynęły w następnych dniach do redakcji naszego wydawnictwa nowe zamówienia o prenumeratę zarówno ze strony poważnych reflektantów krajowych, jak i zagranicznych.

Do podniesienia znaczenia oraz rozszerzenia podjętej przez nas akcji przyczyniła się też znana czytelnikom Naszej Przyszłości broszura p. t. „Druga inwazja czerwonej Moskwy“, wydana przez nas w czterech tysiącach egzemplarzy z końcem kwietnia i początkiem maja.

Tylko poważna polska prasa, której rozesłaliśmy natychmiast po zebraniu obszerne komunikaty z uchwalonemi rezolucjami do dyspozycji, milczy

jak grób. Pardon — za dwoma wyjątkami, o ile nam wiadomo.

Pierwszy wyjątek stanowił krótki, coprawda życzliwy, artykuł Ilustrowanego Kurjera krakowskiego, który podał w kilkudziesięciu wierszach wiadomość o zebraniu, a nawet parę cytat z przemówień, jednak bez tekstu, a przynajmniej treści rezolucji, przez co cały walor zebrania zbagatelizowany został do rzędu jednego z rozlicznych warszawskich zebrań odczytowych. Najciekawszem jest jednak to, że „I. K. C.“ zamieścił tę wzmiankę bezpośrednio pod artykułem o pobycie premjera Kościałkowskiego w Budapeszcie, przez co czytelnik krajowy — a co gorsza i zagraniczny — odnieść musiał wrażenie, że manifestacja warszawska stała w związku z ministerjalną wizytą w Budapeszcie.

Obawiamy się, że I. K. C. istotnie tak myślał. Jeżeli się mylimy, to zgóry przepraszamy. Ale prasa nasza codzienna, nawet ta, która piorunuje na etatyzm, jest mentalnie, ogółem biorąc, tak dalece zetatyzowana, że nie wyobraża sobie nawet, iż ktoś w Warszawie mógłby coś zrobić w kwestjach zagranicznych bez związku z polityką oficjalną i bez przynajmniej cichej aprobaty ze strony czynników miarodajnych. Niechże więc ci z p. p. dziennikarzy, którzy tak są nastawieni, zechcą przyjąć do wiadomości paradoksalny zapewne w dzisiejszych warunkach fakt, że — mirabile dictu! — istnieją jednak jeszcze w Polsce nieliczne coprawda jednostki, a nawet wydawnictwa, które — przy całem uznaniu konieczności odpowiedniej dyscypliny państwowej — myślą przecież i działają samodzielnie, nie pytając nikogo o zdanie i nie czepiając się w każdem swem pociągnięciu urzędowych klamek.

Do takich wyjątków należą bezspornie Nasza Przyszłość i inspirowany przez nią programowo

Związek Polskiej Myśli Państwowej, a nawet jego sekcja dla spraw zagranicznych. Jesteśmy stanowczo zdania, że w dojrzałem politycznie społeczeństwie nie wystarcza prowadzenie polityki przez rząd i tylko przez rząd, ale że rozwijać się powinna także pewne samodzielna obywatelska myśl w różnych pozytywnych kierunkach zagranicznych dążeń narodu. Źle jest, jeżeli wszelką myśl w doniosłych problemach zewnętrznych musi każdorazowo inspirować, wdmuchiwać społeczeństwu dopiero minister spraw zagranicznych, tak, jak wdmuchuje się powietrze do obwisłej, bezwładnej kiszki samochodowej.

Stąd też możemy zapewnić czytelnika, a zwłaszcza prasę codzienną, że warszawskie zebranie, przez Związek P. M. P. urządzone, nie miało nic wspólnego z wyjazdem p. Premjera do Budapesztu, a bliskość obu tych terminów była rzeczą czystego przypadku. Poprostu wobec gęsto zajętych terminów w ciągu ubiegłej zimy i wiosny programami przeróżnych zebrań w stolicy, nie znalazła nasza sekcja dla spraw zagranicznych, przygotowując zebranie już od jesieni, innego wolnego terminu zebrania, jak właśnie niedzielę 26-go kwietnia. Proszę uwzględnić, że z końcem marca, na który wyznaczony był początkowo termin zebrania, wypadły wielkie uroczystości warszawskie ku czci Królowej Jadwigi, urządzane z bardzo czynnym udziałem odpowiedniej sekcji Związku Polskiej Myśli Państwowej, w obecności tysięcznych tłumów, wysokich przedstawicieli Rządu i Episkopatu, a także i członków poselstwa węgierskiego. Trzeba więc było termin przesunąć poza święta wielkanocne. I to wszystko.

W każdym jednak razie należy się Ilustrowanemu Kurjerowi Codziennemu uznanie za niezależ-

ność, z jaką przynajmniej tę wspomnianą wzmiankę w objektywnym tonie o zebraniu zamieścił.

Drugi wyjątek, to złośliwy atak, jaki, w kompletnej nieświadomości stanu rzeczy i celów naszego zebrania, wymierzyła na nas pewna publicystka na łamach lewiatanowskiego „Kurjera Polskiego“, podpisana literami Ch. Nie mając najmniejszego pojęcia o tem, że główną tendencją zebrania było podjęcie planowej a wszechstronnej walki ze wzmożonym w ostatnich czasach najazdem komunizmu na Polskę, a pozostając widocznie pod jakiemiś czesko-słowiańskimi, sielankowymi wpływami — które spryt Czechów w różnych sferach naszego społeczeństwa bardzo umiejętnie rozszerza — stworzyła krewka autorka zabawny paradoks na łamach najbardziej „kapitalistycznego“ organu w Polsce, biorąc niejako w obronę to, przeciw czemu zebranie było głównie wymierzone, t. j. bolszewizm. Bo przecież nie zaatakowaliśmy Czechów zasadniczo — gdyż zasadniczej nienawiści przeciwko żadnemu narodowi nie uznajemy — ale z tego tylko, całkiem konkretnego powodu, że Czechy stały się faktycznie i bezspornie wasalem Kremla i coraz bardziej przez Moskwę organizowaną placówką wypadową bolszewizmu w Środkowej Europie.

Zabawnie więc wygląda Kurjer Polski, finansowany przez wielki przemysł, który pod piórem pani Ch. broni w ostatecznej konsekwencji bolszewików! Nie wiemy, jak sobie dadzą z tem radę zarówno prezydjum „Lewiatana“, jak główny redaktor Kurjera, który jest pozatem profesorem uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego i — o ile nam wiadomo — wyznaje przekonania konserwatywne? To pewne jednak, że narazie artykulik niefortunnej autorki w Kurjerze Polskim, wylewający w istynno-słowiańskim porywie żółć i słowa pogardy na aranże-

rów i mówców naszego warszawskiego zebrania (między innymi także na wybitnego profesora prawa na uniwersytecie wileńskim, d=ra Bossowskiego, któremu jednak pewien szacunek ze strony małoznanej publicystyki niewątpliwie się należy), oddał znaczną przysługę Czechom i bolszewikom, gdyż — przy grobowem milczeniu poważnej prasy polskiej — został powtórzony skwapliwie przez różne demagogiczne pisemka prowincjonalne.

Ale rzecz główna w tem ciekawem zjawisku to taktyka przemilczania, zastosowana przez poważną prasę. Nasza Przyszłość wprawdzie da sobie z tem radę, bo nie należy do tak niedołężnych a płochliwych organizacji, żeby „taktyka przemilczania" prasy codziennej miała stanowić dla niej jakiś poważniejszy szkopuł. Jeżeli prasa nie chce pomóc, to publiczność polska dowie się o uchwalonych na zebraniu rezolucjach poza prasą. Jak na tem tle wyglądać będzie ów słynny „obowiązek publicystyczny", który tak zawsze z patosem podnoszą redaktorzy naszych dzienników, to już ich sprawa. Ale smutno, że informować trzeba publiczność poza prasą o ciekawych bądź co bądź wypadkach, w każdym razie ciekawszych i ważniejszych od statystyki włamań i kradzieży lub wypadków automobilowych i tramwajowych lub wreszcie różnych drobnych skandalików prywatnych i publicznych, albo tak doniosłych społecznie walnych zebrań „towarzystwa połowu pstrągów na Dunajcu", czy notowań o bohaterskiem zwycięstwie jakiegoś klubowca bokserskiego z Baraniej Wólki, który wybił zęby klubowcowi z Koziej Wólki — co wszystko przecież podciąga najpoważniejsza nawet prasa pod zakres skrupulatnie pełnionego „obowiązku publicystycznego".

A ponieważ prasa ta przynosi również nietylko

fakta, ale nawet i plotki o różnych bądź co bądź wybitnych mężach stanu lub sprawach polskich, europejskich i światowych, które nieraz potem są dementowane i świat się od tego nie zapada, więc tem mniej zrozumiałem jest cmentarne milczenie „obowiązku dziennikarskiego“ wobec faktu odezwania się przeszło 200-osobowego, bądź co bądź poważnego głosu różnych sfer stolicy w kwestji bolszewickiej, czeskiej i węgierskiej. W każdym razie jest to poważniejsza i ciekawsza wiadomość od skrupulatnej statystyki kradzieży i pogwałceń, dokonywanych na terenie całej Rzplitej, a bezwarunkowo mniej niebezpieczna dla sucho - informującego dziennikarza, niż wysuwanie ryzykownych wniosków o ewentualnych zmianach na różnych stanowiskach dygnitarskich w państwie, które mogą wcale nie nastąpić. I dlatego nie rozumiemy przemilczenia ani z punktu widzenia lekceważenia zebrania warszawskiego i jego rezolucji przez poważną prasę, ani z punktu widzenia obawy, skoro prasa ta przecież daleko ryzykowniejsze wieści nietylko lansuje, ale nawet stanowisko wobec nich zajmuje, co w danym wypadku wcale nie było koniecznem. Wszak prasa donosi i o wichrzeniach komunistów ze wszystkimi szczegółami, ba, zajmuje nawet stanowisko wobec tak drażliwych kwestji, jak instytucja Berezy Kartuskiej. Zresztą prasa filorządowa codzień niemal atakuje Czechów i bolszewików, a nawet fabrykuje specjalne na ten temat broszury, atakujące niemiłosiernie biednych pepiczków, wbrew wszelkim kanonom „ideologji słowiańskiej“ lub kurtuazji genewskiej. Więc dlaczego strach przed prostem ogłoszeniem naszych rezolucji, choćby w tonie suchej informacji?

Jakkolwiekbądź, bardzo złą przysługę oddało sprawie państwowej tym razem zaniedbanie owego

kanonicznego „obowiązku publicystycznego". Bo kto w ostatecznym rezultacie skorzystał narazie na tej taktyce przemilczania? Oczywiście tylko bolszewicy i ich czescy sekundanci. Bo przecież bolszewicy nic sobie nie robią z ogólnikowych, zdawkowych ataków polskiej prasy burżuazyjnej. Biorą to zgóry w rachubę, że ta prasa będzie na nich wygadywać. Ale w danym wypadku chodziło o coś daleko realniejszego i poważniejszego, co zaatakowało komintern daleko głębiej, niż zwykłe burżuazyjne kiwania palcem w bucie: o podjęcie realnej akcji, planowej, konsekwentnej, mającej na celu geograficzne przecięcie bezpośredniego kontaktu Moskwy z Pragą przez zwrot Węgrom Rusi Zakarpackiej i plebiscyt na Słowaczyźnie, który zapewne nie wypadłby na korzyść Czechów, a więc i bolszewików.

Więc, reasumując, poważna prasa polska albo lekceważy rzecz, albo się boi. Jeżeli lekceważy, to dziwne, bo ostatecznie występ pp. Bobrzyńskiego lub Bossowskiego w tak ważnych sprawach krajowych wobec dwustu osób, a wśród nich i szeregu delegacji różnych zrzeszeń, jest bądź co bądź ważniejszą rzeczą z punktu widzenia „obowiązku publicystycznego", niż np. przejechanie pijaka przez tramwaj lub zebrańko jakiegoś zrzeszenia w Zapadłym Kącie, któremu przewodniczył miejscowy weterynarz, „wybitny działacz społeczny". A jeżeli strach, to przed czem, a raczej przed kim?

I tu wstąpimy w naszą rolę „enfant terrible". Grzmi liberalizująca nasza prasa na etatyzm, zwłaszcza na referentów ministerjalnych, jak chyba żadna prasa w żadnym kraju. Niema dnia, żeby ten lub ów dziennik nie rzucał się na „warszawistów ministerjalnych". A gdy przyjdzie co do czego, to różni przedstawiciele prasy, przedstawiciele „siódmej po-

tęgi", zadzierający dumnie głowę przed zwykłym śmiertelnikiem, trzęsąc się ze strachu pędzą, jak w dym, po inspirację, dyrektywę, czy nawet wprost „befele", do tychże samych biur urzędowych, przeciw którym kierują buńczucznie swe antyetatystyczne pioruny. Rzecz jasna i oczywista, że urzędnik państwowy, przedstawiciel polityki oficjalnej, na zapytanie pana redaktora lub pana reportera, czy można zamieścić w prasie rezolucje warszawskiego zebrania, *musi* odpowiedzieć, że nie. Bo przecież nie może odpowiedzieć twierdząco, choćby — jako obywatel — czuł całkiem inaczej i wściekał się w głębi duszy, że przedstawiciel prasy z takiem pytaniem do niego się zwraca, zamiast bez pytania rzecz zamieścić. Nie może funkcjonarjusz państwowy narazić się na ewentualność, że dziennik, zaatakowany przez kogoś za zamieszczenie niebłagonadjożnego wobec bolszewików lub Czechów komunikatu z zebrania, wymówi się „poufnie" wobec interpelanta wyraźną aprobatę jakiegoś wysokiego urzędu. Dlatego w takich wpadkach urzędnik musi dać negatywną odpowiedź i to nieraz nawet stanowczym tonem, aby strząsnąć z siebie wszelką ewentualną odpowiedzialność.

Ale rzecz w tem, iż w takich delikatnych wypadkach dziennikarz-obywatel, jeżli ma istotnie głębsze poczucie polskiej racji stanu i swej roli publicystycznej, nie powinien takiemi pytaniami funkcjonarjuszy państwowych atakować i w rozterkę sumienia wprowadzać. Powinien wziąć sprawę z odwagą cywilną na własną odpowiedzialność, na własny rozum i zrobić swoje. Nasza Przyszłość nigdy nikogo w tak ważnych kwestjach o zdanie nie pyta i prosimy nie wyobrażać sobie ani na sekundę, że to, co piszemy i czynimy, podlega czyjejkolwiek, choćby najpoufniejszej aprobacie lub dyrektywie.

I tak jest dobrze! A jeżeli, w najgorszym razie, jakiś wysoki czynnik skrzywi się na nas ex post i uczyni nam wymówki, albo jeżeli jakiś zagraniczny dyplomata zatakowanego przez nas „sąsiedniego imperjum“ biega po Warszawie z pretensjami, no, to niemniej nasz prawdziwy „obowiązek publicystyczny“ i patrjotyczny jest spełniony i absolutnie nie widzimy, żeby Ojczyzna nasza miała ponieść jakąkolwie szkodę z tego tytułu. Bo przyjaciół lub neutralnych przecież nie atakujemy, a jeżeli Czechom się coś oberwie lub nie oberwie, to i tak będą zawsze wichrzyć przeciw Polsce i bratać się z bolszewikami. A trwoga i milczenie poważnej prasy polskiej dodadzą im tylko animuszu i tryumfować będą Czesi po całej Europie, że prasa polska — chociaż niby to lub owo platonicznie przeciw nim wypisuje, ut aliquid scribsisse videatur — ale na serjo, realnie, nie śmie przeciw nim ani pary w ust puścić. To są narazie fakta. Czesi i ich bolszewiccy protektorzy stanowczo tryumfują!

A jeżeli wreszcie powodem milczenia prasy jest trwoga przed straszakiem rewizji traktatów i przed wojną, to możemy uspokoić panów redaktorów kategorycznem zapewnieniem, że przejawy pewnej siebie siły nigdy nie ściągają wojny, ale z reguły tylko przejawy czołobitnej słabości. Polak płochliwy stokroć więcej naraża się na niebezpieczeństwo wojny, niż Polak zdecydowany, ferujący swe postulaty z czelną odwagą i gestem suwerennym. Żądajmy sprawiedliwego rozbioru Czechosłowacji, na podstawie odpowiednich danych prawa międzynarodowego, a odbierzemy Czechom czas i możność konszachtowania z wszystkimi naszymi wrogami nad przyszłym rozbiorem Polski. Prosta polityczna zasada, oparta na długiem doświadczeniu dziejów!

I dlaczego rewizja różnych traktatów ma konie-

cznie wypaść na naszą niekorzyść? Z małodusznem tem mniemaniem trzeba raz zerwać. Dlaczego rewizja traktatu w Trianon i wzmocnienie Węgier ma koniecznie przynieść nam stratę np. korytarza pomorskiego, a nie raczej poważne zyski? Jeżeli z tak płochliwem nastawieniem traktować będziemy sprawy zagraniczne, to bardzo niefortunnie wyglądać będziemy na forum międzynarodowem, a w dodatku rozpowszechni się mniemanie, że Polak — to tchórz!

W konsekwencji wzywamy was, Panowie Dziennikarze, hasłem Dantona, od którego zresztą jesteśmy oczywiście bardzo odlegli: Odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi! Kpi sobie Mussolini z całego świata, nawet z pancerników angielskich i robi swoje. Tak, ten rzeczywiście robi swoje! A my mielibyśmy się bać czeskich krzykaczy? Mielibyśmy marnować czas, druk i papier na jakieś przesubtelnione dyplomatyczne skrupuły, zamiast walić zdrowo na odlew, jak należy?!

A gdzież nasza dawna rola Przedmurza Chrześcijaństwa przed nawałami ze wschodu, wspomaganemi w tym wypadku przez Czechów? Nie spełni jej w żadnym razie oniemiała prasa, choćby wszystkie racje dyplomatyczno-kurtuazyjne miała za sobą!

Redakcja Naszej Przyszłości.

ŚWIĘTOŚĆ KRÓLOWEJ JADWIGI

Akcja, którą podjęła od pięciu lat Sekcja szerze= nia kultu Królowej Jadwigi—występująca daw= niej pod firmą osobnego Komitetu Obywatelskie= go, a od chwili zorganizowania się Związku Polskiej Myśli Państwowej jako jedna z jego autonomicz= nych sekcji — ma za zadanie czynić wszystko, co ze świeckiej strony zrobione być powinno dla po= parcia tak wielce doniosłej i trudnej sprawy, o któ= rej osiągnięcie napróżno starały się raz po raz róż= ne czynniki i sfery w polskim narodzie w ciągu pięciu wieków.

Do tych zadań Sekcji naszej należy, między wie= lu innemi, także gromadzenie i precyzowanie ma= terjału, dowodzącego świętobliwości Królowej. Wprawdzie zadanie to spoczęło głównie na barkach dostojnego Postulatora procesu beatyfikacyjnego, ks. kanonika Van Roy'a w Krakowie, delegowane= go w tym celu przez J. E. ks. Arcybiskupa Sapiehę. Niemniej jednak zestawianie i publikacja wszela= kich dowodów, mogących uświadomić coraz wyraź= niej ogółowi katolickiego społeczeństwa świętobli= wość Jadwigi, należy niewątpliwie także i do na= szych obowiązków.

W tym celu ogłaszamy poniżej rozprawę długo= letniego członka naszej Sekcji, p. red. Józefa Czar= neckiego, zamieszczoną po raz pierwszy niedawno w Przeglądzie Katolickim, a obecnie oddaną nam do dyspozycji przez autora z pewnemi jednak uzu= pełnieniami.

Przy tej sposobności pozwalamy sobie zakomu= nikować Szanownym Czytelnikom „Naszej Przy=

szłości", że Sekcja nasza przygotowuje od pewnego czasu projekt urządzenia ogólno-narodowej pielgrzymki do grobu Królowej na Wawelu, której termin ustalony zostanie w swoim czasie w porozumieniu z Władzami duchownemi, a przedewszystkiem z J. E. ks. Metropolitą Sapiehą, jako Najdostojniejszym Strażnikiem Grobu. Wobec zwłaszcza okoliczności, że tak upragniony przez naród polski proces beatyfikacyjny może już niezadługo zostanie oficjalnie rozpoczęty, winien zgromadzić się w oznaczonym dniu u Grobu Królowej cały naród w jak najliczniejszych delegacjach i dać temsamem raz jeszcze widomy, powszechny wyraz swej wiary i woli.

A teraz oddajemy głos p. J. Czarneckiemu.

Tak pięknie rozwijająca się z inicjatywy grupy „Nasza Przyszłość" akcja rozszerzenia kultu królowej Jadwigi doprowadziła nas już do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego.

W danym wypadku można nawet mówić o pewnem nawiązaniu do dawnego procesu, który rozpoczęto wkrótce po zgonie świętobliwej królowej. Jak to już poprzednio opisałem [1]), arcyb. gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec, dawny kanclerz oraz legat papieski na niedoszłe chrzciny potomka małżeństwa Jadwigi i Jagiełły, wszczął już pierwsze kroki procesowe, mając nato aprobatę Rzymu. W wyniku tej akcji zostały spisane liczne dokumenty. Z nich zachował się tylko dokument, stwierdzający dwa cudowne uzdrowienia za pośrednictwem królowej Jadwigi [2]).

---

[1]) Józef Czarnecki: Z dziejów beatyfikacji królowej Jadwigi, odbitka z Naszej Przyszłości, str. 5.

[2]) Por. Katalog rękopisów kapituły krakowskiej, przez J. Piekosińskiego.

W kazaniach, wygłoszonych zarówno bezpośrednio na pogrzebie Jadwigi przez Stanisława de Scarbimiria, pierwszego następnie rektora Uniw. Jagiellońskiego, jak i przez innych kaznodziejów w późniejszych czasach, a także w pismach, kronikach i poezjach sławiono stale heroiczne cnoty Jadwigi [3]). Kult jej był niewątpliwie powszechny i trwały, tak, że pomimo różnych nieprzychylnych kolei losów poprzez okresy pewnego zaniedbania, dotarł aż do naszych czasów.

Zastanówmy się teraz, jak się przedstawia kwestja kultu królowej Jadwigi z punktu widzenia wymagań procesu kanonicznego.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że rozgłos cnót i cudów Jadwigi powstał i rozwijał się już w wieku XV, a więc niewątpliwie przed krytyczną datą roku 1534, którą to datę dekrety przepisują jako termin prekluzyjny z punktu widzenia processus de non cultu. Chodzi tu mianowicie o przepisy ustalone przez Urbana VIII w bulli „Coelestis Hierusalem cives“ (2.X. 1625), dotyczącej sprawy czczenia obrazów i podobizn, sporządzania żywotopisów i składania wotów na grobie zmarłego in odore sanctitatis.

W naszym wypadku jesteśmy, według wszelkich danych, super casu excepto, przewidzianym również w bulli Urbana VIII processus de non cultu [4]). Według Benedykta XIV proces ten w danych warunkach można zresztą pominąć [5]). W wypadku królowej Jadwigi stoimy wobec innej ewentualności, t. j.

---

[3]) Por. Jan Elgot. Oratio in recommendationem Hedvigis reginae. Stanislaus de Scarbimiria Soliloquium de transitu Hedvigis, reginae Poloniae.

[4]) Karol Felix Matta. Novissimus de sanctorum canonisatione tractatus.

[5]) Benedict. XIV. De servorum Dei beatificatione et beatorum canonisatione. Bon. 1734—38. Wyd. II-gie Patav. 1734, 4 tomy in folio; l. c. I. 22 n. 3.

processus de fama sanctitatis, virtutum et miraculorum czyli super vitae, sanctitate, virtutibus et miraculis Servi Dei w formie processus ordinarius.

Kompetencja w tym zakresie przysługuje ordinario loci, t. j. Arcybiskupowi Metropolicie krakowskiemu, który podjął już stosowną inicjatywę.

Jakie formy ma owa fama sanctitatis i jakie w związku z nią były przejawy kultu w minionych latach? — Oto ważne pytanie, na które trzeba dać szczegółową i wyczerpującą odpowiedź w interesie przyszłego procesu.

„Udowodnić — pisze w liście z dn. 13 maja 1909 roku J. E. Ks. Bp. Pelczar [6]) — że religijny kult Jadwigi trwał bez przerwy aż do naszych czasów, będzie rzeczą trudną. Wiemy wprawdzie, że nietylko w w. XV, ale i później wiele osób modliło się do królowej Jadwigi, jako do świętej i przy jej grobie wieszało swe wota, które, jak się zdaje, Szwedzi w roku 1655 zagrabili. Wiemy, że w publicznych dokumentach nazywano ją świętą i że istniały osobne litanje, wydrukowane w Złotym Ołtarzyku Polskim: jedna do bł. księżnej śląskiej, druga do „świętej królowej Jadwigi". Wiemy, że u stóp krucyfiksu w katedrze krakowskiej wypisano, że „tu się modliła Diva Hedvigis", której to nazwy w Kościele kat. używa się tylko o świętych".

Do tej cennej i charakterystycznej opinji możemy tu dodać, co następuje. Już wspomniane ślady kultu stanowią wartościowy przyczynek do procesu. Wiek XX przyniósł nowe dane. Wspomina o nich ogólnikowo sam Najczcigodniejszy Autor powyższego listu. Mówi o tem w swem orędziu Biskup Bandurski, notując, że nad arkadą koło grobu kró-

---

[6]) List do Lucjana Rydla pod wrażeniem audjencji u Piusa X. Por. J. Czarnecki. Z dziejów beatyfikacji królowej Jadwigi. Przegl. Kat. Nr. 43, 44, str. 692, a także odbitka Naszej Przyszłości, str. 12.

lowej Jadwigi pojawiły się nowe wota dziękczynne za doznane łaski [7]).

Wszystko to należałoby dokumentarnie stwierdzić, aby dla pełności obrazu pięciowiekowego kultu, choć może niezawsze równem wykazującego się natężeniem, nie zabrakło najmniejszego nawet rysu.

Oczywiście nie wynika stąd, że można oczekiwać łatwego uzyskania choćby aprobatio cultus, gdyż, jak to stwierdził ks. Bp. J. Pelczar, działający z polecenia zjazdu Episkopatu Galicji w kwietniu 1909, w Rzymie niema żadnych dokumentów procesu beatyfikacyjnego. Odpowiednie poszukiwania w archiwach przeprowadził wówczas ks. Władysław Kochowski.

Lecz celem niniejszego szkicu, poza omówieniem pewnych zagadnień procesu beatyfikacyjnego, jest skreślenie portretu hagiograficznego królowej Jadwigi.

Zadaniem naszem jest opis i analiza, w zarysie najogólniejszym, świętobliwości, cnót i cudów Jadwigi, kwalifikujących ją na ołtarze świętych.

Zaszczytną koronę chwały świętości uzyskuje się po procesowem stwierdzeniu cnót heroicznych i niewątpliwych cudów. Wymaga się, by beatyfikowany wykonywał w stopniu heroicznym, t. zn. ponad zwykłą miarę doskonałości szczególnie trzy cnoty teologiczne: wiarę, nadzieję i miłość, oraz cnoty główne: roztropność, sprawiedliwość, męstwo i wstrzemięźliwość.

Benedykt XIV zaznacza, że poza heroizmem cnoty zwraca się jeszcze uwagę na gorliwość i ochoczość (arduitas) ducha wobec trudności w jej pełnieniu [8]).

---

[7]) Por. J. Czarnecki op. cit., str. 13—14. Ks. W. Bandurski. Zbudźmy Jadwigę. O najwyższy hołd królowej Jadwidze.

[8]) Bened. XIV. De serv. Dei beat. III. 21. nr. 10, 11.

Co do drugiego warunku, t. j. cudów spełnionych za pośrednictwem świętego, Bened. XIV rozróżnia trzy rodzaje cudów: 1) supra naturam (np. wskrzeszenie umarłego), 2) contra naturam (np. rozdzielenie morza, albo zatrzymanie człowieka spadającego w przepaść), 3) praeter naturam (uzdrowienie chorego [9]). Stała praktyka procesów kanonizacyjnych wymaga przynajmniej dwu cudów, choćby trzeciego stopnia, spełnionych za wstawiennictwem sługi Bożego po jego śmierci i oczywiście należycie stwierdzonych. Podług tegoż autora, sługą Bożym może zwać się każdy zmarły z rozgłosem świętości, niezależnie od tego, czy beatyfikacja jego została podjęta [10]).

Pozostawiając chwilowo na boku analizę stwierdzonych dokumentarnie cudów Jadwigi, przejdźmy do omówienia zasadniczego problemu heroizmu jej cnót. Dla pełności obrazu skreślmy najpierw charakterystykę rodu, z którego Jadwiga pochodzi. Są to Andegawenowie, stanowiący odgałęzienie domu Kapetyngów. Wśród przodków tego szlachetnego rodu, jakkolwiek nie brak tam było i jednostek niegodnych, znajdujemy szereg wybitnych i świętych osobistości. Jest to więc Ludwik IX, król Francji, wsławiony wyprawą krzyżową i życiem bogobojnem, a dalej Ludwik, biskup Tuluzy, zm. w r. 1270, członek Zgromadzenia Franciszkanów. Obaj święci. Ten ostatni był stryjem Karola Roberta, ojca Ludwika, króla węgierskiego, którego córką jest właśnie Jadwiga. Pozatem Jadwiga przez babkę swą, siostrę Kazimierza Wielkiego, skoligacona była z Piastami, których śląska przedstawicielka, jej imienniczka Jadwiga, świętą została.

---

[9]) Bened. XIV. De serv. Dei beat. IV. I. n. 6 seq.
[10]) Op. cit. I. c. I. 37, n. 2.

Z takiego drzewa rodowego pochodzący owoc musiał być niewątpliwie szlachetny.

Wśród cnót, jakiemi odznaczała się Jadwiga, wybija się na czoło jej wiara, przedziwnie zresztą spleciona z miłością i nadzieją — ufnością w Opatrzność.

Wiara ta, całkowite oddanie się Bogu, sprawie szerzenia Jego chwały, prowadzi Jadwigę niewątpliwie na wyżyny heroizmu.

Epitafium łacińskie powiada:

Ślepej nawale pogańskiej do światła drogę wskazała,
Drogę do wiary, bo sam zrządził wszechmocny to Bóg.

Wiara Jadwigi była pełną apostolskiego ducha, który też zadecydował o całem jej dalszem postępowaniu w życiu.

Pierwszy akord tego aktu wiary, która wypełnia całe życie Jadwigi, stanowi decyzja poślubienia Jagiełły.

Postanowienie to nie przyszło jej łatwo, musiała przedewszystkiem przełamać miłość ziemską, aby oddać się miłości Bożej.

Nastrój jej duszy w okresie pierwszego decydującego przełomu duchowego dobrze oddaje następujący wyjątek z „Modlitewnika św. Jadwigi“ [11]).

Czytamy tam:

„Boże w Trójcy Jedyny! modlę się Tobie przed to najświętsze drzewo świętego krzyża, na którym nasz Zbawiciel umęczon przez nasze zbawienie, a Ty mnie niedostojnej, na duszy i na ciele pokalanej grzechami, Syna Twego miłośnego raczył dać, aby rękę Twoję ściągnąć, upadnioną podnieść, modlącej nie wzgardzić, wiarę pomnożyć, nadzieję posilić. Łaskę we mnie Twoją gorącością racz zapalić!

„Tyś, miły Panie, nas Swą krwią odkupił. Bądź duszy mej dziś odpłatą i jej oświeceniem, którą ty

[11]) Długosz. Dz. P. III, str. 431.

przyjmujesz ku chwale królestwa Swego; którego dusza moja wielbi. Daj mi, miły Panie, prawą drogę — Boże Wszechmogący, Ojcze mój! Jenżeś mię uczynił z niczego! Tyś jest Stworzyciel mój i wiecznie miłe Zbawienie, na ołtarzu tutaj ninie. I tu są z nieba anielskie moce raczcie mi być ku pomocy. Uczyń to Panie! prze te wszystkie męczenniki Twe i prze prośbę Matki Twej, aby nie miało zginąć Stworzenie Twe! Dajże mi przez imię Twe, miły Panie, abych mogła ścierpieć przeciwności, bo jeś Ty wszystkich pokutujących zbawienie, a innego nie wiem, jedno jeś Ty sam mój miły Mistrz i Pan, która się Tobie na miłość dawam! Nie oddalaj Panie oczu Swych od stworzenia swego, wszakożeś cierpiał za nie, a z tego wielbi Cię dusza moja jako Stworzyciela Swego!".

Temi słowy modlić się mogła Jadwiga u stóp Ukrzyżowanego w katedrze na Wawelu. I Chrystus, jak głosi wymownie legenda, zanotowana po łacinie u stóp tego krucyfiksu, oświecił jej umysł i natchnął serce.

W wyniku tego poświęcenia stało się jej udziałem to, czego „nie mogli dokonać mnodzy króle i cesarze" — dzieło nawrócenia Litwy. W tym okresie życia dwunastoletnie dziecię stanęło wobec problemów, których rozwiązanie przerastało siły ludzkie, po ludzku biorąc. „W gwatłownej rozterce przychodzi jej w pomoc egzaltowana pobożność owych czasów, zdolna łamać czy opanować niejedną namiętność, skłaniać do wielkiej misji religijnej, do podjęcia zadań apostoła. Prawdziwa córa swego wieku, skłonna była kochać przedewszystkiem to, co było miłem Bogu, więc też miłość i małżeństwo pojmowała jako powinność moralną" [12]).

---

[12]) Królowa Jadwiga. Józef Czarnecki. Nakł. Naszej Przyszłości 1932.

Powoli, przełamując porywy czysto ziemskie serca i skrupuły sumienia, zaniepokojonego koniecznością złamania słowa, Jadwiga dorasta do zrozumienia wielkiej misji religijnej, do podjęcia zadań apostolstwa chrześcijańskiego.

Niezwykły walor tego faktu oceniono przedewszystkiem w Rzymie, jakkolwiek nie odrazu. Przeszkodziły bowiem temu intrygi Krzyżaków, niewątpliwie zaniepokojonych, że chrzest Litwy odbierze im pretekst do grabieży i podbojów, oraz matactwa Wilhelma, który, podniecony obrażoną dumą i zawiścią, słał skargi do Rzymu, uwięził nawet posła polskiego, kan. Mikołaja Trąbę, jadącego z wyjaśnieniem do Stolicy św.

Aby zrozumieć konflikt dramatyczny, jaki targał duszę Jadwigi i ocenić wartość jej ofiary, na którą złożyła „resztę swego życia", jak powiada historyk J. Szujski [13]), należy zwrócić uwagę na fakt, że to jej dzieło apostolskie było związane z podwójnem poświęceniem: nietylko musiała się wyrzec swej poprzedniej miłości, poniekąd zaprzysiężonej, ale przyrzec miłość dozgonną innemu, który w jej oczach uchodził początkowo za barbarzyńcę.

Konflikt duchowy Jadwigi pogłębił się przez konflikt dwu kultur, kultury Zachodu, której ona była jednym z najszczytniejszych wykwitów i Wschodu, który jednak, gdy mowa o pogańskiej Litwie, różnił się głęboko obyczajami i atmosferą duchową od zachodniej Europy.

W tej płaszczyźnie dramat Jadwigi ujmował Stanisław Brzozowski.

Wyrzeczenie się zaręczyn z Wilhelmem na rzecz małżeństwa z Jagiełłą było odstąpieniem od budzącej zaufanie pewności człowieka, choćby nawet nie-

---

[13]) Szujski Józef. Dzieje Polski.

zbyt wartościowego, ale bliskiego, jakim był młody Habsburg, ku niepewności, jaką przedstawiał obcy jej pod każdym względem Jagiełło.

Trzeba to zrozumieć, zgłębić, przeanalizować, aby ocenić pełną heroicznego poświęcenia decyzję Jadwigi, która, niepełnoletniem dziewczęciem będąc, podejmowała przecież zobowiązania na całe życie.

O ciężarze tych zobowiązań miała ją pouczyć najbliższa przyszłość. Mamy na myśli posądzenie Jadwigi o niewierność małżeńską.

W chwili jednak pierwszego przełomu dusza jej drżała pod naporem niepokoju, płynącego z rozterki między chęcią dotrzymania ślubów z Wilhelmem, podnietą rozszerzenia wiary Chrystusa i wzmocnienia państwa i lękiem przed związkiem z barbarzyńcą. Bądź co bądź, jakkolwiek wielkim był cel, cena jego osiągnięcia — zgoda na tak bliski związek z nieznanym, obcej kultury człowiekiem, wydawać się musiała młodocianej królowej wprost niemożliwą.

Trzeba się wczuć w psychologję młodej kobiety. Punkt kulminacyjny tego przykrego napięcia psychicznego nastąpić niewątpliwie musiał w związku z aktem prawdziwie chrześcijańskiej pokory, na którą się wkońcu zdobyła. „Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie“, powiedzieć sobie musiała Jadwiga. Spłynęło wówczas na nią pierwsze ukojenie. „Bóg tylko pokornym łaskę dawa“.

Powyższa decyzja Jadwigi to nie był bynajmniej kres jej trudności życiowych, to był zaledwie ich początek.

Akt tej pokory jest tym znamienniejszy i cenniejszy, że Jadwiga musiała zwalczyć w sobie poczucie wolności, zarówno wrodzone, jak i wypływające ze stanowiska monarchini: godziła w nie akcja pa=

nów krakowskich, realizujących bezwzględnie swe plany dynastyczne.

Dalej danem było Jadwidze zasmakować goryczy potwarzy i ludzkiej niewdzięczności. Do ofiary poświęcenia musiała dodać ofiarę publicznego upokorzenia.

Jadwiga, jak wiemy, została na skutek intryg Gniewosza z Dalewic, dawnego zausznika Wilhelma, posądzona przez Jagiełłę o niewierność małżeńską.

Dla Jadwigi potwarz ta musiała być szczególnie okrutną, nie do zniesienia zniewagą. Więc w oczach ludzi, w oczach tego, któremu oddała siebie w małżeństwo w interesie rozszerzenia wiary Chrystusowej, była niezdolna do zachowania wiary małżeńskiej?

To drugie przeżycie królowej było niewątpliwie o wiele boleśniejsze od poprzedniego.

Dramat jej pierwszego poświęcenia opromieniała wzniosłość, apelowano wówczas do jej godności, do jej szlachetności, do jej chrześcijańskiego wyrobienia. Obecnie tę godność sponiewierano, unurzano w błocie zniewag i ubliżających podejrzeń, jej chrześcijańskiego ducha podano w wątpliwość, uderzono w to, co kobieta ma w opinji świata najcenniejszego, w jej cześć.

Wszystkie szlachetne intencje, które kierowały dotąd jej postępowaniem zostały wyszydzone, wydane na pośmiewisko. Oto ledwie umilkły odgłosy wesela z Jagiełłą, znalazła już sobie — jak głosiła plotka — drogę do Wilhelma, z którym uroczyście zerwała. Królowa cię zdradza — podsuwał Jagielle Gniewosz, i król uwierzył mu, wyrządzając przez to Jadwidze zniewagę najwyższej miary. Z tej to strony nie spodziewała się zdrady i niechęci.

By odmalować wytworzoną sytuację i stan wewnętrzny Jadwigi, należy zwrócić uwagę z jednej

strony na splot skomplikowanych czynników życia publicznego, całą subtelną grę polityczną, której centralną osobą była Jadwiga, upragniona przez wszystkich, póki mogli ubiegać się o jej rękę, czy królewski protektorat i budząca zawiść i nienawiść, gdy te rachuby zawiodły lub stały się nieaktualne.

Z drugiej strony nie należy zapominać o charakterze i temperamencie Jadwigi. Była to kobieta pełna naturalnej siły i radości życia, porywcza, zdolna do wielkich pasyj, które poruszają całą istotę ludzką. Z tem wszystkiem łączyło się poczucie królewskiego majestatu, we krwi leżąca od całych pokoleń władczość. Czuła się królową, nietylko wyższą w hierarchji społecznej, ale wyższą ponad małostki ludzkie.

Z tego źródła płynęła poprzednio jej nieustępliwość i radykalizm w doprowadzeniu do skutku związków z Wilhelmem. To była nietylko sprawa jej serca, ale też jej godności monarszej. Contracta sunt servanda. Umowy winny być dotrzymywane.

Na tem opiera się potęga państwa i honor panujących.

Tę samą szlachetną pasję, to samo poczucie honoru, które kazało jej imać się topora, aby utorować drogę do spełnienia obowiązku i powołania serca, do obrony prestiżu majestatu — włożyła potem w przeprowadzenie związku z Jagiełłą i Litwą oraz dopełnienie wszystkich wynikłych stąd konsekwencyj.

Jadwiga nie była miękką, ani względem siebie, ani względem innych.

Nietrudno sobie wyobrazić wrażenie i poczucie niezatartej krzywdy, jaką wywołał w niej fakt podejrzeń o niewierność ze strony Jagiełły, tego, któremu jeśli nie mogła już ofiarować pierwszego porywu serca, to jednak dopełniała uczciwie powinności małżeńskiej.

W tym momencie odczuła Jadwiga cały ciężar kontrastu dwu kultur, Zachodu, do którego należała, i Wschodu, który reprezentował Jagiełło.

Jego pierwotna podejrzliwość, jego prostactwo w ujmowaniu problemów życia, brak jakiejkolwiek zdolności wczucia się w dramat innej duszy, niezdolność do subtelnych reakcyj na skomplikowane przejawy psychologji związanej ze sobą istoty — odkrycie tego wszystkiego w jednej błyskawicy rodzącego się konfliktu małżeńskiego okazać się musiało dla Jadwigi wprost tragicznem.

Nie wahamy się użyć tego określenia, gdyż widzimy w niem wyjaśnienie niektórych reakcyj Jadwigi na próby zażegnania konfliktu ze strony osób trzecich.

A więc najpierw jej oburzenie i gniew wobec interwencji swego spowiednika, ks. Wysza, który ją zachęcał do pogodzenia się z małżonkiem. Zwykła śmiertelniczka mogłaby to zrobić, królowa — nie! Królowa musiała bronić honoru swego imienia. I dobrze się stało! Proces sądowy, który następnie wytoczono oszczercy, jest jednym z zasadniczych argumentów przeciw całej następnej kampanji, prowadzonej w Niemczech z inicjatywy Wilhelma.

Zamyka on usta wszystkim oszczercom, których nie brakło wśród kronikarzy oraz różnych możnych osobistości ówczesnych i późniejszych.

Problem, który biograf Jadwigi ma tu do rozstrzygnięcia, jest niewątpliwie ważny i zasługuje na pogłębienie i rozwiązanie ostateczne na podstawie dokumentów.

Wracając zaś do problemu czysto psychologicznego, musimy podkreślić u Jadwigi wielką szlachetność motywów i sposobów postępowania i niezwykłą wspaniałomyślność wobec Jagiełły, który nie

umiał się oprzeć pokusie niewczesnych podej-rzeń [14]).

Kiedy sprawa przeciw Gniewoszowi już się od-była ,przynosząc Jadwidze należną satysfakcję mo-ralną i tryumf jej dobrej sławy, a winowajcy sromot-ną karę (oszczerstwo psim głosem musiał odszcze-kać pod ławą), Jadwiga odrazu pozbyła się wszelkiej urazy do męża, zarówno jak i do podżegacza całego konfliktu.

I dała tego wymowne dowody.

W jakiś rok po przykrych zajściach Jadwiga, pod nieobecność Jagiełły, który pojechał na Litwę godzić krwawe waśni między Witoldem i Skirgiełłą, dokonała wielkiego aktu państwowego, czyniąc wra-zie swej śmierci dziedzicem korony polskiej swe-go małżonka.

Psychologiczny podkład tego aktu, poza jego czy-sto państwowym walorem, stanowi zarówno przeba-czenie winowajcy, jak i rezygnacja z życia, którego ciężar tak dotkliwie dał się odczuć kilkunastoletnie-mu dziecku. Ten suchy dokument oficjalny więcej nam może powiedzieć o wewnętrznych rozterkach, bólach i zmaganiach się Jadwigi od najwymowniej-szych wynurzeń.

Opisany powyżej okres życia królowej nacecho-wany jest cierpieniem, w którym dusza Jadwigi mężnieje i oczyszcza się. Opadają z niej stopniowo duma (pyszną nie była nigdy) i wyniosłość. Na ich miejsce powstaje pokora i współczucie dla ludzi. Toć Jadwiga staje się pierwszą orędowniczką Gnie-wosza z Dalewic w jego zabiegach o przywrócenie do łaski królewskiej, czego też wkrótce dostępuje. Co za wielkoduszność, trudna do pojęcia!

Im bardziej Bóg doświadcza Jadwigę, zaszczyt

---

[14]) Długosz. Dz. P. t. X, str. 454.

panowania każąc okupywać ofiarami, tem bardziej królowa dojrzewa duchowo. Im więcej zsyła cierpień, zabierając jej matkę, siostrę i zostawiając w osamotnieniu zupełnem obok męża, napoły barbarzyńcy, w środowisku, które wymaga od niej ustawicznych ofiar, tem bardziej staje się uległą woli Bożej.

„Wszystko, co było bliższe jej sercu, straciła, a ci, z którymi związał ją Bóg, poili ją goryczą“ — powiada Szajnocha [15]).

W tych warunkach nie popaść w rozpacz i prostrację, nie złorzeczyć Bogu i ludziom, to znamię przecież dojrzałości duchowej. Czyż tak łatwo ją się zdobywa. A przecież Jadwiga, jeśli się da porwać choćby gniewowi, to będzie to raczej gniew świętego oburzenia.

Tak było w incydencie z Gniewoszem, tak było w starciu się z Krzyżakami na zjeździe we Wrocławiu, gdzie uniesiona gniewem, wypowiada straszną groźbę na głowę rozzuchwalonego Zakonu. W jasnowidzeniu przepowiada mu klęskę niechybną i pogrom.

Wracając jeszcze do sprawy oszczerstwa, wspomnieć musimy o incydencie z ks. Wyszem, notowanym zwłaszcza przez niechętnych królowej niemieckich kronikarzy i dlatego kwestjonowanym.

Psychologicznie rzecz biorąc, leżał on w możliwościach reakcji Jadwigi. Znamy przecież jej gwałtowną próbę wydostania się z zamku i przebicia drogi toporem. Uprzytamniamy sobie, że dopiero cudowny gest wawelskiego krucyfiksu przemógł zapamiętałość królowej. Przekonała się ona, że ponad sprawy ziemskie wyższa jest wola Boża.

Ale przecież odnaleźć tę wolę Bożą wśród zawile-

---

[15]) Szajnocha Karol. Jadwiga i Jagiełło, tom. IV.

go splotu spraw, w skomplikowanych sytuacjach życiowych, wyczuć głos Boga w duszy i poddać się mu z miejsca, do tego trzeba zarówno łaski jak i heroizmu.

Nie dziwmy się więc, że w domniemanym wypadku interwencji swego spowiednika Jadwiga gwałtownie i odmownie zareagowała.

W grę wchodziły tu momenty nietylko czysto osobiste, to całkowite odwrócenie się sytuacji, w której się znalazła. Wszystko, co było przedmiotem jej poświęcenia: wyrzeczenie się Wilhelma — złośliwa plotka zamieniła na nikczemny wybieg. Czyż nie może boleć człowieka tak całkowite wywrócenie na nice jego intencji, a także najzupełniej fałszywe oświetlenie czystości jego działania. A przy tem wszystkiem Jadwiga nie była tylko przeciętną żoną, oskarżoną o zdradę małżeńską, była monarchinią, obowiązaną bronić swego autorytetu. Wiarołomstwo zwykłej mieszczki jest nikczemnością, a cóż dopiero wiarołomstwo królowej. Tu naraz dwie przysięgi zostają podeptane, a do tego przysięgi te Jadwiga okupiła rezygnacją z dawnych, najserdeczniejszych zaklęć i zobowiązań.

Ujrzeć w błocie oszczerstwa tyle ofiar i poświęceń, zaiste trzeba wielkiej przytomności umysłu i opanowania, by nie wybuchnąć. Nie wymagajmy tego od szesnastoletniej istoty. Człowiek dojrzały jeszcze wykazałby niejedno załamanie i wahanie.

Inna rzecz, że tak przykre doświadczenia bardzo szybko rozwinęły dojrzałość duchową Jadwigi. Cierpienie co dnia dodawało nowy, uszlachetniający rys do jej duchowej sylwetki. Krzywdzona tak ustawicznie przez ludzi, przez swego małżonka, nie wiele trudu zadającego sobie dla jej zrozumienia, nauczyła się Jadwiga współczuć innym.

Świadczy o tem wymownie jej zainteresowanie

dolą nałsłabszych, najuboższych. Jadwiga, która w swej samotności tyle łez przelała, rozumie brzemię cierpienia, gorycz łez, zwłaszcza wylanych pod naciskiem niesprawiedliwości. Woła więc: „Któż łzy powróci“ tym, którym wycisnęła je niegodziwość ludzka.

Ten okrzyk młodocianej królowej rzuca więcej przenikliwego światła na jej mądrość, na głębokość intuicji jej serca od całego szeregu innych, najznakomitszych jej postępków i poczynań.

Świadczy o niezmiernej tkliwości, która ogarnia całą zjawiskowość życia, nietylko jego zewnętrzne przejawy, ale i najgłębszą, najbardziej wewnętrzną treść.

Bo też w Jadwidze rośnie z dnia na dzień wspaniały człowiek wewnętrzny, miłujący Boga i ludzi, Bogu chwałę, a ludziom miłosierdzie czyniący.

Wczytująca się w kartki książki „De contemplatione et vita activa“, Jadwiga uczy się powoli, ale systematycznie służby Bożej, polegającej na utrzymywaniu duszy w czujności, ciała w dyscyplinie, myśli w rejonie najwyższych natchnień, serca w czystości, skierowaniu uczynków na pole miłosierdzia, słowem ujęciu całego życia w karby obowiązku.

13 lat wytrwała Jadwiga przy boku męża niekochanego, w tem czysto ludzkiem pojęciu rzecz biorąc, któremu dochowała przecież wierności, w imię złożonej przysięgi, na tronie obcego narodu, którego sprawom oddała całą swą troskę i który, tyloma dobrodziejstwami przez nią obdarzony, jeszcze ze śmiertelnego łoża zrywał modłami królowę, by nadal mu służyła i swą opieką otaczała.

Te lata ostatnie wypełnia asceza, przy liczeniu się z koniecznościami życia reprezentantki tronu, nawskroś zakonna. Motlitwa, umartwienia, częste

posty, ćwiczenia duchowne, ofiary błagalne i dzięk=czynne.

Odrzuciła wszelkie wspaniałe stroje i przywdziała włosennicę i grubą bieliznę. Oddana rzeczom Boskim nie zaniedbywała w niczem najdrobniejszych nawet spraw swego stanowiska.

W ten sposób starała się zaakcentować, jak dalece obce są jej sprawy świata, jak jedynym ideałem jest „anielska czystość tak jasna i niewątpliwa, żeby na nią i potwarz nie imała się porwać“ (Z. Kaczkowski: „Kobieta w Polsce“).

„Wyniosła potężnego narodu królowa, córka i wnuczka najpotężniejszych królów europejskich, była w swoim zakresie służebnicą pokorną i sama wszystkim służyła. Z jėj dobroczynnej ręki rozchodziły się niezliczone dary pomiędzy wszelkie ubóstwo. Nie wahała się wchodzić w najdrobniejsze szczegóły nędzy udających się do niej żebraków. Rozdawała im własną ręką jałmużnę, opatrywała rany, rozdawała leki“.

To życie pokutne i dobroczynne miało być zadośćuczynieniem, a jednocześnie błaganiem o łaskę macierzyństwa. I stało się, że dostąpienie jej życiem musiała przypłacić. Słowem każda z pociech zwykłego ludzkiego życia jej zawsze wymykała się z rąk.

Odeszła w zaświaty, lecz dzieło jej żywota okazało się wiecznotrwałe. Z jej ofiary Polska stała się mocarstwem, a Europa schrystjanizowana ostatecznie, czego, jak pisze współczesny kronikarz, „mnogim królom i cesarzom się nie udało!“ Jej życie publiczne, zaczęte od apostolstwa Litwy, było jednym wielkim aktem apostolskim.

Wspaniały rysunek psychologiczny zmarłej królowej nakreślił nad jej otwartą trumną natchniony

kaznodzieja Stanisław ze Skarbimierza, wychowanek Akademji praskiej. Mimo poczucia wdzięczności dla swej dobrodziejki, dał przecież objektywny w formie konterfekt duchowy, do którego dodać lub odjąć nie wiele już trzeba dziś po pięciu wiekach.

Czystą i piękną polszczyzną zabrawszy głos, zagaił swe kazanie obrazem stworzenia człowieka. Bóg wywiódł go z nicości, aby dać mu życie wiekuiste, pozbawione goryczy śmierci. Lecz człowiek zgrzeszył, więc oddalił Bóg człowieka sprzed oblicza swego i odebrał mu radość życia, oddając go na pastwę wszelkich klęsk i rozpętanych żywiołów i kładąc rychły kres ziemskiej wędrówki.

Lecz Bóg nie karze bez miary. Jest sprawiedliwy; choć człowieka utrapił, to jednak zostawił mu możność pocieszenia i zbawienia. Człowiek oczyszczony od grzechu do nieba idzie, aby odebrać godną swej zasługi nagrodę.

„Jeżeli Ojciec potajemnie i niespodziewanie kogo przywołał, aby według zasług nagrodę odebrał, nierozsądnie jest za tym płakać, o którym ufamy, iż koronę wiekuistą otrzyma. Lecz my, gdy Pan nas do siebie powołuje, lubimy ociągać się; gdybyśmy tylko mogli, chętniebyśmy się odwołali, prosili o przedłużenie, wymówili się i na czas sobie odwłokę uprosić nie omieszkali. Niechętnie bardzo idziemy do Boga, który dla nas niebieskie zgotował nagrody. Co dzień prosimy: „Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja", a jednakże, gdy przyjdzie wola Tego, który umarza, aby ożywił i zawiódł do nieba, smucimy się i płakać zaczynamy.

„Wyznaję wszelako, iż nie można ludziom zakazać, mając wzgląd na ludzkie serce, nie można zakazać im żalu za zmarłymi, ale ten niech będzie umiarkowany, bo czytamy, iż święci, a nawet Świę-

ty pomiędzy świętymi, Pan nasz Jezus Chrystus, łzy rzewne wylewał. Nie należy wszelako prosić Boga o przedłużenie życia tym, których Bóg wzy⸗wa do życia wiecznego. Los nasz równy z innymi być musi, bośmy wraz z dziedzictwem po ojcach naszych i los ich odziedziczyli i być inaczej nie mogło.

„Niech to Jego Królewska Mość i przytomni tu panowie rozważyć raczą, że co do życia i śmierci, przyjścia na ten świat i wyjścia oraz przyszłego zmartwychwstania wszystkich jednaki los czeka: króla i rycerza, sługę i księcia — bogacza i ubogie⸗go. Zważcie i wy, ludzie, że Bóg nie uczynił nam krzywdy, zabierając do siebie Jadwigę, królowę niegdyś polską, Bóg bowiem sprawiedliwy jest: co zrobi, jest dobre, co chce, święte jest, krzywdy jej nie zrobił. Boć każdy na ten świat przyszedł, aby z niego wystąpił.

Wyznaję jednak, żeśmy się modlili, żeśmy pła⸗kali, a głosy nasze aż niebios sięgały, aby ją nam Bóg zachował dla ozdoby Królestwa Polskiego, dla pokoju, jako osobliwszy nasz skarb, ucieczkę wdów, pociechę biednych, wsparcie uciśnionych, aby było komu szanować biskupów, pomagać duchownym, wspierać cierpiących, prawo Boskie strzec i zacho⸗wywać, a jednakże tegośmy u Boga wyprosić nie mogli. Modliliśmy się, jakeśmy umieli, jakeśmy to słyszeli i widzieli w miejscu Bożem i na górze Świę⸗tej, po kościołach, przy ołtarzach, w ozdobach, w znakach, radą i uczynkami, jak nam kazano, bo⸗śmy wiedzieli, że naszym duchownym była dobro⸗dziejką, pocieszycielką wdów, obroną ubogich i po⸗krzywdzonych. Ona wstawiała się do króla za ty⸗mi, którzy byli u króla w niełaskę popadli; kogo sprawiedliwość króla, pana naszego, przeraziła, te⸗go ona swojem wstawieniem pocieszała. Widzieli⸗

śmy, jak była rozumna w radzie, przezorna w sprawach, jak pilnie starała się zachować, co do korony polskiej należało. Widzieliśmy, jak pięknego była lica, jak szlachetnego rodu, jeszcze piękniejszych była postępków. Lubo na wysokiej godności, jak była w duchu pokorną. Widzieliśmy, jak stawiała kościoły, zdobiła ołtarze, jak czciła biskupów i księży; z jaką pobożnością przyjmowała ubogich, jak chętnie każdemu do siebie przystęp dawała, jak nikomu nie ubliżyła, jak łagodna, niewielomowna była, jak się gniewać nie umiała. Wieleśmy jej zacnych widzieli przymiotów, wieleśmy zaznali, więcejbyśmy widzieli, gdyby się było Bogu podobało zachować ją pomiędzy śmiertelnikami. To niech będzie dla nas pociechą, że gdy nam żal, że tak cnotliwa umarła, przynajmniej cieszyć się możemy, że taką była żyjąc, że tak żyła, że sława jej nigdy na ludzkich ustach nie zamrze, bo ona jest, jak w Bogu ufam, w niebie umieszczona i w sercach chrześcijańskich. Imię jej zapisane jest w księdze żywota. Boską była jej dusza, dlatego uleciała do Królestwa Bożego, to życie za wygnanie tylko sobie miała i dlatego z padołu płaczu w niebieskie wróciła strony.

„Czyniła pokój i dlatego w przybytku świętości, na Syjonie, jest jej mieszkanie.

„Starała się o cześć Boga i dlatego radość wieczna nad jej głową spoczywa.

„Kochała wojujący Kościół i, o ile mogła, ochraniała go i dlatego z wojującego przeniosła się do tryumfującego, jak pobożnie wierzyć się godzi.

„Zapalała się do dobrych uczynków serca duchownie żyjących i dlatego, lubo który przez ułomność ludzką przepomniał je, jednakże ich modli-

twami wsparta, już, jak rozumiem, dostąpiła nakoniec zbawienia, a później i błogosławioną zostanie.

„Bóg, rozlewający błogosławieństwo swe na cnotliwych, raczył z miłosierdzia pozwolić, iż się przed śmiercią w Sakramenta zaopatrzyła.

„Wiele ona, żyjąc, cierpliwie i w milczeniu znosiła. Nie mogąc czego wytępić, znosiła łagodnie i ażeby dała dostateczniejszy dowód swej cierpliwości, Bóg ją srogiemi przeciwnościami nawiedził, różnemi chorobami i pokusami trapił, z czego, jak kruszec z ognia, czyściejszą jeszcze wyszła.

„Niechaj jego królewska mość nie poddaje się nieumiarkowanemu żalowi, ale raczej raduje się, iż taką miał małżonkę, a teraz świętą tego królestwa i ludu obronicielkę; a jeśli się smuci jej śmiercią i że jej już nie ogląda, niech raczy wspomnieć, że się przeniosła do wieczności, poszła drogą, którą sam Bóg wskazywał, Bóg, który umarza i ożywia, prowadzi do piekła i z piekła wybawia.

„Opuściła nas królowa i poszła tam, gdzie nasze dziedzictwo, a spodziewam się, że Bóg, którego kochała, za znikome królestwo — wiecznem, za koronę więdniejącą — niezwiędłą, za światową dostojność, która jak cień mija, czcią wieczną obdarzyć raczył, a przynajmniej dał jej prędko cieszyć się oglądaniem Bogarodzicy i wszystkich świętych.

Nie dziwujmy się, że poszła, gdzie ją Bóg powołał, nie miejmy żalu, że mimo łez wylanych, procesyj licznych i składanych wotów, Bóg gorących próśb o zatrzymanie jej na ziemi nie wysłuchał, albowiem, być może, królowa godniejszą była żyć pośród wiecznej chwały, jak na tym padole płaczu; albo może Bóg ją zabrał, aby złość nie zmieniła jej życia, boć ona wyższą była nad wielu i mogła powiedzieć, iż pragnie śmierci, aby być z Chrystusem. Albośmy niegodni byli taki skarb posiadać: może

jednych uniosła pycha, innych nieprawość poniżyła, innych lichwa i ohydne cudzołóstwo, na innych użalają się wdowy, płaczą małoletni, utyskują kościoły; inni tak się zapomnieli, że o siebie tylko dbają, o sobie tylko gadają, innych znów najrozmaitsze nękają grzechy. Każdy ma w domu swoim bożyszcza, mają potwory, na które Bóg gniewa się. Albo może to nieszczęście, ta bolesna strata naszej królowej dlatego stała się, abyśmy dali próbę naszej wiary, aby wschód i zachód i inne strony świata znały i widziały wiarę naszą, nasze przysięgi. Albo żeby wypróbować cierpliwość naszego króla, który sam bowiem ciężkich już doznał przeciwności; to przez śmierć matki, to przez braci, to przez wojny i różne okoliczności, a świeżo stracił swoją wielkiej zacności małżonkę, może aby cnota jego tem świetniej się pokazała, im te troski przez Boga zesłane znosi cierpliwiej, którego niech Bóg raczy pocieszać i zachować na naszą pociechę, a jego małżonce dać koronę niebieską. Amen".

Kazanie to stanowi pierwszorzędny przyczynek hagjograficzny, jest bowiem dokumentem cnót i świętobliwości Jadwigi, pochodzącym od naocznego świadka jej życia, człowieka natenczas jednego z najświatlejszych w Polsce.

Kaznodzieja wysławia zarówno cnoty teologiczne zmarłej, mówiąc o jej niezłomnej i żarliwej wierze w Chrystusa, dla połączenia się z którym — wyraża przypuszczenia — że mogła „pragnąć śmierci", podkreślając jej nadzieję i ufność w Opatrzność Bożą w słowach „Bóg ją srogiemi przeciwnościami nawiedził, różnemi chorobami i pokusami trapił, z czego, jak kruszec z ognia, czyściejszą jeszcze wyszła, żyjąc cierpliwie i w milczeniu", sławiąc jej miłość Boga i bliźniego, przejawianą w licznych modłach, nabożeństwach, ofiarach, postach,

stawianiu świątyń i dotowaniu duchowieństwa, i wreszcie w uczynkach miłosierdzia względem ubogich i opuszczonych.

Nie mniej płomiennemi słowy podkreśla jej dalsze cnoty główne: roztropność, sprawiedliwość, męstwo. „Widzieliśmy — woła kaznodzieja — jak była rozumna w radzie, przezorna w sprawach, jak pilnie starała się zachować, co do korony polskiej należało. Jak chętnie każdemu przystęp do siebie dawała, jak nikomu nie ubliżyła, jak łagodna, niewielomówna była, jak się gniewać nie umiała“.

Więc mniema kaznodzieja ,że „świętą tego królestwa i ludu obronicielką — patronką“ się stała.

Wogóle całe kazanie natchnione jest przeświadczeniem o heroizmie i wyjątkowości życia zmarłej, jak i o nagrodzie wiecznej tak wielkiej, jaka udziałem jest wybranych przez Boga. „Imię jej zapisane jest w księdze żywota“. „Kochała wojujący Kościół i dlatego z wojującego przeniosła się do tryumfującego“.

Mimo całej czci i uwielbienia dla zmarłej, jakie ożywiają kaznodzieję, kazanie nie jest jednak bezkrytycznym panegirykiem. Za wiele przewija się się w nim realnych szczegółów, znanych współczesnym, a dziś nam dostępnych ze źródeł historycznych. Kaznodzieja umiejętnie połączył charakterystykę i opis życia świętej zmarłej z natchnioną pochwałą jej cnót. I dlatego kazanie to uważać należy za jeden z pierwszorzędnych dokumentów hagjograficznych.

Dalszym tego rodzaju dokumentem jest akt, potwierdzający dwa cuda pośmiertne Jadwigi oraz omawiający jej świętobliwość, w tłumaczeniu z łaciny, sporządzonem przez biskupa Władysława Bandurskiego, który brzmi:

„Wojciech z Bożej łaski św. gnieźnieńskiego kościoła arcybiskup, prymas, przewielebnemu w Chrystusie ojcu, panu Zbigniewowi Oleśnickiemu, z tej samej łaski bratu i współbiskupowi naszemu krakowskiemu i jego in spiritualibus wikarjuszowi, tudzież wszem wobec i każdemu z osobna, tak rzeczonej katedry, jak i innych kościołów kolegjalnych, opatom w Tyńcu i Mogile, a także przełożonemu miechowieckiemu zakonów św. Benedykta, Bernarda i szpitala grobu pańskiego i wszystkim innym prałatom i kanonikom, doktorom i mistrzom Kościoła, diecezji, o których się już powiedziało i jeszcze powie, zasyła pozdrowienie i to, co się z pozdrowieniem łączy, prosząc, by dali wiarę niezachwianą temu, co niżej napisano.

„Gdyśmy w niedawnym miesiącu wrześniu z obowiązku wizytacji, tak mocą apostolską, jako też naszego urzędu, przebywali osobiście w rzeczonym kościele krakowskim i w pośród rzeczonej kapituły i innych bardzo wielu mężów niemałej powagi, umyślnie w tym celu przez Waszą Braterską Mość i rzeczoną kapitułę wiernie i jasno zostało nam opowiedziane, jako przedziwny Bóg w świętych swoich czyniąc cuda i stwierdzając dziełami, owocu chwalebnego użyczył zwłokom, czyli ciału i relikwiom pani naszej Jadwigi, niegdyś córki sławnego księcia Ludwika, króla węgierskiego i małżonki prawowitej i królowej najjaśniejszego księcia i pana Władysława itd., współczesnego króla Polski, ku niewymownej czci i chwale swojego imienia i dla opieki zbawiennej rzeczonego królestwa raczył zasługom samej pani królowej, godnym tego, jak pobożnie wierzą, tę łaskę udzielić, iż ona, jak za życia słynęła mnogością cnót i pobożnych dzieł, tak nie mniej po szczęśliwem zejściu z tego znikomego świata poczęła jaśnieć licznymi cudami; o czem

rozgłos publiczny i znakomite świadectwa ludzi wiarogodnych istnieją, tak, iż ci, którzy pobożnie wierzą, że przez zasługi i opiekę rzeczonej pani uwolnieni zostali od rozlicznych rodzajów chorób i nieszczęść, na znak ocalenia i uzdrowienia, składali bardzo wiele znaków, tak zwykłe świece i innego rodzaju dary dokoła jej grobu ustawicznie składają. Lecz ażeby prawda tego rodzaju znamienitych cudów nie umniejszyła się, jeżeli świadectwa ludzi, zwłaszcza podeszłego wieku i uzdrowionych, wraz z pamięcią zaginęły, wreszcie ażeby w sprawach, dotyczących czystości wiary katolickiej i aprobaty Stolicy Ap. wymagających, nie zdarzyło się przyjąć rzecz pewną za wątpliwą, a wątpliwą za pewną i żeby to, co ku czci i sławie swego imienia zastrzegło sobie miłosierdzie Boże, z czasem wskutek opieszałości i niedbalstwa nie umniejszyło się i następstwem tego, nie zostało podane w wątpliwość, zwłaszcza wobec złości dzisiejszych czasów, które wiarę kataolicką niemało obrażają i powagę Kościoła naruszają, dlatego wasza braterska Mość z rzeczoną kapitułą usilnie nas prosił, ażebyśmy, zważywszy opowiedziane niebezpieczeństwa ze strony ludzi i czasów, tak apostolską jak i własną mocą, którą rzeczony obowiązek wizytacji spełnialiśmy, raczyli wyznaczyć i upoważnić kilku mężów zdolnych i wiarogodnych, bystrych i uczonych, drogą i sposobem, formą i prawem, którymibyśmy mogli działać tak w rzeczonej katedrze, jak i w innych kościołach krakowskich, tak zwanych komisarzy i notarjuszów, promotorów i inne zaufane osoby, do dokonania tak zbawiennego dzieła konieczne, którzyby przesłuchali świadków i ich zeznania, tak o życiu, jak i o cudach nieraz już wspomnianej pani królowej pilnie zbadali w tym celu, iżby je w swoim czasie odesłać do Stolicy Apo-

stolskiej, lub Soboru powszechnego; my więc, Wojciech arcybiskup prymas i wizytator, zważywszy prośbę i żądanie rzeczone, nietylko zgodne z prawem i rozumem, lecz i ku zbawieniu wiernych niemało pożyteczne, do onych próśb i żądań z ojcowskiem uczúciem się przychylamy, ponieważ o życiu chwalebnem i obyczajach Bogu miłych, którymi swą panią, gdy przebywała szczęśliwie na ziemi..., którzy wtedy w mniejszych święceniach spełnialiśmy urząd kanclerza, często wspomnianej królowej, z doświadczenia jaknajdokładniej wiedzieliśmy i teraz wiemy, że spełniała przeróżne uczynki miłosierdzia, cierpliwości, postów, wigilji i niezliczonych pobożnych dzieł.

„Przyjąwszy mimo to informację pokrótce zebraną w formie zwykłej, o ile rzecz ta zdaje się podlegać naszemu badaniu i powadze, was rzeczonego brata i współbiskupa naszego i waszego in spiritualibus wikarjusza generalnego, dziekana krakowskiego, jakoteż zakonnych mężów, panów opata w Tyńcu, w Mogile i przełożonego miechowieckiego zakonów diecezji krakowskiej ich wszystkich imion własnych nie wymieniając i samych... czasowo istniejących, przydając im znakomitych mężów i doktorów, mianowicie: Stanisława de Scarbimiria, Pawła z Brudzewa doktora, syna Włodzimierza i mistrzów Adama de Bątków doktora, Piotra de Wolfram, licencjanta w dekretach, scholastyka gnieźnieńskiego Jaskona de Czechel, kanoników tegoż kościoła krakowskiego, do których dołączamy notarjuszów aprobowanych i prawomocnych, mianowicie, mistrza Pawła de Zator, kustosza Skarbimirskiego, Stefana, wikarjusza, pana Stanisława doktora, Macieja syna Wawrzyńca de Sindzice, Tomasza syna Stefana de Bochno, Jana, syna Stanisława de Drużbice, jako też promotorów spraw te-

go rodzaju, mianowicie mistrzów: Jakóba de Zaborowo i Tomasza de Chroberz, doktorów dekretów, mistrza Mikołaja ,syna Hinczona, kanonika, wicekustosza, wicedziekana i wicekantora rzeczonego kościoła krakowskiego, wyznaczyliśmy i niniejszem ku przyszłej rzeczy pamięci wyznaczamy, pragnąc, żeby zwyż wspomniani komisarze i którykolwiek z nich, mógł to uczynić, nietylko w diecezji krakowskiej, lecz w całej prowincji gnieźnieńskiej, do któregobądź miejscaby przybył, przybrawszy któregoś z rzeczonych notarjuszów, jeżeli go będzie mógł mieć, w przeciwnym razie niech wybierze sobie innych lub innego zaufanego męża i prawomocnych notarjuszów lub notarjusza, tylekroć, ilekroć wypadnie mu to czynić, pod tym jednak warunkiem, żeby na wypadek przeprowadzania badania takiego w państwie krakowskiem, było przytem najmniej dwu komisarzy spośród zwyż wspomnianych.

„Przeto Wam wszystkim i każdemu z osobna zwyż wspomnianym, na mocy rzeczonej władzy pod posłuszeństwem przykazujemy i polecamy, ażebyście, pozbywszy się wszelkiej prywatnej skłonności, jedynie Boga, o którego sprawę chodzi, mając przed oczyma waszemi, starali się ten obowiązek wiernie spełnić i spełniali pilnie, zapłaty spodziewając się od Boga. Dla wiarogodności tego wszystkiego i dla świadectwa tego, o czem zwyż się rzekło, kazaliśmy Wojciechowi Othyra de Luthome i Stanisławowi de Uszcze, notarjuszom publicznym niżej wymienionym, podpisać się i potwierdzić przyłożeniem naszej pieczęci. Działo się i dano w Krakowie, w kapitule kościoła krakowskiego, w poniedziałek 30 września, w porze mniejwięcej tercji, roku Pańskiego 1426, za indykacji czwartej, w dziewiątym roku pontyfikatu najświętobliwszego

w Chrystusie Ojca i Pana naszego z Bożej łaski papieża Marcina V. Obecni byli przytem przewielebny w Chrystusie ojciec pan Jan, arcybiskup lwowski i czcigodni mężowie panowie: Dziwissius, przełożony skarbimirski, mistrz Mikołaj, syn Hinczona, Zbigniew, przełożony wiślicki, Mikołaj de Moskorzow, kustosz w Kielcu, Zygmunt, pleban lelowski, Nemerza de Chrzelow, kustosz św. Florjana i Jan de Koziebrody, kanonik Krakowski, jako świadkowie w diecezji krakowskiej w tym celu wezwani. I ja, Wojciech Othyra, syn niegdyś Marcina de Luthome, publiczny z królewskiego ramienia notarjusz, przy rzeczonej komisji i dekrecie i przy każdej ze spraw wymienionych, które tak, jak wyżej powiedziane, są przez rzeczonego przewielebnego w Chrystusie ojca i pana, pana Wojciecha gnieźnieńskiego arcybiskupa i prymasa i wobec niego odbywały się i działy, byłem obecny wraz z zwyż wymienionemi świadkami i notarjuszem publicznym, i wszystko też widziałem i słyszałem, ponieważ zaś inną, niecierpiącą zwłoki sprawą byłem zajęty, postarałem się, żeby to inny wiernie spisał, własnoręcznie się podpisałem i w tem publiczny dokument ułożyłem, znakiem i imieniem mojem zwykłem, wraz z przyłożeniem pieczęci rzeczonego pana Wojciecha, arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa stwierdziłem pewną jego o tem wiedzę, na świadectwo tego, co zwyż powiedziano, umyślnie wezwany.

„I ja, Stanisław, syn Mikołaja de Uście, kleryk krakowskiej diecezji, publiczny itd. dosłownie jak wyżej.

CUD PIERWSZY.

„W imię Pana. Amen. Roku od narodzenia Jego 1419, za indykcji dwunastej, w drugim roku pontyfikatu najświętobliwszego w Chrystusie Ojca i Pa-

na naszego, z Bożej łaski papieża Marcina V, w piątek, 30 czerwca, mniejwięcej w porze tercji, w kościele krakowskim, w chórze, w obecności mojej jako notarjusza publicznego i świadków niżej podpisanych, w tym celu wezwanych umyślnie i sproszonych, wobec czcigodnego męża mistrza Stanisława de Skarbimiria, doktora dekretów, kanonika kościoła krakowskiego, wikarjusza in spiritualibus przewielebnego w Chrystusie ojca i pana, pana Wojciecha, z Bożej łaski biskupa krakowskiego, osobiście obecny szlachetny mąż, pan Jan, dziedzic de Bejsce, w krakowskiej diecezji, pod przysięgą, złożoną w ręce rzeczonego mistrza Stanisława, doktora dekretów, kanonika i wikarjusza in spiritualibus, po dojrzałej i sumiennej rozwadze publicznie zeznał, jako na wiosnę od święta błogosławionego Stanisława, chwalebnego męczennika, czyli od miesiąca maja włącznie aż do św. Jana Chrzciciela, trawiony był przewlekłą chorobą, mając nogi pokryte pęcherzami czy wrzodami tak, iż, jak mówił, ani stać, ani chodzić nie mógł. I gdy codziennie dręczyły go dotkliwe bóle i gdy wskutek zbytnich cierpień wolał już umrzeć jak żyć, poszedł wreszcie za radą pobożnych ludzi, ślub uczynił Bogu Wszechmocnemu i najjaśniejszej księżnie, pani Jadwidze, królowej Polski, w te słowa mniejwięcej: O najjaśniejsza księżno, pani nasza Jadwigo, która byłaś matką łaskawą sierot, racz mnie wesprzeć w tej ciężkiej niemocy, a jeżeli do dawnego wrócę zdrowia, obiecuję udać się do Krakowa grób twój nawiedzić.

Wkrótce po wyrzeczeniu ślubu począł odczuwać stałe polepszenie, ból złagodniał, a nazajutrz począł bez trudu chodzić. Co wszystko szczegółowo zważywszy, mistrz Stanisław, doktór dekretów, rzeczony kanonik krakowski, jaknajsumienniej zbadał okoliczności i polecał a zarówno i prosił mię no=

tarjusza publicznego, ażebym cudowny wypadek wiernie spisał i ułożył w publiczny dokument. Rok, indykacja, pontyfikat, dzień, godzina, miesiąc i miejsce, za których się to działo podano wyżej. Obecni tam byli czcigodni i przezacni i zaufani mężowie, panowie: Mikołaj Pieniążek, przełożony, Kulczyus cantor, Maciej wicedziekan, Jan Pellicz, Piotr Miles, Piotr Albus, wikarjusze kościoła krakowskiego, jako świadkowie umyślnie zwołani.

„I ja Wojciech syn Jana de Grothow kleryk poznańskiej diecezji, publiczny z apostolskiego i królewskiego ramienia notarjusz, ponieważ przy rzeczonem składaniu przysięgi przez rzeczonego Jana i przy opowiadaniu o cudownem i dziwnem zdarzeniu, przy wszystkiem innem i przy każdej ze spraw, zwyż opisanych, które, jak tu opowiedziano, odbywały się i działy, wraz z nazwanemi wyżej świadkami byłem obecny i ponieważ to wszystko widziałem i słyszałem, przeto publiczne to świadectwo własnoręcznie wiernie spisałem i w publiczny dokument ułożyłem, tudzież znakiem i imieniem mojem zwykłem opatrzyłem, ku temu uproszony i wezwany.

CUD DRUGI.

„W imię Pana. Amen. Roku od narodzenia Jego 1419, za indykacji dwunastej, w drugim roku panowania najświętobliwszego w Chrystusie ojca i pana naszego, z Bożej łaski papieża Marcina V, w piątek, 30 czerwca, w porze mniejwięcej nieszpornej, w kościele krakowskim, w obecności mojej jako notarjusza publicznego i niżej podpisanych świadków, umyślnie w tym celu wezwanych i sproszonych, wobec czcigodnego męża Macieja, wicedziekana i notarjusza kościoła krakowskiego, osobiście tu

obecny przezacny mąż pan Jakób de Cobylinszky, z diecezji krakowskiej, pod przysięgą, złożoną w ręce rzeczonego Macieja wicedziekana i po dojrzałej rozwadze i w dobrej wierze zeznał, jako przez dwa lata, wyjąwszy tylko, jak mówił, sześć lub ośm tygodni, trapiony był przewlekłą chorobą, a mianowicie febrą, powtarzającą się co cztery dni, Bogu Wszechmocnemu i wielu świętym liczne śluby, modlitwy i pielgrzymki obiecywał, błagając o pomoc i uwolnienie od rzeczonej niemocy, czego jednak nie osiągnął. I gdy srodze cierpiał i zbyt wielkie dolegliwości go nękały, powziął zbawienny zamiar, uczynił ślub Bogu Wszechmocnemu i najjaśniejszej księżnie, pani Jadwidze, królowej Polski, w te słowa mówiąc: O najjaśniejsza księżno, pani Jadwigo, polecam się twej opiece, a jeżeli mnie uwolnisz od tej niemocy dotkliwej, obiecuję pójść pieszo do Krakowa i grób twój nawiedzić.

Po uczynieniu ślubu natychmiast, jak twierdził, odzyskał w zupełności zdrowie.

Wobec tego tak szybkiego i cudownego uleczenia rzeczony czcigodny Maciej wicedziekan zbadał i rozważył jak najsumienniej okoliczności i zalecił zarówno i prosił mnie notarjusza publicznego, ażebym cud ten wiernie spisał i w publiczny dokument ułożył. Rok indykacja, pontyfikat, dzień, miesiąc, godzina i miejsce, w których się to działo, podane wyżej. Obecni tam byli czcigodni, szlachetni i zaufani mężowie, panowie: Piotr Miles, Borzko, Filip, Andrzej, Jan, wikarjusze kościoła krakowskiego, Jan, dziedzic Camsky, Jan Schazdy, kasztelanowie grodu krakowskiego, jako świadkowie umyślnie ku temu wezwani. I ja Wojciech, syn Jana de Grothow, kleryk diecezji poznańskiej, publiczny z apostolskiego i królewskiego ramienia notarjusz, ponieważ przy rzeczonem składaniu przysięgi przez rzeczone-

go Jakóba i przy opowiadaniu o dziwnem i cudownem zdarzeniu byłem obecny“—itd. jak na zakończenie opisu pierwszego cudu dosłownie powtarza się.

Opis pierwszego cudu mało nam dostarcza materjału co do charakteru cierpienia, któremu podlegał Jan z Bejsce. Podane jest jedynie, że choroba trwała koło sześciu tygodni. Trudno się domyślić, jakie właściwie było źródło pęcherzy i owrzodzeń, czy były to symptomata jakich poważnych wewnętrznych zaburzeń, czy też skutki zewnętrznych uszkodzeń np. przez oparzenie spowodowanych.

W każdym bądź razie podkreślona jest całkowita niemoc chorego: „ani stać, ani chodzić nie mógł“.

W opisie drugiego cudu mamy wyraźnie wymienioną chorobę, na którą cierpiał Jakób Kobyliński. Jest to febra, powtarzająca się co cztery dni, czyli piętaczka.

Nad rodzajami gorączek zastanawiali się już starożytni. Za czasów Hipokratesa rozróżniano już rozmaite gorączki, np. o podłożu gastrycznem, znano też gorączki typu zimnicy, wśród nich najczęstsze pod określeniem triteophje.

Stan wiedzy medycznej w późnem średniowieczu, t. j. za czasów królowej Jadwigi, nie wiele posunął się naprzód. W każdym bądź razie na zimnicę najprawdopodobniej nie umiano stosować żadnego skutecznego środka.

Powszechnie używana dziś china pojawia się dopiero w Europie między rokiem 1632 — 1639. W roku 1638 zanotowano — rzecz zresztą niedostatecznie sprawdzoną — wyzdrowienie dzięki chinie pewnej arystokratki hiszpańskiej, chorej na przewlekłą febrę. W r. 1643 Inocenty X polecił zbadać właściwości chiny znanej wtedy pod nazwą pulvis jesuitarum.

W tych warunkach śmiało można twierdzić, że

Jan Kobyliński nie mógł nawet liczyć na pomoc ludzką w swej ciężkiej niemocy.

Stąd pierwszorzędny walor drugiego cudu królowej Jadwigi. Nie może tu być nawet cienia podejrzenia, że w tej niemocy mogłyby dać pomoc środki naturalne, skoro żadnych poważniejszych specyfików wówczas nie znano.

W obu cudach mamy do czynienia z cierpieniem przewlekłem, uznanem za nieuleczalne, oraz z momentalnem jego ustaniem, już nawet na skutek uczynionej intencji nawiedzenia grobu świętej Jadwigi.

Te dwie cechy całkowicie kwalifikują autentyczność tych cudów w myśl odnośnych przepisów o beatyfikacji świętych.

Według niektórych, pozostawionych w aktach i kronikach wskazówek należy przypuszczać, że takich aktów sporządzono znacznie więcej, prawdopodobnie kilkanaście. Niestety poza temi dwoma, wyżej przytoczonemi, żaden z tych bezcennych dokumentów się nie zachował.

O cudownych dowodach świętości Jadwigi takie świadectwo składa Długosz [16]).

„Tej pobożnej i błogosławionej niewiasty świętość okazała się nawet po śmierci i dotąd się między nami okazuje, a bez wątpienia i w potomnych wiekach, mimo stygnące w sercach ludzkich cnoty, okazywać się będzie. Za jej bowiem przyczyną i przez jej zasługi umarli wracają do życia, chromi chodzą, ślepi widzą, niemi odzyskują mowę, opętani od czarta z niemocy się wyzwalają, chorzy i rozmaitemi nękani cierpieniami pociechę i zdrowie otrzymują".

W innych kronikach spotykamy też wiele wzmia-

---

[16]) Dzieje Polski. Księga X.

nek o cnotach i świętobliwości Jadwigi. Bernard Wapowski, pisze w dziele swem „Dzieje Korony i W. Ks. Litewskiego“, że zwłoki królowej Jadwigi poczytywane są za święte. To samo głosi Joachim Bielski, wspominając również o cudach, jakie działy się u grobu królowej.

Cuda, wyżej opisane, według ustalonych przez Benedykta XIV norm, należą do trzeciej, najniższej kategorji. Ale to niema znaczenia. Wystarczają one. Ważniejsza jest od tego rzecz inna, by nowemi cudami Bóg potwierdził świętość Jadwigi. A na to musimy sobie zasłużyć gorącemi modłami. Niech więc potrzebujący łask zwracają się o nie za pośrednictwem Jadwigi królowej, aby nowe znaki potwierdziły jej świętość.

Ks. Biskup Pelczar pisał już w r. 1909:

„Słyszę nawet, że w ostatnich czasach parę osób wskutek modlitwy do świętej królowej Jadwigi otrzymało łaski nadzwyczajne, a mianowicie uleczenie nagłe z ciężkiej niemocy ale czy są to fakta z dziedziny nadprzyrodzonej, mające na sobie widoczne piętno cudów, tego przed dokonaniem dochodzenia orzec nie można. Tymczasem św. Kongregacja Rituum tylko takie fakta i to po dokładnem ich zbadaniu przyjmuje jako podstawę procesu beatyfikacyjnego“...

Ks. Biskup Bandurski stwierdził już przed 25 laty:

„Trzeba postarać się o stworzenie silnego fundamentu dla beatyfikacji: muszą być dostarczone dowody świętobliwości życia i cnót wyjątkowych, a przytem pewna ciągłość i żywość czci, istniejącej przez wieki, a podsycanej wyjednanemi łaskami“.

Postulat ten jest wciąż aktualny. Trzeba, by do postulatora procesu kierowano wszystkie wieści, jak tą, o której ostatnio się mówi, cudownego uzdro-

wienia z choroby raka za pośrednictwem Jadwigi, dokonanego w czasie modłów w Częstochowie.

Takich faktów zaszło zapewne już w ostatnich czasach więcej. Konieczne jest, by ci, którzy doznali łask, złożyli świadectwo prawdzie na ręce postulatora procesu. A wtedy proces beatyfikacyjny będzie mógł śmiało się potoczyć. Obecny Ojciec św. Pius XI sprzyja myśli beatyfikacji królowej Jadwigi. Wyraził to w piśmie do J. E. Ks. Biskupa W. Bandurskiego, dziękując mu za przesłane w r. 1925 dzieło o królowej Jadwidze.

Z tak przychylnej w Rzymie atmosfery należy skorzystać i podjęte przed wiekami dzieło posunąć naprzód aż do zasadniczego dokonania.

Józef Czarnecki.

PRZED BRAMĄ BRANDENBURSKĄ.

(Podróż dokoła Niemiec).

MOGUNCJA.

Znałem pewną panią, która powróciła z podróży po Włoszech. Była zachwycona. Zapytałem ją, czy była także w Medjolanie.

— W Medjolanie? Nie, wie pan, w Medjolanie jakoś nie byłam. Zwiedziłam zato Rzym, Padwę, Milano...

Taką gaffę można popełnić także, jadąc do Moguncji. Mainz niewiele przypomina Moguncję, prawda? Można tu dotąd znaleźć pełno śladów kultury rzymskiej. Kiedyś — „Aurea Moguntia", w ciągu dwuch setek lat — wolne miasto, siedziba arcybiskupa i wicekanclerza, do r. 1792 rezydencja Elektora mogunckiego. Od r. 1816 stolica księstwa heskiego, a więc ojczyzna ostatniej rosyjskiej carowej.

Idziemy do hotelu, a stąd prosto na obiad do pierwszej napotkanej winiarni. Kelnerka, śliczna dziewczyna, ze złotym krzyżykiem na szyi, wita nas miłym uśmiechem i osobliwą miejscową wymową.

„I s z m ö s z t e" (Ich möchte)... „M ü n s z e n" zamiast „München" — zabawnie!

Przynosi nam sznycel i flaszkę aromatycznego „Niersteiner Rehbach" — rocznik 1921. Dowiaduje się, że cudzoziemcy, więc pyta, czy może się przysiąść. „Zagaja" od polityki i piąte przez dziesiąte gaworzy coś o „stosunkach" polsko-niemieckich. Nigdy jeszcze na oczy Polaka nie oglądała... Przygląda mi się badawczo i już znowu terkocze, jakbyśmy się znali od kołyski. Skończyła pensję, ale że posady te-

raz znaleźć w żaden sposób nie może, więc pracuje u szwagra, który jest właścicielem tej restauracji, ale jak tylko coś jej się trafi, to rzuci tę pracę, bo to przecież nie dla niej, prawda? A możebyśmy tak zakupili skrzynkę wina reńskiego? W zeszłym roku posłała do Berlina skrzynkę dla jednego cudzoziemca, który tutaj był i strasznie mu nasze wino smakowało...

W rogu dwuch młodych panów nadużyło nieco wina, bo wciąż chichoczą i nawet sobie podśpiewują. Jeden z nich krzyczy „Kalte Ente, einmal!“ Panienka zrywa się i biegnie do bufetu. „Kalte Ente“, czyli „Zimna Kaczka“, to miejscowy trunek. Miesza się szampan, mrożony koniak, do tego dodaje się trochę cukru i cytrynę.

Biorę do ręki „Mainzer Anzeiger“ i w oczy wpada mi cyfra nakładu tej prowincjonalnej gazetki — 45.700 egzemplarzy. A miasto ma zaledwie 142.000 mieszkańców.

Jeden z młodych ludzi chwiejnie powstaje i podchodzi do nas. Czy może usiąść? Obawiam się, że i tak-by usiadł, bo stać długo nie mógł. Wie już, że cudzoziemcy... Polen?... Aha... Przykłada do ust palec na znak tajemnicy. Pragnie nam zwierzyć ważny sekret. „Nie jestem narodowym socjalistą, uważacie panowie, należę do „Stahlhelmu“. I w żaden sposób nie jestem w stanie pogodzić się z panującym reżimem. Jestem kombatantem, a tamci, Bóg wie co za jedni“... Tylko prosi, żebyśmy tego nikomu nie mówili, dobrze? Przyrzekam mu, że zachowam tę tajemnicę do śmierci. Wstaje i odchodzi uspokojony.

Kelnerka, Fräulen Zita, wraca teraz ubrana do wyjścia. Skończyła swoje zajęcia. Fajerant. Zgrabny kostjum sportowy, modny kapelusik, w dłoni rękawiczki ze swińskiej skóry i paczuszka. Szyk i gracja. Idzie się kąpać na przystań. Bardzo chętnie będziemy jej towarzyszyć, jeżeli się zgodzi. „Aber, selbst-

verständlich!" — mówi miękko, pieściwie, djalektem nadreńskim.

Idziemy wzdłuż Renu aleją kwitnących platanów. Na rzece ruch, mijają się statki, między niemi zręcznie kołyszą się łodzie i kajaki. Na przystani pływacy zażywają rozkoszy pływania. Jaka szkoda, że nie mamy ze sobą kostjumów kąpielowych! Panna Zyta żegna się z nami serdecznie. Namawia nas, żebyśmy jeszcze wpadli do Wiesbadenu. Tramwajem będą panowie za pół godziny... Macha nam jeszcze na pożegnanie granatowym kostjumem kąpielowym.

WIESBADEN.

Wystarczy przejechać Ren i już się jest w Wiesbadenie.

Mijamy plac Adolfa Hitlera i przez park zdążamy w stronę kasyna. Nad nami fruwają jaskółki, piszcząc skrzekliwie, a kuzyn mój z powagą wypytuje mnie o nazwy przeróżnych roślin, jakie mijamy po drodze. Kuzyn jest erudytą, biegły szczególniej w astronomji i w botanice. W domu swoim w Südende z dumą pokazuje każdemu ogromne obserwatorjum astronomiczne i zżyma się, kiedy gość nie jest w stanie odróżnić gwiazdozbioru Kasjopei od Wielkiej Niedźwiedzicy.

Teraz irytuje się, że ja nie odróżniam rododendronu od magnolji. Nic na to nie poradzę...

—Czegoś ty się uczył w szkołach, mój chłopcze! — woła oburzony i jak z rękawa sypie niemieckiemi i łacińskiemi nazwami. — Więc może w ornitologji jesteś mocniejszy? Co to za ptak, o tam, ten!

Powiadam, nie bez wahania, że może szpak i kompromituję się na całej linji.

— Szpak, szpak? Jak to będzie po łacinie szpak? Nieuk jesteś, mój drogi, absolutny nieuk.

Czasami nie możemy się dogadać, bo kuzyn zapomniał nazwy polskiej, a ja znów nie pamiętam niemieckiej. Kuzyn wyciąga wtedy notes i zapisuje nazwę. „Nie wymigasz się — potrząsa notesem — zajrzymy w domu do słownika i przekonamy się, kto ma rację!“

Drogę zagradza nam pomnik cesarza Wilhelma II-go w stroju generalskim. „Cesarzowi Wilhelmowi wdzięczni mieszkańcy Wiesbadenu“. Rzeźbił słynny v. Schilling. Dalej pomnik Bismarcka, który tu także czasami zaglądał, teatr miejski, a przed teatrem znowu pomnik Schillera dłuta J. Uphues'a.

Zastanowiła mnie w Wiesbadenie niezmierna ilość sklepów z obuwiem. Poprostu — co krok, to buty! Kuzyn i to potrafił mi wyjaśnić (chodząca encyklopedja). Okazuje się więc, że Wiesbaden zbudowano na gorących źródłach, które tu przepływają pod samą powierzchnią, a biorąc pod uwagę także i tę okoliczność, że w Wiesbadnie nigdy niema śniegu, grunt wyjątkowo jest rozgrzany i skutkiem tego szybko niszczy obuwie. Stąd te sklepy. — Aha! rozumiem.

Przed domem kuracyjnym stoją rzędem eleganckie limuzyny. Wciąż jeszcze nowe przybywają. Panowie we frakach i w cylindrach, panie także w gali. Informujemy się u dostojnego portjera, co to za uroczystość. Portjer otworzył usta, a my omal nie odskoczyliśmy w przestrachu. Okazuje się, że ma on poważny defekt wymowy. Czegoś podobnego dotąd nie spotkałem. Nie mówił, a — strzelał. Strzelał wyrazy, jak z rewolweru.

Długo musiałem czekać cierpliwie, aż portjer wystrzela wszystkie potrzebne naboje. Kuzyn odszedł

na stronę i widziałem, jak z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

— Ależ on wypluwa słowa, jak pestki dyni!

Śmiejemy się obaj do rozpuku. — „No i co ci w rezultacie powiedział?“

— Że to zjazd klubu Rotary.

Oddziałów ma klub Rotary w Niemczech bardzo wiele. Jest to organizacja ekskluzywna, międzynarodowa. Poinformowano mnie, że składa się ona z członków danego miasta, wybalotowanych, a mianowicie po jednym przedstawicielu każdego zawodu spośród miejscowej elity. A więc do Rotary-Club może należeć jeden adwokat, jeden lekarz, jeden literat i t. d. Nie wiem jednak, czy to jest zgodne z prawdą.

Wypijamy w domu kuracyjnym szklankę wody mineralnej i wracamy do Moguncji. Nazajutrz już wyruszamy w dalszą drogę.

FRANKFURT NAD MENEM.
SPRAWY ŻYDOWSKIE.

Wiadomo przecież, że są dwa Frankfurty, które trzeba odróżniać. Ten jest sławniejszy. Uniwersytet. Zgórą pół miljona mieszkańców. Od r. 1562 miejsce koronacji cesarzy niemieckich, a przedewszystkiem miejsce urodzenia Goethego. Także ojczyzna Rotschildów, z których jeden, jak wiadomo, finansował wojnę prusko-francuską, a potem inkasował owe 5 miljardów kontrybucji francuskiej.

Majestatyczny pomnik Bismarcka. Kanclerz siedzi na koniu, którego za uzdę wiedzie Germanja. Bismarck ma wyciągniętą rękę w kierunku zachodnim, jakby pokazując, że tam, a nie gdzieindziej, leży jego cel. Wynika stąd, że w stronę Francji. Pomnik zatem imperjalistyczny w pomyśle.

Oglądamy sobie domek największego niemieckiego poety. Muzeum, niestety, jest zamknięte. Arcystara katedra gotycka, teatr z płaskorzeźbami Goethego i Schlillera, wreszcie rynek i na nim pałac „Rzymianin". Na placu zastajemy zbudowane amfiteatralnie wzniesienie z ławkami. Tutaj, na placu, odbywają się pod gołem niebem teatralne spektakle, coś w rodzaju widowisk Reduty na dziedzińcu uniwersyteckim w Wilnie lub obok Sukiennic w Krakowie.

Przy „Schwarze Katze" (tak tutaj nazywają pewien gatunek wina reńskiego) rozmawiamy o miejscowych Żydach. Niewątpliwie, Frankfurt to jest niemiecki Berdyczów. Ale ekscesów żadnych nie oglądaliśmy. Nie dowodzi to wcale, żeby się nie przytrafiały.

Żydzi inni, niż nasi. Nie rzucają się w oczy ani chałaty, ani pejsy, ani ortodoksyjne mycki. Nie widać ich poprostu.

A więc kwestja żydowska.

Przypomina mi się fragment z jednej z najdowcipniejszych książek, jakie kiedykolwiek czytałem, „Złote cielę", dwuch bolszewickich pisarzy, Ilfa i Pietrowa. Jest tam mowa o wycieczce dziennikarskiej na otwarcie nowej magistrali kolejowej w Z. S. S. R. Mister Burman, korespondent amerykański, powiada, że najwięcej interesuje go w Rosji kwestja żydowska. Domaga się, aby mu wyjaśniono kwestję żydowską.

— U nas niema kwestji żydowskiej — oświadcza mu kolega-Rosjanin.

— Jak może nie istnieć kwestja żydowska? — dziwi się Mr. Burman.

— Niema. Nie istnieje.

— Przecież w Rosji są Żydzi! — denerwuje się Mr. Burman, który przez całe życie pisał tylko o tej

kwestji i dla którego rozstanie się z tem zagadnie=niem byłoby rzeczą niezmiernie przykrą.

— Są — odpowiada kolega=Rosjanin.

— A zatem jest i kwestja?

— Nie, Żydzi są, a kwestji niema.

Możliwe zatem, że Mister Burmana spotkał w Rosji zawód i że kwestji żydowskiej tam nie zna=lazł. W Niemczech są i Żydzi i jest kwestja żydow=ska. Bardzo przykra, nawiasem mówiąc.

Nie jestem antysemitą i, zdaje się, nigdy nim nie będę. W dzieciństwie poznałem starego Żyda, pana Kaca z Makowa, który nam, dzieciom, przywoził na wieś bakalje z Warszawy. Był to stary, porządny Żyd, miał córkę=kalekę, wzbudzał w nas zawsze sym=patję i częstował nas landrynkami. Ilekroć słyszę źle o Żydach, przypomina się stary Kac z Makowa i nie mogę uwierzyć, żeby to był taki zły naród. Otóż, mo=że dlatego właśnie, że nie mogę wielu rzeczy zrozu=mieć, dla mnie kwestja żydowska nie istnieje. Nie zajmuję się nią. Nie mam kompleksu „żydowskiego Hioba“, jak niektórzy warszawscy literaci żydow=skiego pochodzenia.

Musi w tem jednak coś tkwić, że wielu tak tych Żydów nie lubi. Nieraz zapytywano mnie w Niem=czech o polską „kwestję żydowską“.

— Macie u siebie — powiadano mi — 3 miljony Żydów i narzekacie na nich. W pismach czytamy tu=taj, że wielu Żydów polskich usiłuje uciec przez gra=nicę do Rosji. Chwytacie ich i nie pozwalacie im uciekać. Czemu to się dzieje?

Przyznam się, że nie potrafiłem dać na to pyta=nie odpowiedzi. Wydaje mi się, że poprostu nie wol=no im tak bezkarnie uciekać. I to mi wystarcza. Ale w dalszym ciągu nie rozumiem — dlaczego nie potra=fimy tej „kwestji“ rozwiązać. Musi być bardzo trudna.

Niemcy ją rozwiązali. Nie bez krzyku powszechnego. Mieli pięć razy mniej Żydów od nas, a krzyk był wielki. Myślę, że my nie moglibyśmy analogicznie tej sprawy rozwiązać. Krzyk polskich Żydów zagłuszyłby Europę.

Niemcy tę sprawę rozwiązali.

Heinz A. Heinz, żywotopisarz kanclerza Hitlera, to obudzenie się awersji Führera do Żydów wyjaśnia w sposób niezadowalający, powiedziałbym, naiwny. Oto jak opisuje on spotkanie młodego Adolfa z pierwszym Żydem:

„Przed przybyciem do Wiednia Adolf Hitler nigdy nie widział Żyda. W Wiedniu było w owym czasie (pierwszy dziesiątek XX w. Przyp. mój) na 1.364.300 mieszkańców 118.000 Żydów. Jedna z ich synagog, murowany budynek w maurytańskim stylu, wznosiła się na Tempelgasse, niedaleko od wielkiej Praterstrasse, a w tym samym „Bezirku" Leopoldstadt znajdowała się także synagoga Żydów tureckich. Dziwaczna postać przechodnia w gabardinowym chałacie przykuła wzrok wiejskiego chłopca. Stał wtedy przed wystawą sklepową. Czy i ta ciemna postać o bystrych, czarnych oczach i dziwnych lokach, zwisających po obu stronach twarzy, to był Żyd? Dobrze, więc czem był Żyd? Czy Żyd był Niemcem?

„W Linz było ich także trochę, ale tak mało różnili się od reszty mieszkańców miasta, że Adolf nie dostrzegał różnicy, prócz tej, że wyznają inną religję. Że z tego powodu doznawali często ucisku i prześladowań, o tem nie wiedział, a fakt ten mógłby w nim nawet wzbudzić współczucie. Uważał, że znęcanie się nad Żydami było barbarzyństwem. Nagłe spotkanie z rabinem nadało inny bieg jego pochłaniającej wszystko ciekawości politycznej, postanowił

więc przestudjować antyżydowską literaturę, rozpowszechnianą przez antysemitów.

„W owym czasie nie wystarczało mu to. Widział w tem tylko propagandę. Dopiero później, gdy „Judenfrage“ (kwestja żydowska) zidentyfikowała się w jego umyśle z „marksizmem“, o którym miał już zupełnie wyrobione zdanie, zajął dopiero w stosunku do Żydów to stanowisko, które tak trudno było zrozumieć Anglikom.

„Pierwszą niemiłą obserwacją, jaką uczynił Hitler w Wiedniu, był fakt, że większość pornografij, jakie widywał w księgarniach, sklepach z fotografjami, na filmach i t. d. (a Wiedeń mógł pod tym względem rywalizować z Paryżem), w dziewięciu wypadkach na dziesięć pochodziła ze źródeł żydowskich. Zwrócił baczniejszą uwagę na prasę wiedeńską i od szacunku i podziwu przeszedł szybko do pogardy spowodu jej przekupności i partyjnictwa.

„Coraz bardziej zagłębiał się w te samotne rozmyślania i badania, w miarę jak wyłaniające się z tych obserwacyj zagadnienia stawały się coraz ważniejsze dla zrozumienia systemu socjaldemokratycznego, który Hitler uważał za odpowiedzialny za to, co mu się wydawało politycznie niesprawiedliwe i niesłuszne. Wreszcie już wszystko przypisywał marksizmowi, marksizm zaś pomocy i protekcjonizmowi Żydów“.

A więc — propagowanie pornografji, przekupność i zamiłowanie do teorji marksistowskiej wśród Żydów miało być przyczyną niechęci Hitlera do Żydów.

Nie, to wyjaśnienie Heinza nie wystarcza nam.

Nie ulega kwestji, że w ostatnich latach Żydzi niemieccy opanowali prasę, literaturę, sztukę i finanse niemieckie. To nie ulega wątpliwości. Teraz więc zachodzi pytanie, czy Hitler wobec tych potęg ży-

dowskich byłby w stanie zrealizować swój program? Obawiać się należy, że nie zdołałby. Program Hitlera jest to program narodowy. Żydzi niemieccy nie byli zasymilowani, nie czuli się Niemcami. Pozostali Żydami. To wystarczyło, żeby ich od całego ruchu odsunąć. Czy byłoby do pomyślenia — przy hitlerowskiem obudzeniu dumy narodowej — dla Niemców, że oto jest w państwie szereg dziedzin, m. in. twórczych, a więc wywierających wpływ na psychikę całego narodu, w których dominują Żydzi?

Ograniczono więc aktywność Żydów w życiu państwowem, kulturalnem i gospodarczem kraju. Zastosowano głośne prawo aryjskie. Było to logiczne i wynikłe z ideologji narodowego socjalizmu.

Nie można jednak przyznać, iż odbyło się to humanitarnie.

Na usprawiedliwienie postępowania Niemców z mniejszością żydowską, wypadnie zaznaczyć, że także inne mniejszości ucierpiały przy realizacji programu narodowo-socjalistycznego. Nie zastosowano względem nich artykułu aryjskiego, pozostały one narówni z Niemcami pełnowartościowemi obywatelami („artverwandten Blutes“), jak Polacy i Duńczycy, ale zagraża im natomiast wyraźna akcja wynaradawiająca, przejawiając się w szeregu ustaw, o których piszę na innem miejscu.

Należy mieć nadzieję, że furor judaicus w Niemczech minął. Bądź co bądź około 90% mniejszości żydowskiej w Rzeszy pozostało i jest nadzieja, że w ramach narodowego socjalizmu dalsze współżycie jakoś się ułoży.

TAM NIKT NIE UMRZE Z GŁODU.

Słyszałem taką, uszczypliwą dla reżimu niemieckiego anegdotę.

Do sklepu spożywczego wchodzi kupujący.

— Heil Hitler!

— Heil Hitler!

— Proszę dziesięć deka masła.

— Masła niema.

— Więc proszę jajek... słoniny... wędliny.

— Niema jajek, ani słoniny, ani wędliny,

— Heil Hitler!

— Heil Hitler!

Anegdota niezła, ale nieprawdziwa. Istotnie, brak jest w Niemczech wielu artykułów spożywczych. Brak dewiz na sprowadzanie tych produktów z zagranicy. Pasa trzeba było zacisnąć. Ale to nieprawda, że w Niemczech jest głód. Mijałem wystawy, pełne apetycznych wędlin, jarzyn i owoców. Tylko Niemcy inaczej się odżywiają, niż my naprzykład. Jedzą, można powiedzieć, bardziej syntetycznie. U pana Franke, mego berlińskiego przyjaciela, widziałem, jak Irmchen smarzyła na patelni jedno jajko. Dosłownie — jedno. Nasze minimum jest — dwa jajka. Mniej się nie podaje.

Berlin i inne większe miasta niemieckie mają setki tanich restauracyj, w których koszt jednego dania nie przekracza marki. W niezliczonej ilości filij Aschingera, Kempinsky'ego, w piwnicach restauracyj ratuszowych, jak np. w Monachjum, w Lipsku, w takiem „Zum Thomasbräu-Keller" — olbrzymiej stajni, przerobionej z dawnych łaźni — podają czysto, przyzwoicie i względnie — jak na cenę — smacznie. Talerz zupy kosztuje tam 25, 30 fenigów. Niejednemu wystarczy już to za cały obiad. Zawiesista grochówka z kawałem pływającego boczku, a do tego bułki a discrétion — zaspokaja wzupełności głód. Do tego piją moc piwa. Piwo, jak wiadomo, także ma właściwości odżywcze.

Więc głodu nigdzie nie widać. „Winterhilfe"

przynosi rok rocznie poważne sumy i duży zapas produktów spożywczych. Hasło Wodza: „Tej zimy nikt w Niemczech nie umrze z głodu!“ stało się bardzo popularne. Najwięksi dygnitarze sprzedają na rzecz głodnych i bezdomnych. Książęta z kronprincem na czele zażarcie uganiają się z kwiatkiem za przechodniami i agitują. Przed świętami Bożego Narodzenia po ulicach pędzą ciężarowe auta, trąbiąc, jak na sąd ostateczny. To zbiórki po domach. Z okna wychyla się głowa i auto staje. Paniusia ofiarowuje podniszczony dywanik. Inna składa w darze familijną, a mało już użyteczną otomanę: żołnierze dziękują i ładują dar do samochodu. Jadą dalej.

Wydaje się biednym niezliczoną ilość bonów, za które mogą otrzymać to, co im jest niezbędne do życia: koszyk węgla, parę obiadów, odzienie. W akcji pomocy zimowej zebrano gotówki i artykułów spożywczych na zgórą 100.000.000 marek.

Inny pomysł wpadł do głowy szefowi propagandy niemieckiej, panu Dr. Goebbelsowi. „Eintopfgericht“, czyli obiad z jednego dania. Każdy Niemiec zobowiązany był moralnie, aby w ciągu zimy, w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, ograniczył swój obiad do rozmiarów, nie przekraczających jednej marki. To, co pozostawało z sumy, przeznaczonej na normalny obiad, szło do sakiewki kwestarza.

Obowiązywało to także restauracje, które w tym dniu umieszczały w karcie tylko jedno danie, za które jednak pobierano opłatę normalnego obiadu. Różnica szła na pomoc zimową. Inicjatywa była bardzo szczęśliwa: zebrano w ten sposób w Niemczech przeszło 20 miljonów marek.

Nie należy przytem zaniedbywać znaczenia moralnego takiej akcji. Biedacy widzieli, że bogaci ponoszą dla nich prawdziwą ofiarę, że nie pozbywają się tego tylko, co jest im niepotrzebne, ale że dobro-

wolnie rezygnują z tego,, do czego są przyzwyczajeni.

Potępiono imprezy dobroczynne, które obrażały nieszczęśliwych i biednych, w rodzaju np. herbatek tańcujących na rzecz paralityków. Zabroniono organizowania różnych konkursów, jak np. wyboru królowej Germanji. Tego typu widowiska i zabawy uznano za niepoważne i szkodliwe wobec ogromu nieszczęść ludzkich.

Nie znaczy to jednak, żeby zaniedbano sprawy rozrywek ludności.

Przeciwnie, powołano nawet specjalną organizację, która ma dać ludowi dostępne circenses. W porozumieniu z Izbami Kultury, o których mówię na innem miejscu, stworzono instytucję pod nazwą „Kraft durch Freude" (Siła przez radość). Na czele jej stanął kierownik Frontu Pracy, dr. Ley. Instytucja ma na celu udostępnienie najszerszym masom godziwych rozrywek kulturalnych i artystycznych. Za grosze odtąd robotnik może odwiedzać operę, teatr dramatyczny, salę koncertową, kino. Pomyślano także o turystyce wśród szerokich warstw ludności. Dzięki znakomitej zdolności organizacyjnej Niemców stworzono sieć agencyj turystycznych, które umożliwiają ludziom pracy wycieczki. Robotnik z Hamburga może spędzić urlop w górach, a Bawarczyk niewielkim kosztem zwiedza niemieckie morze.

W ramach tej samej organizacji stworzona zostaje sekcja sportowa, która buduje korty, baseny, bieżnie, dostępne dla wszystkich. Zamiłowanie Niemców do wystaw, które w mapach, wykresach i popularnych modelach dają syntetyczną całość pewnej dziedziny wiedzy (jak np. niedawna wystawa berlińska „Das Wunder des Lebens") — podnosi również ogólną cywilizację i kulturę mas.

Pierwszego maja byłem świadkiem szerokich zabaw publicznych berlińczyków. Jest to dzień święta pracy. Z prowincji zjeżdżają tłumy ludzi, rano są pochody i mowy polityków, wieczorem zaś ludność bawi się na karuzelach, w cyrkach, w teatrach—obficie płynie wtedy piwo i do późnej nocy słychać echo rozbawionych.

To jest właśnie realizacja socjalistycznej strony światopoglądu narodowych socjalistów. Podniesienie poziomu cywilizacyjnego i kulturalnego niższych warstw społeczeństwa. Podniesienie jego standard of life. Jeżeli przypomnieć sobie, że w Niemczech niema analfabetów, że tam każdy szewc, sklepikarz, chałupnik czyta książki, prenumeruje gazetę, odczuwa potrzebę teatru, posyła dzieci do szkoły — rozumie się, że należyta organizacja tego 65-miljonowego narodu nie jest rzeczą ani prostą, ani łatwą.

Statystyka niemiecka przeszkody te pokonywa. Jaką sztuką jest np. aprowizacja Berlina, tego kolosa, który obejmuje 88.357 hektarów powierzchni, który pochłania rocznie 220 miljonów litrów mleka, 400 miljonów kilo mięsa i 250 miljonów bechenków chleba! Jaką sztuką jest zbudowanie takiej ilości szkół powszechnych, żeby nie okazało się poniewczasie, że część dzieci pozbawiona jest możności elementarnej nauki, jak to, niestety, zdarza się w innych krajach!

Niemcy są krajem urodzonych administratorów. Tego im zaprzeczyć niepodobna.

DREZNO — KOLEBKA BAROKU. OBOZY PRACY.

Mżył deszcz, kiedy zrana o wpół do dziesiątej stanęliśmy w Dreźnie.

Stanowczo za dużo piliśmy wczoraj wina w lip-

skiej „Barberinie"... Kuzyn jest osowiały, ale nie=zmordowany.

— Od czego zaczynamy?

Przeglądamy plan i rozkład dnia. Wizyta u pre=zydenta Zörnera zapowiedziana na popołudnie, więc mamy jeszcze sporo czasu. Należałoby więc zacząć od Zwingeru.

Mijamy ulice, czasem o dziwnych nazwach. „Mo=sczinsky=strasse"... Któż to był u licha ów Mosczin=sky? Pewnie ktoś z czasów Augusta Mocnego, bo i w dalszym ciągu spotykamy niezliczoną ilość pamiątek polsko=saskiej dynastji. W „Grünes Gewöble" za grubemi szybami, opatrzonemi w dodatku drucianą siatką, przez którą przepływa elektryczny prąd, a także alarmujący aparat w razie najmniejszego do=tyku — spoczywają pamiątki po królach i królowych polskich. Dużo napisów polskich. Takich kosztow=ności już nie widuje się dzisiaj, jak tam, za temi szy=bami. Perły jak śliwki, brylanty, najprawdziwsze „Blauweisy", wielkości kurzego jaja, imponujące pierścienie, sygnety, szmaragdy, wyroby z kości sło=niowej, z bursztynu, z bronzu...

Przy Zwingerze zatrzymujemy się już na dłużej. Arcydzieło czystego baroku, dzieło pracowite archi=tekta Pöppelmana, budowane w ciągu lat jedenastu (1709—1722), domagało się widocznie gruntownego remontu, bo trafiamy na roboty restauracyjne. Kar=jatydy Baltazara Permosers najbardziej ucierpiały od wiatru i deszczów. Tej nos już całkiem odleciał, tamta postradała kilku palców — specjaliści niewi=docznie i mistrzowsko przykładają protezy.

W państwowej Galerji Obrazów już zastajemy wycieczkę zwiedzających. Dürery, Holbeiny, Rem=brandty, Rubensy... Suchotnicze i anemiczne posta=cie kobiet Cranacha mają wdzięk ascetek i męczen=niczek wczesnego średniowiecza. Madonna Sykstyń=

ska znajduje się w osobnej sali, wmurowana w ołtarz. Zanim nas tam wpuszczą, przewodnik z patosem, z zapałem, nabożeństwem i profesjonalną rutyną maluje nam przedziwny wyraz tego cudu i arcydzieła malarskiego. Wszyscy opowiadaniem jego są już tak wzruszeni, że kiedy wkońcu na palcach wchodzą do sali „sykstyńskiej“, nie są w stanie doznawać już żadnych wzruszeń. Są zmęczeni i wykończeni gadulstwem przewodnika.

Instytucja oprowadzaczy, gide‘ów, ciceronów i komentatorów przygodnych powinna być zakazana. Odbierają oni beznadziejną paplaniną wdzięk największym arcydziełom.

O trzy kwadranse drogi od Drezna leży Meissen, sławne z państwowej manufaktury porcelany. W obszernych salach oglądamy zabytkowne pamiątki-arcydzieła sztuki i techniki.

Nie piszemy jednak przewodnika po tem prześlicznem barokowem mieście. Dochodzi godzina, o której winniśmy zameldować się u prezydenta miasta.

Dr. Zörner jest o naszem przybyciu powiadomiony. Wie już, jaki jest cel naszej wizyty. Zapalamy cygara i schodzimy na dół, gdzie już czeka na nas samochód. Mamy jechać za miasto, w stronę historycznego zamku myśliwskiego, Moritzburg, aby zwiedzić obozy pracy.

Obozy pracy... To jedna z najważniejszych organizacyj narodowego socjalizmu. Takich obozów pracy mają dziś Niemcy zgórą 5.000. Posłuchajmy, co o nich nam powie pan nadburmistrz Zörner.

— Początkowo były one pomyślane jako ochotnicze, obowiązkowe obozy dla studentów. Ich powodzenie i efekt, jaki wydały, przekonały nas, że należy je zużytkować również dla zmniejszenia bezrobocia. Tych pięć tysięcy obozów, rozsianych po całej

Rzeszy po wsiach niemieckich, obejmuje przeszło 300.000 młodzieży obojga płci, w wieku od lat 17 do 25. Świadectwa, jakie otrzymuje ona po ukończeniu tej służby pozwalają łatwiej znaleźć jej normalną pracę.

Otóż ta służba ochotnicza, przeważnie studencka, przekształciła się z biegiem czasu w obowiązkową. Ma to swoje doskonałe strony. W przyszłości spodziewamy się, że cała młodzież, bez wyjątku, po ukończeniu szkół przejdzie takie przeszkolenie fizyczne na wsi, co ją wzmocni i zahartuje, pomijając już ważny czynnik zbliżenia ludzi miasta z ludźmi wsi. Dopiero po odsłużeniu kilku miesięcy służby pracy młodzież płci męskiej powoływana będzie do normalnej służby wojskowej.

— Istnieją już projekty — ciągnie p. Zörner — stworzenia takiej organizacji, w której armja robotnicza mogłaby być zatrudniona trwale na przeciąg lat dwudziestu. Podniesiona w ten sposób wytwórczość będzie warta 2 miljardy marek rocznie, a praca ta przyczyni się do powstania conajmniej 5000 nowych gospodarstw rolnych.

Praca, wykonywana przez tych młodych ludzi. wyrwanych z bruku miejskiego na wieś, gdzie w innych warunkach nigdyby się znaleźć nie mogła, ma charakter specjalny. Nie może ona w żadnym wypadku współzawodniczyć np. z pracą, spełnianą w zwykłych warunkach gospodarstwa wiejskiego. Nie podejmuje się także robót, które bez trudu mogą być wykonane przez przedsiębiorcę prywatnego. Celem obozu pracy jest stworzenie ludziom ułatwień przez odzyskiwanie lub ulepszanie wielkich obszarów ziemi, dotychczas nieużytkowych, nieprodukcyjnych, jak błota, trzęsawiska, karczunki.

Tworzenie nowych dróg i autostrad otwiera tutaj poważne możliwości. Sama budowa dróg nie

jest wykonywana przez pracowników obozowych. Ci zajmują się wyłącznie, jak już powiedziałem, karczunkiem lasów, obrabianiem gruntu, wyrwanego morzu, przeprowadzeniem kanałów, nawodnieniem, a przedewszystkiem takiemi pracami, które zapobiegają katastrofom żywiołowym, jak pożar lasów, przerwanie tam, powódź i t. p.

Młody, ogorzały Kurt Schleier, którego nam przedstawiono, ma lat osiemnaście. Skończył w tym roku gimnazjum i zanim odprawił służbę wojskową, zaciągnął się do obozu. Jest opalony, jakgdyby nigdy wsi nie opuszczał. A tymczasem urodził się i mieszkał w Dreźnie. Nigdy dotychczas przez czas dłuższy na wsi nie mieszkał.

— Jakże pan się czuje na roli?

— Jak nie można lepiej — zęby na tle bronzowej twarzy połyskują, jak ziarna kukurydzy. — Wstajemy o piątej w lecie, a o 6-ej w zimie. Kąpiel w rzece i śniadanie poprzedza półgodzinna gimnastyka. Pan rozumie, nam, mieszczuchom, takie ćwiczenia dobrze robią... Potem następuje apel i wzniesienie flagi obozowej.

Pan Kurt pokazuje nam taką flagę.

Przypomina ona flagę hitlerowską, tylko zamiast swastyki w białem polu ma łopatę i wiązkę zboża. Jest to syboliczne i ma przypominać zdanie Fryderyka Wielkiego (najulubieńsza obok Wagnera postać dla Adolfa Hitlera). Zdanie to brzmi: „Ten, kto trudzi się, aby dwa kłosy wyrosły tam, gdzie rósł tylko jeden, czyni dla kraju więcej, niż generał, który wygrał ważną bitwę“.

— Jak długo trwa praca w polu?

— Siedem godzin. Po pracy ogólne mycie i obiad.

— Obiad — smaczny?

— Och, aptetyty mamy wilcze! — Ziarna kukurydzy błyskają w uśmiechu. — Po obiedzie mamy

półtorej godziny odpoczynku. Popołudnie zajęte jest sportem i godziną nauki o obowiązkach obywatelskich. Wieczorami czytamy głośno i śpiewamy chóralnie. Dwa lub trzy razy w tygodniu każdy ma „fajerant“ do godziny 10-ej wieczorem. O tej godzinie rozlega się sygnał i wszyscy muszą być w barakach.

Baraki, które oglądamy, urządzone są czysto, porządnie i higjenicznie. W każdym jest aparat radjowy. W każdej izbie po pięć łóżek. Jadalnia — wspólna.

Jaki jest w rezultacie cel i sens tych Obozów Pracy?

Wydaje się, że za lat 20, 30 nie znajdzie się w Niemczech inteligenta, urzędnika, mieszczucha, któryby nie przeszedł szkoły pracy fizycznej na roli.

Stanowi to jeden z punktów owego socjalistycznego wychowania w programie kanclerza — zbliżenia miasta ze wsią i odwrotnie.

ROBOTY PUBLICZNE.

— Czy i w jaki sposób retalizuje Hitler owe dwadzieścia pięć punktów, które są dziś ewangelją narodowego socjalizmu? Czy istotnie program ten będzie kiedyś rywalizował z deklaracją Marcina Lutra, jak to zapowiedział kanclerz swemu przyjacielowi, Antonowi Drexlerowi? Co spełnił z obietnic, danych narodowi przy obejmowaniu władzy?

Te pytania nasuwają się przedewszystkiem przy zwiedzaniu Trzeciej Rzeszy.

Z temi pytaniami zwracałem się do najwybitniejszych działaczy. Odpowiedzi ich pokrywają się z rzeczywistością.

Zreasumujmy je zatem.

Obejmując władzę, prosił Adolf Hitler swój naród o cztery lata cierpliwości. Uważał, że to mini-

malny okres dla zrealizowania nowego programu. W ciągu tych lat czterech obiecywał wypełnić pro-gram całkowicie. Prawdę mówiąc, już go w dużym stopniu wypełnił.

Odebrał Zagłębie Saary. Przywrócił obowiązek służby wojskowej. Stworzył nanowo ciężki przemysł wojenny. Przekreślił Traktat Wersalski. Obalił Traktat Locarneński. Zmilitaryzował Nadrenję. W dużej mierze pokonał bezrobocie. Zbudował wiele tysięcy kilometrów nowych dróg. Postawił na nogi motoryzację. Was willst du noch mehr, mein Liebchen!...

Na co teraz przydzie kolej?

Europa spogląda na Niemcy z niepokojem. Jakie dalsze żądania postawi jej kanclerz Hitler? Może kolonje... może Gdańsk... może Austrja?

Ale kanclerz obiecuje pokój. Proponuje dwadzieścia pięć lat świętego pokoju. Pragnie tylko przywrócenia godności narodowi i równych praw z innemi państwami.

99% ludności opowiada się za nim. Dlaczego? — Rzuca oto hasła popularne w rodzaju: „Tej zimy nikt w Niemczech nie umrze z głodu!“ Żąda honoru dla narodu niemieckiego. Obala znienawidzone związki zawodowe i zaprowadza powszechny obowiązek brania udziału w Obozach Pracy.

Państwo określa kanclerz jako wielki organizm. „Daliśmy — oznajmił na kongresie norymberskim — taką energję społeczeństwu, jakejby normalnie w innych warunkach nie potrafiło zużyć. Ilość bezrobotnych, która w chwili objęcia przez nas władzy, sięgała 6 miljonów, została zredukowana do miljona i ¾. To znaczy, że każdemu dniu roboczemu w Niemczech daliśmy od 30 do 40-tu miljonów godzin pracy. Tę energję wyprowadziliśmy z próżni“.

Na stworzenie narodowego przemysłu subskry-

bowano w Niemczech fantastyczne sumy. Wszystkie oszczędności prywatne w sumie około 15 miljardów marek poszły na uruchomienie ciężkiego przemysłu, stworzenie nowych warsztatów pracy, na meljoracje, inwestycje, na przywrócenie pod uprawę wielu kilometrów kwadratowych bagnisk (między Hannowerem a Magdeburgiem).

W r. 1933 rząd przeznaczył na sfinansowanie robót dla bezrobocznych 4,3 miljarda marek, w r. 1934 — około 5 miljardów, w r. 1935 — 5 miljardów. Wszystkie oszczędności zdają się już wyczerpane. Od genjuszu finansowego p. Hjalmara Schachta zależeć będzie, skąd rząd weźmie pieniędzy na dalsze finansowanie robót.

Zwiększenie konsumcji na rynku wewnętrznym osiągnięto dzięki wielkim robotom publicznym i zatrudnieniu miljonów bezroboczych. Dalej zwiększono konsumcję przez wprowadzenie szeregu nowych przepisów, regulujących warunki pracy oraz przez powołanie do życia zupełnie nowych urządzeń.

Zmniejszono tygodniową liczbę godzin pracy robotnika przy zachowaniu wysokości produkcji. Zastąpiono maszyny rękoma ludzkiemi, jak np. w przemyśle tytoniowym. Usunięto robotników i urzędników zagranicznych, cudzoziemców. Zabroniono kumulacji posad i pensji.

Od Hamburga do Kolonji i od Zagłębia Ruhry do Drezna widziałem całe sztafety robotników, zatrudnionych przy robotach publicznych. Opracowane zostały i odrazu wprowadzone w ruch rozległe plany budowy kanałów w celu stworzenia siły dla fabryk. Prawie wszystkie większe rzeki w Niemczech wciągnięto do pracy użytecznej. Na ten cel wydatkowano już zgórą sto miljonów marek.

Roboty na Wezerze i na kanale Dortmund-Ems zatrudniać będą w ciągu czterech lat 20.000 robotni-

ków. Inny gigantyczny kanał, którego budowę rozpoczęto w r. 1933, zapewni pracę na 1.510.000 dni roboczych.

Między Hannowerem i Magdeburgiem od stuleci ciągnęły się bezużyteczne bagniska i pustkowia. Obozy Pracy odebrały dotychczas pod uprawę 110 mil kwadratowych gleby i tworzą nowe gospodarstwa rolne.

Celem zapewnienia rolnictwu w Schleswig-Holstein większej ilości gleby, podjęto budowę dwuch wielkich tam na rzece Eider. Roboty mają potrwać trzy lata. Zyska się w ten sposób pod uprawę 225 mil kwadratowych. Przedsięwzięcie to porównują do włoskiego szuszenia błot Pontyjskich i trudno wprost powstrzymać się od analogji tych bagnisk z naszem... Polesiem.

Szczytem wszystkiego jednak jest budowa całego szeregu nowych dróg i autostrad. „Przy dobrych drogach nie może być bezroboczych" — powiada kanclerz Hitler.

W biurach setki architektów i inżynierów dróg kreślą plany, robią pomiary, stwarzają porządek robót.

— Projektujemy obecnie — mówią mi w jednem z takich biur — budowę 6 do 8 tysięcy kilometrów dróg samochodowych. Z tych część już jest na ukończeniu. Dwie autostrady będą biegły z północy na południe, jedna z Kilonji przez Hamburg, Bremę, Schwarzwald do Bazylei. Druga — z Prus Wschodnich przez Berlin i Monachjum do Alp. Trzy spośród tych wielkich szlaków będą biegły ze wschodu na zachód, jedna z Frankfurtu nad Odrą, druga z Wrocławia do Nadrenji, trzecia z Saarbrücken do Salzburga. Ta ostatnia będzie się nazywała Drogą Nibelungów. Szósta droga wreszcie będzie prowadziła z Hamburga do Wrocławia. Wszystkie buduje się we-

ług ostatnich wymagań techniki. Żadnych wiraży. Skrzyżowanie dróg odbywa się na dwuch poziomach, jedna nad drugą.

Na budowę tych dróg rząd przeznaczył trzy mi-ljardy marek.

Jeżeli chodzi o kolonje robotnicze, to plany te spotykają się z wyraźnem poparciem kanclerza. Jest on przeciwnikiem gnieżdżenia się ludzi w wielkich skupiskach, w ciężkich kamienicach wielkomiejskich. „Każdy człowiek w Niemczech — oświadczył kanc-lerz — musi znaleźć tyle miejsca, żeby mógł zanu-rzyć łopatę w ziemię".

Finansowaniem kolonij robotniczych, jakie rosną na peryferjach każdego większego miasta, zajmuje się kapitał prywatny, przy pomocy rządu. Koszt bu-dowy domku z niewielkim ogórdkiem jest minimal-ny i waha się od 3.000 marek. Właściciel domku spła-ca dług miesięcznie, pokrywa to zarazem jego całko-wite komorne, podatki i odsetki od kapitału, w wy-sokości od 15 do 30 marek. Magistraty podejmują się sporządzenia kosztorysów. Praca właściciela domku przy budowie zalicza mu się osobno.

Kosztorys takiej budowy w obrębie Monachjum, gdzie staje obecnie kolonja, składająca się z 338 za-gród, przedstawia się następująco:

a) dom	RM	2750
b) koszty poboczne	„	260
c) koszt placu (grunt) . . .	„	—
d) martwy i żyjący inwent. .	„	40
e) współpraca osiedleńca . .	„	500
f) praca najemn. robotników	„	520

Domek taki ma cztery izby, szereg ubikacyj, ku-chnię. Kanalizacja i oświetlenie oczywiście także wchodzą w tem w rachubę.

Budowy takich kolonij robotniczych postępują w szybkiem tempie, przyczyniając się do odpływu robotników i bezrobociczych z miast.

KRÓLEWIEC.
WCIĄŻ JESZCZE O PAŃSTWOWEJ SŁUŻBIE PRACY.

Express międzynarodowy Berlin — Królewiec — Eydtkunen — Kaunas.

Znamy dobrze tę trasę. Przed paru laty tędy jechałem do Kowna. Stereotypowe, a tak uprzejme pozdrowienie „Morgen" zastąpił dziś inny okrzyk. „Heil Hitler!". „Korytarz polski" już nie istnieje. Wraz ze zmianą pozdrowienia powoli zmieniają się nastroje. Wtedy, przed paru laty, toczyliśmy z Niemcami uporczywą wojnę gospodarczą. Spod przyklejonego uśmiechu łowiło się na twarzach Niemców niechęć nieprzezwyciężoną. W Gdańsku mniejszemi i większemi szykanami kłuto nas nienawiścią, złością, pojono żółcią, karmiono goryczą. Rządy socjal-demokratów wpajały w masy przekonanie, że „korytarz" wcześniej czy później musi wrócić do Rzeszy. Że taki stan, jak obecnie, nie jest do utrzymania.

Dzisiaj nastroje się zmieniły.

Wprawdzie w głębi serca wciąż jeszcze trawi Niemców tragedja rozdartych prowincyj, ale już sobie powoli przypominają, że przecież bardzo niedawno połączył Fryderyk Wielki Prusy Wschodnie z Brandenburgją... Przecież dopiero w r. 1795... Więc czyja była krzywda większa?...

Poczucie krzywdy budzi się w Niemczech. Siódmego marca 1936 kanclerz Hitler może już wygłosić w Reichstagu historyczne słowa:

„Chciałbym przeto, żeby naród niemiecki zrozumiał przeciętne motywy polityki zagranicznej narodowo-socjalistycznej, polityki, która uważa np. za godne ubolewania, iż naród trzydziestotrzymiljonowy dostęp do morza ma przez dawne terytorjum Rzeszy, polityki, która z drugiej strony zdaje sobie sprawę, że byłoby nierozsądnem, gdyż niemożliwem, odmówić poprostu tak wielkiemu państwu prawa dostępu do morza".

Deklaracja ta jeszcze w pełni nas nie zadowala. Domagać się będziemy od Niemców przyznania do zbrodni, popełnionej w r. 1773, w r. 1793 i w r. 1795. Domagać się będziemy, żeby Niemcy ziem polskich nie nazywali „dawnem terytorjum Rzeszy", gdyż było to dawne terytorjum polskie. Ziemie, zdobyte prawem kaduka, nie tuczą.

W Simonsdorfie mamy rewizję. Wszystko odbywa się gładko i sprawnie. Okrzykom hitlerowskim akompanjuje głośne trzaskanie drzwi.

Dalej, wśród pojezierza wschodnio-pruskiego widać inne miasto pruskie, Kalthof, o domkach z czerwonej cegły. Tuż za tem miastem wyłania się panorama na Malbork — odwieczną siedzibę Zakonu. Więc powstają zjawy historyczne przed oczyma wyobraźni i głównie ta z rynku krakowskiego, uwieczniona przez Matejkę: siostrzeniec, klęczący w akcie hołdowniczym przed swoim polskim wujem...

O zmierzchu stajemy w Królewcu. 350.000 mieszkańców. Port, w którym ogniskuje się cały wschodnio-niemiecki rynek drzewny, zbożowy i lniany. Wydobywanie bursztynu. Jeżeli już wyczerpać specialitées, to dodamy jeszcze słynne królewieckie marcepany. Uniwersytet, słynny, kantowski, założony w r. 1544 i piękny zamek gotycki z w. XVI-go.

Kraj najbardziej konserwatywny, ziemiański — dobra i zamki arystokratów, panów z „Herren-Klu-

bu“. Nieco na południe, o kilkanaście kilometrów od granicy polskiej — Tannenberg z pomnikiem zwycięstwa Hindenburga i z tym... drugim... zatartym już... zapomnianym. Rezydencja Feldmarszałka, Neudeck, ofiarowana mu ze składek publicznych, jako hołd i podziękowanie za zwycięstwo, za wierną służbę dla narodu i za złożenie władzy w ręce dzisiejszego wodza.

Dziwny kraj... Kraj Mazurów, gdzie jeszcze w niejednej izbie znaleźć można biblję polską, drukowaną gotyckiemi czcionkami, gdzie słowa — rzekomo niemieckie — mają dziwnie polską fonetykę, gdzie po kościołach i szkołach słychać polskie pieśni.

Ale to już nie nasza dziedzina. O tem pisze świeżo Melchjor Wańkowicz w swojej książce „Na tropach Smętka“. Przeczytajcie ją sobie.

— — — — — — — — — — — — —

Herr Johann Knick ma około czterdziestu lat i piękne, nieskie oczy.

Przepisowa czapka Służby Pracy ogromnie przypomina czapki tyrolskie. Na bronzowej wstążce, w otoku dwóch stylizowanych ździebeł zboża, otaczających znak łopaty, tkwi swastyka. Naramienniki także mają emblematy Służby: akselbanty zwinięte, a pośrodku gwiazda. Na kołnierzu naszywka w kształcie kłosa.

To jest mundur Służby Pracy.

Pan Johann Knick piastuje wysoką godność Oberstarbeitsführera na okrąg królewiecki. W biurze jego przy Neue Dammgasse panuje wzorowy porządek. Na ścianach pełno map z wykresami, statystyki, cyfry, porównania.

Wysoka ranga pana Knicka daje rękojmię autorytatywności jego słów. Mówimy o prawie i obowiązkach Służby Pracy.

— Prawo o Służbie Pracy — powiada pan Knick

i zapala mocne cygaro — ukazało się dnia 26 czerwca 1935 r. i obowiązuje na terenie całej Rzeszy. Uważam ten dekret Führera za jedną z podstawowych i najbardziej może w skutki brzemienną inicjatywę Adolfa Hitlera. Odczytam panu pierwsze zasadnicze punkty tej ustawy. Punkt I: „Służba Pracy jest służbą honorową dla Narodu Niemieckiego“. Punkt II: „Wszyscy młodzi Niemcy obojga płci obowiązani są służyć swemu Narodowi w państwowej Służbie Pracy“. Punkt III: „Państwowa Służba Pracy winna wychowywać niemiecką młodzież w duchu narodowego socjalizmu, wspólnoty ludowej, rzetelnego pojęcia o pracy, nadewszystko jednak w należytem poszanowaniu pracy rąk“.

Ustawa o państwowej Służbie Pracy obowiązywać zaczęła od dnia 1 października 1935 r.

— Trudno dziś już zdać sobie w zupełności sprawę z doniosłości tej instytucji. Niech pan tylko pomyśli: cała młodzież w wieku od lat 17 do 25, obojga płci, pochodzenia aryjskiego, zbiera się na wspólnych obozach celem dokonania pewnych, określonych zadań... Ileż można będzie z taką siłą, z taką dynamiką i energją pierwszej młodości dokonać! Już dziś, choć zaledwie niedawno pracujemy, efekty przerastają wszelkie oczekiwania. Powszechna ta praca sprawiła, że przywrócony został należyty szacunek rękodziełu i robotnikowi. Pokazaliśmy światu, że poważnie traktujemy myśl stworzenia rzetelnej, poważnej, odpowiedzialnej społeczności ludowej.

Służbę Pracy bowiem uważamy za jedyny środek wychowawczy młodzieży — obok szkoły i wojska. Łańcuch, dzielący szkołę od wojska, został w ten sposób dopełniony.

— Czy mógłby mi pan nakreślić w przybliżeniu historję powstania tej ważnej inicjatywy?

— Z ochotą. Myśl o państwowej Służbie Pracy powstała w r. 1919. Pierwszy poruszył ją zaufany Adolfa Hitlera, Dietrich Eckard, w broszurze p. t. „Dla dobra Niemiec". Poczynając od chwili, w któ-rej pierwsi narodowi socjaliści znaleźli się w parla-mencie, zaczęliśmy nawoływać do realizacji naszego pomysłu. Wezwania nasze wtedy jednak spełzły na niczem. Dopiero pod koniec upadającego reżimu, wobec coraz bardziej rosnącego bezrobocia, wobec nędzy moralnej i socjalnej wśród młodzieży, kan-clerz Brüning wprowadził „ochotniczą służbę pracy" ustawą z lipca 1931 r. W ten sposób stronnictwa par-lamentarne, które nasz wniosek zwalczały, same go chciały zaprowadzić, na własną modłę. Nasza idea była jednak całkiem inna. Brüningowskie obozy były ochotnicze, traktowano je, jako środek przejściowy, kryzysowy, jako panaceum przemijające na bezro-bocie. Uważano, że dobrze będzie mieć wyszkolony tabor ludzi, którzy w razie potrzeby zastąpią strejku-jących robotników. O ideowej pracy w takich obo-zach nie mogło być mowy. Zaciężnicy zjawiali się na robotę ze śniadaniem, po ukończeniu robót wracali do domów: był to właściwie zwykły kontrakt najmu, bez uduchowienia, zapału, radości. Pozatem użyto te obozy jako terenu dla antyhitlerowskiej propa-gandy, dla zwalczania coraz bardziej rosnącego na si-łach narodowego socjalizmu. W ten sposób upadają-cy reżim zdołał zatrudnić przelotnie około 160.000 młodzieży.

W to środowisko antagonistycznych związków, stowarzyszeń „Tragarzy Pracy", w tę gmatwaninę sądów o pracy i o służbie pracy, w tę karykaturę na-szej inicjatywy, wtargnął wreszcie narodowy socja-lizm. Należało uprzątnąć w tej stajni Augjasza, uży-tej jako środek dla tępienia znienawidzonego hitle-ryzmu.

Mąż zaufania Adolfa Hitlera, Konstanty Hierl, ówczesny pułkownik, dzisiaj państwowy przywódca Służby Pracy na terenie Rzeszy, istotny twórca tej instytucji — przygotował staranny plan akcji, na wypadek objęcia władzy przez narodowych socjalistów. Jakoż plan ten przydał się w samą porę. W r. 1931 NSDAP zakłada pierwszy obóz dla instruktorów i kierowników Służby Pracy w Tzetzchenow. W styczniu 1932 powstaje pierwszy obóz ćwiczeniowy w Hammerstein. Narodowi socjaliści teraz już są pewni, że wcześniej czy później władza spadnie w ich ręce. Pozwalają sobie przeto na próbne niejako studja terenowe. Zbierano materjał doświadczalny, udoskonalano technikę i organizację obozów, a w czerwcu 1932 wprowadzono służbę pracy w całem państwie związkowem Anhalt, które wówczas już rządzone było przez narodowych socjalistów.

Po przejęciu władzy w całej Rzeszy, z chwilą wprowadzenia w życie ustawy z 26 czerwca 1935 r.— 250.000 młodzieży obojga płci wcielono do organizacji Służby Pracy. Kanclerz Hitler w przemówieniu swojem podkreślił wyraźnie, że służba ta nie jest bynajmniej rozrywką dla ludzi pozbawionych pracy, ale ma być szkołą wychowania niemieckiej młodzieży.

— Jak przedstawia się, panie doktorze, podział tych obozów na terenie Rzeszy?

Państwo dzieli się na okręgi. Takich okręgów jest 30. Każdy okrąg (Arbeitsgau) obejmuje 5 do 10 grup, grupa zaś — 6 do 10 oddziałów, które tworzą właściwe obozy pracy. Razem mamy w państwie 182 grupy, złożone z 1260 oddziałów. Każdy oddział, stanowiący wspólnotę obozową, składa się ze 152 ludzi i dzieli się na 3 kompanje po 45 ludzi.

Teraz, kiedy pan poznał już teoretyczne podstawy Służby Pracy, pozwolę sobie zaprosić pana do

obejrzenia naszego obozu. Jest on tuż za miastem, nad Pregołą i samochodem będziemy tam za kwadrans.

Jakoż niebawem jesteśmy na terenie królewieckiego obozu pracy. Na szerokiej płaszczyźnie w formie czworoboku zbudowane zostały baraki z drzewa, kryte blachą. Dwa place ćwiczebne, zbudowane nakształt lotnisk; na nich, pośrodku, rabaty kwiatów tworzą olbrzymie emblematy: na jednym znak swastyki, na drugim łopata w otoku stylizowanych kłosów. Wewnątrz obozowiska wznosi się flaga obozowa.

W dwuch barakach znajdują się sypialnie obozowiczów. W innych — umywalnia z prysznicami, biura zarządu, jadalnia, kuchnia, niewielki lazaret, wreszcie ztyłu jednego z baraków ciągnie się ogród warzywny.

Jest godzina 14 m. 30 i chłopcy z łopatami na ramionach, w koszulach, rozpiętych na piersiach, wracają z pola na obiad. Gong. Bractwo biegnie do umywalni, słychać szum pryszniców i figlarne pokrzyki. Z kuchni dwuch służących wynosi ogromny kocioł.

Po chwili wszyscy siedzą przy stole. Wśród milczenia słychać metaliczny dźwięk łyżek, uderzanych w talerze.

Jakież to wspaniałe typy — te chłopaki! Opalone, muskularne, zdrowe, zadowolone, radosne.

Na ścianie w ramkach wisi regulamin obozowiska. Dzień podzielony co do minuty. Godz. 6 — wstawać! 66.05—6.15 — ranna gimnastyka. 6.20—7.15 — mycie, słanie łóżek, śniadanie. 7.15 — do szeregu! 7.20 — wywieszenie obozowej flagi. 7.30 — wymarsz na roboty. 7.45—10.00 — służba pracy. 10.00—10.30 — drugie śniadanie. 10.30—14.00 — służba pracy. 14.00—14.15 — powrót do obozu. 14.30—15.00 — obiad. 15.00—15.10 — przegląd czasopism politycz-

nych. 15.30—17.00 — ćwiczenia cielesne (gimnastyka, piłka nożna, tenis). 17.10—18.00 — pogadanki polityczne. (Dzisiejszy temat: Adolf Hitler i jego zaufani). 18.00—18.45 — apel. 18.55 — do szeregu! 19.00 — ogłoszenie rozkazu na dzień następny. 19.15—19.45 — kolacja. 19.45—20.15 — czyszczenie i reperacje. 20.15—21.45 — spoczynek wieczorny. 22.00 — capstrzyk, gaszenie światła.

Rygor prawdziwie wojskowy.

POD HASŁEM AUTARKJI.

Dr. Knick przedstawia mnie personelowi obozu. Wszyscy ci panowie przeszli specjalne przeszkolenie. Wszyscy mają specjalne mundury z naszywkami, znamionującemi ich rangi.

— Każdy obóz — informuje mnie dalej uprzejmie dr. Knick — składa się, jak pan widzi, ze stałego personelu, którym są wychowawcy, instruktorzy i kierownicy, z powołanych do obowiązku Służby Pracy oraz z ochotników w Służbie Pracy.

Do stałego personelu należy kierownik obozu, urzędnicy i ich zastępcy. Wszyscy przydział swój otrzymują z nominacji. Na kierowników przyjmujemy ludzi o poważnych kwalifikacjach moralnych. Kandydat na instruktora, czy też kierownika obozu winien odpowiadać pewnym określonym warunkom. Jeżeli jest niepełnoletni, winien przedstawić zgodę rodziców. Musi wykazać się aryjskiem pochodzeniem. Żądamy od niego świadectwa moralności (wystawia je urząd policyjny). Jeżeli ochotnik taki odpowiada naszym warunkom, zawieramy z nim kontrakt najmniej na dwa lata. Jest to okres próbny. Po upływie tego terminu możemy zawrzeć z nim kontrakt na dalsze lat dziesięć, względnie odprawić go, jeżeli

okaże się nieodpowiedni. W tym czasie ochotnik przechodzi wyszkolenie. Wyszkolenie kadr kierowniczych odbywa się w szkołach specjalnych, zwanych Truppführerschulen. Szkoły takie mamy dziś w Braunsbergu, w Rotenburgu, w Querum bruświckiem, w Potsdamie, w Stenau i w Eisenach.

Kandydat na kierownika musi mieć ukończoną szkołę średnią (matura), względnie złożyć egzamina w jednej ze szkół ludowych. Te kwalifikacje nam wystarczają. Więcej wymaga się od takich kandydatów zalet moralnych i charakteru. Pan rozumie, że od kierowników obozów zależy udanie lub nieudanie się całej imprezy. To też bardzo trafnie wyraził się o obozach kanclerz Hitler, mówiąc, że „Służba Pracy jest eksperymentem, wielkiej doniosłości. Jego powodzenie zależy przedewszystkiem od wytrwałości".

Po obiedzie bierzemy auto i jedziemy nad brzeg Pregoły oglądać roboty. Właśnie przeprowadza się regulację tej rzeki.

— Pozwoli nam to — powiada dr. Knick, wodząc dokoła ręką — zwiększyć rentowność okolicznych gospodarstw. Głównem zadaniem obozów pracy jest właśnie, proszę pana, uzyskanie nowych gruntów. Szczególnie dzisiaj, w dobie kryzysu, zamknięcia granic między państwami, handlu kompensacyjnego i polityki autarchicznej, stosowanej przez większość państw — kwestja samowystarczalności gospodarczej Rzeszy nabiera pierwszorzędnego znaczenia.— Dr. Knick sięga do swoich notatek. — I tak np. wwóz do Niemiec środków żywności w latach 1929—1923 wynosił przeciętnie rocznie wartość 2 i trzy czwarte miljarda marek. Wwóz ten pochodził głównie z tych państw, które, razem biorąc, nie kupują od nas wyrobów przemysłowych więcej, niż za jedną trzecią tej sumy. Resztę

więc, rozumie pan, pokrywać musieliśmy dewizami. Pan wie dobrze, jak ogromną wartość przedstawiają dziś dla Niemców dewizy...

(Domyślam się, że istotnie są one Niemcom potrzebne na uzbrojenie, a więc na inne niezbędne zakupy zagraniczne, surowce kolonjalne i t. p.).

— W jaki sposób obozy pracy mogą ten stan odmienić? — zapytuję d-ra Knicka.

— Obliczamy, że obozy pracy pozwolą nam na zwiększenie naszych produktów rolnych, przez ulepszenie obecnych gospodarstw i stworzenie nowych, o dwa miljardy marek. Tak zwiększona produkcja pozwoli już uaktywnić nasz bilans handlowy i zaoszczędzić wywóz drogocennych dewiz.

(Pomijając mniej lub więcej optymistyczne obliczenia d-ra Knicka, przychodzi mi mimowoli na myśl niebezpieczeństwo ekonomiczne dla tych krajów rolniczych, które znowu swój bilans handlowy opierają na wywozie produktów rolniczych do Rzeszy. Exemplum — Polska...).

Na tem się objaśnienia p. d-ra Knicka nie kończą. W dalszym ciągu wyciąga on z teczki tabele porównawcze i wyjaśnia mi obliczenia rentowności podejmowanych prac w Służbie Pracy. Zmysł organizatorski niemiecki potrafił i tutaj zgóry obliczyć, jakie roboty i kiedy i w jakiej mierze stają się opłacalne.

Są to już zbyt mozolne obliczenia, żeby nużyć niemi czytelnika. Są jednak zbyt imponujące, żeby je zlekceważyć.

„HUFCE“ ŻEŃSKIE.

Jeszcze tylko pół godziny nam pozostało do odejścia pociągu.

Jak rozkoszne i tanie są te miedzioryty, które oglądamy w licznych królewieckich antykwarja-

tach. Falk... Chodowiecki... Dietrich... Pasja zbieracza nie pozwala mi rozstać się z nimi zbyt szybko. W Warszawie, w Gdańsku, w innych większych miastach, ruchliwych, leżących na ożywionych szlakach turystycznych, wszędobylscy kunsthaendlerzy już dawno te arcydzieła rytownictwa wykupili, pofałszowali i z wielkim zyskiem wyprzedają. Tutaj, na ustroniu, te sztychy są autentyczne, prawdziwe, niefałszowane. Każemy sobie zapakować w papier kilka za psi grosz zakupionych drobiazgów — ku zawiści przyjaciół-zbieraczy — i pędzimy na dworzec.

Przebóg, cóż to za procesja!

Mijają się właśnie dwa pociągi. W jednym jakby szkolna wycieczka chłopaków. W drugim jakby majówka pensjonarek. I ci i tamci jadą do obozów Służby Pracy.

Prawda, zapomnieliśmy o dziewczętach!

Przecież ustawa czerwcowa powołuje młodzież „obojga płci". Jakoż są i obozy żeńskie. Czy widzieliście kiedy w kinie maszerujące harcerki albo sokolice? Napisy nieodmiennie oznajmiają, że to „hufce" żeńskie. Te „hufce", muszę przyznać, zawsze napawają mnie nieopisaną radością. Jakiż to widok paradny, te pannice spocone, zgrzane, z błyszczącemi nosami, paradujące w grubych, ciężkich trzewikach — takie gorliwe w marszu, takie harde w postawie!

Otóż na czele tych „hufców" żeńskich w niemieckiej Służbie Pracy stoi pani Scholz-Klink, wybitna, zasłużona działaczka narodowo-socjalistyczna. W jej małych rączkach spoczywa organizacja i werbunek oddziałów kobiecych Służby Pracy.

Oczywiście, byłoby nierozsądne wychowywać w społeczeństwie tylko chłopców, gdyby dziewczęta dla tego wychowania nie miały żadnego zrozumienia. Wychowanie całego społeczeństwa w duchu narodo-

wo-socjalistycznym obejmuje także niemieckie kobiety.

Narazie na terenie Rzeszy znajduje się 400 obozów żeńskiej Służby Pracy, w których pracuje 12.000 dziewcząt w tym samym wieku „poborowym“, co i chłopcy. Naturalnie, charakter zajęć żeńskich różni się od tamtych. Kobieta niemiecka również ma sobie przez Wodza-Kanclerza powierzone ważne zadanie. Jej obowiązek główny, to straż domowego ogniska. Zatem uczy się dziewczęta, przyszłe żony i matki, zajęć gospodarskich, gotowania, cerowania, smażenia, pieczenia, przyprawiania, nadto przewijania, pielęgnowania i chowania dzieci — wszystkich, słowem spraw, o których tak niewielkie mam osobiście wyobrażenie...

Zaciężnicy w Służbie Pracy, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, składają przy wstępowaniu uroczystą przysięgę. Oto jej tekst:

„Przysięgam: Pragnę zachować Führerowi Państwa Niemieckiego i Narodu, Adolfowi Hitlerowi, niezłomną wierność, pragnę być posłuszny(ną) jemu i naznaczonym przezeń kierownikom, sumiennie wypełniać obowiązki mojej służby i być dobrym towarzyszem wszystkich przynależnych do Państwowej Służby Pracy“.

PAŃSTWOWE IZBY KULTURY.

Tak, stanowczo, jeżeli chodzi o pana prezydenta Bluncka — nie miałem szczęścia. Polowałem na niego po całej Rzeszy. W ostatniej chwili wymykał mi się sprzed nosa. W Berlinie powiadają mi: „Zastanie go pan w lokalu Izby Piśmiennictwa, Nollendorffstrasse 13“. Okazuje się atoli, że właśnie siedzibę Izby przeniesiono gdzieindziej. Niedawno powstałe Izby organizują się, przenoszą, urządzają. Stąd trud-

ności trafienia. Według nowego adresu udaję się na Mohrenstrasse 9. Panowie urzędnicy siedzą nad sto⸗sem nowiutkich, spod prasy, egzemplarzy książek emigrantów⸗pisarzy. Cenzurują. Zweig, bracia Man⸗nowie, Ludwig, Kisch, Werfel... Czerwone ołówki biegną z mrówczym pośpiechem po pachnących je⸗szcze farbą czcionkach.

— Pan Prezydent Blunck? Niestety, wyjechał. Znajdzie go pan w Hamburgu, Parkallee 35...

Jadę do Hamburga. Wysiadam, idę, dzwonię. Po⸗kojówka w białym fartuszku grzecznie oznajmia, że pan prezydent bawi aktualnie pod Hamburgiem, w swoim mająteczku. Można telefonować. Telefonuję. Informacja z majątku brzmi krótko i węzłowato:

— „Pan prezydent wyjechał na odczyt".

— „Dokąd?"

— „Do Warszawy".

Donnerwetter!

Tak więc spotkanie z prezydentem niemieckiej Izby Piśmiennictwa spełzło na niczem. Pocieszyłem się, jak mogłem, w inny sposób.

O cóż chodzi? O Izby Kultury, jednoczące nie⸗mieckich artystów, pisarzy, aktorów, muzyków, pla⸗styków w korporacje nowe, oparte na całkiem spe⸗cjalnych podstawach.

Powstanie izb i ich organizacja są wynikiem ca⸗łego światopoglądu narodowo⸗socjalistycznego.

Dr. Karl⸗Friedrich Schieber, adwokat i referent w państwowej Izbie Kultury, w broszurce swojej o organizacji i o celu tej instytucji, bardzo wnikliwie wyjaśnia nam zadania Izby.

Dr. Schieber wychodzi zatem z założenia, że re⸗wolucja narodowo⸗socjalistyczna, jak każda inna re⸗wolucja, wywołuje w umysłach narodu głęboki psy⸗chiczny przełom, powoduje szerg procesów ducho⸗wych, że wreszcie jest protestem zdrowego instynk⸗

tu. Wojna europejska, będąca poważnym przełomem w życiu narodu, nie zakończyła tego psychicznego procesu, ale nie wypełniła go także rewolucja 1918 roku, nieudolny, przejściowy twór państwowy, ostatnie wcielenie gasnącego świata liberalnego. Stąd okres od r. 1918 do r. 1933, a więc do objęcia władzy przez Hitlera, nazywają w Niemczech okresem przejściowym, a państwo w tym czasie — „Zwischenreich'em“ *).

Przeciwko światpoglądowi liberalno-marksistowskiemu wystąpił Adolf Hitler ze światopoglądem narodowo-socjalistycznym. Wszyscy znają dramatyczny przebieg tej walki, która zakończyła się objęciem władzy przez nazi, 30 stycznia 1933 r.

Zaczęła się przebudowa, państwowo-polityczna Rzeszy odnowa, od podstaw i zgruntu. Oznajmiono, że jest czyściec, czyściec niezbędny dla oczyszczenia wszystkich dziedzin życia. Jeden ogólny rytm musi ogarnąć wszystkie drgnienia ludzkie, inaczej powstaną dysonanse, które zagadnienie budowy nowego ustroju postawią pod znakiem zapytania. Podjęto budowę nowego państwa, oddychającego jednym rytmem, jednako uduchowionego, wyznającego jeden wspólny cel; postanowiono stworzyć państwo totalne. Lud, naród i państwo w organiźmie tym muszą stanowić jedność: będą to tylko różne formy organizacji jednej i tej samej instytucji. Fundamentem państwa będzie narodowy socjalizm. Zadanie polega więc na tem, aby naród wychować w tym duchu, który pozwoli mu osiągnąć trwały pokój i spokojny

---

*) Należy wyjaśnić, co oznacza „Drittes Reich", jakiem Niemcy nazywają ustrój hitlerowski. „Das erste Reich" było zatem państwo Karola Wielkiego, później — Święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego. Bismarck stworzył „Das zweite Reich". Trwało ono od 1871 do 1918. Lata 1918—1933 nazywają się „Zwischenreich'em" i wreszcie „Das dritte Reich" dało początek władzy narodowych socjalistów.

ustrój. Z tego nowego ustroju ma naród czerpać siły dla swojej dynamiki twórczej.

Wychowanie w tym duchu obowiązywać zatem musi w pierwszym rzędzie ludzi, którzy pracą twórczą określają duchowe oblicze Niemiec. Cel swój osiągną oni wtedy, jeżeli ręka w rękę pójdą po drodze tworzenia nowego ustroju. Ten ustrój i cel ogólny ochrzczono lapidarnem hasłem narodowych socjalistów: „Dobro ogólne przed dobrem jednostki".

O ile zatem ustrój liberalny kultem własnego „ja" i w walkach wszystkich przeciw wszystkim wiódł naród do atomizacji, do rozkładu i rozpadu, narodowy socjalizm za myśl przewodnią bierze sobie dobro ogółu, dobro narodu niemieckiego. Uznano za omyłkę mniemanie, że dobro robotników leży w międzynarodowem zbrataniu. Ta omyłka liberalno-marksistowska polega na tem, że nie doceniono znaczenia krwi i rasy. To samo dotyczy twórczości kulturalnej. Sztuka, zdaniem nazi, nie jest międzynarodowa. Innemi słowy, im bardziej wypływa ona z gleby rodzimej, narodowej, swojskiej, tem jest potężniejsza, większa, znakomitsza, tem większy staje się jej rezonans światowy, międzynarodowy. Twórczość taka nic nie będzie warta, jeżeli na podglebiu narodowem nie znajdzie potrzebnych pożywek, jeżeli — innemi słowy — nie znajdzie immanentnych wartości ideologicznych we własnym kraju.

Dlatego też zależeć będzie narodowym socjalistom na stworzeniu tego narodowego podglebia dla sztuki, która — zdaniem ministra Goebbelsa — jest najwyższym wyrazem twórczych sił narodu. Narodowy socjalizm nie uznaje pojęcia l'art pour l'art. Sztuka, jego zdaniem, musi mieć cel i sens społeczny, musi być integralną częścią duchowych doznań i potrzeb narodu. Kultura i sztuka nie mogą być szczepione sztucznie, muszą one wyrastać or-

ganicznie, według swoich praw własnych z korzeni narodowości.

Oczywiście, tak ujęte pojęcia o sztuce i kulturze oznaczać muszą odwrót od indywidualizmu i egotyzmu. Każdy szkodliwy wpływ na psychikę narodu, choćby przedstawiony w najwyższej formie, będzie tępiony. W korespondencji z Feuchtwangerem na temat sztuki min. Goebbels wyraził się, że „sztuka w sensie absolutnym, jak ją rozumie liberalny demokratyzm, nie będzie w Niemczech tolerowana".

W związku z tak właśnie pojmowanem znaczeniem sztuki w Niemczech, logicznie zazębia się pojęcie odpowiedzialności artystów. Tego pojęcia nie da się wszczepić artystom odrazu. W tym celu potrzebna jest szkoła, walka, korporacja.

Za wpływ duchowy na niemiecki naród w dziedzinie wiedzy, nauki, sztuki, religji odpowiedzialny jest urząd ministerstwa oświaty i propagandy. Zadaniem jego będzie tępienie wpływów ujemnych i popieranie twórczości takiej, jakiej żąda dla narodu narodowy socjalizm. Aby cel ten osiągnąć, powołało ministerstwo Izby Kultury — stanowo-zawodowe organizacje artystów. Stany te nie są to klasy w sensie liberalizmu, lecz kolumny organizacji narodowej, zbudowane na kryterjum zawodowem. Budowa ich jest nakształt plastra wosku: u wierzchołka znajduje się naczelna Izba Państwowa Kultury, niżej biegnie siedm Izb Kultury według zawodów, jeszcze niżej znajdują się poszczególne społeczne organizacje zawodowe.

Na czele Państwowej Izby Kultury z urzędu stoi minister oświaty i propagandy, w ten sposób więc baza tej piramidy, czy też plastra wosku, spoczywa w narodzie, wierzchołek zaś w państwie.

Podstawy prawne dla tych organizacyj stano-

wychw zakresie kultury zawiera dekret o Państwowych Izbach Kultury z dnia 22 września 1933 r.

Na mocy tego prawa minister oświaty i propagandy powołał do życia naczelną Izbę Kultury oraz siedm Izb zawodowych. Są to Izby następujące: Piśmiennictwa, Prasy, Radja, Teatru, Muzyki, Plastyki i Filmu. Izby powstały na miejscu dawnych związków, organizacyj i stowarzyszeń zawodowych.

Izby nie stanowią jakiejś przebudowy na modłę izb handlowych czy przemysłowych. Wzięły od nich tylko nazwę, lecz zadania mają szersze. O ile tamte mają głównie za zadanie strzeżenie interesów materjalnych członków, o tyle te znowu mają sobie polecone zachowanie kontaktu między państwem i narodem. Tak więc prezydenci izb zawodowych, wchodzący w skład naczelnej Izby Kultury, nie są tylko przedstawicielami interesów członków izb poszczególnych, lecz reprezentantami całej kultury narodowej.

Izby Kultury odpowiadają korporacyjnie niemieckiemu Frontowi Pracy. Dlatego też członkowie tych izb nie mają obowiązków należenia do Frontu Pracy. Obowiązki swoje wypełniają oni w ramach organizacyj własnych.

Do izb należeć muszą wszyscy, którzy pracują na terenie twórczości artystycznej, kulturalnej czy literackiej. Twórczością kulturalną nazywa się każda twórczość, która przez druk, film czy radjo dostaje się do świadomości ogółu. Tak więc do Izby Piśmiennictwa np. należą następujące związki zawodowe:

1) Państwowy związek literatów niemieckich,
2) Związek giełdowy księgarzy niemieckich,
3) Stowarzyszenie niemieckich bibljotekarzy ludowych,
4) Towarzystwo bibljofilów,

5) Związek zawodowy księgarzy,
6) Wspólnota niemieckich pracowników księgarskich,
7) Związek nakładców.

Pozatem do Izby Piśmiennictwa należy siedem organizacyj korporacyjnych, w rodzaju Towarzystwa prawa autorskiego, Niemieckiego związku językowego i inne, pokrewne towarzystwa.

W ten sposób rząd ma całkowitą kontrolę nad działalnością każdej Izby.

Powiedzmy, że któryś literat niemiecki mieszka zagranicą i do Izby Piśmiennictwa nie należy. Nie będzie on w stanie wydać w Niemczech żadnej książki, gdyż jego księgarz i wydawca, należąc do Izby, nie będzie mógł wydać jego książki. Współpraca zatem członka Izby z nieczłonkiem zostaje w ten sposób udaremniona.

Interesujący szczegół, o którym spoczątku nie wiedziałem: prawo o pochodzeniu aryjskiem nie dotyczy Izb Kultury. Oznacza to, że zarówno cudzoziemiec, jak i człowiek niearyjskiego pochodzenia, mogą należeć do Izb. Mogą więc w teatrze, w operze i w kabarecie występować Żydzi cudzoziemscy, byleby, oczywiście, twórczość ich nie kolidowała z ideologją narodowo-socjalistyczną. Ten wyjątek z ogólnej zasady o pochodzeniu aryjskiem zastosowano w Izbach Kultury przez wzgląd na potrzebę współpracy kulturalnej z innemi narodami. Artyści niearyjskiego pochodzenia nie będą jednak nigdy uznani za twórców i przedstawicieli niemieckiego mienia kulturalnego.

Ten upokarzający, Żydów szczególnie, paragraf wywołał, jak powszechnie wiadomo, masowy exodus. Opuściły Niemcy dziesiątki i setki pisarzy, dziennikarzy, uczonych, artystów. Pełną ich listę znaleźć można w „Brunatnej Księdze“.

Przynależność do Izb Kultury nie jest w Niemczech kwestją wolnej woli. Zastosowano przymus należenia do tych instytucyj. Stąd niepodobna sobie wyobrazić, żeby książki mógł wydawać literat, żeby w gazetach mógł pisać dziennikarz — jeżeli do Izb zawodowych nie należą i nie odpowiadają zasadniczym wymaganiom ideologicznym.

FUEHRER

Kartę wstępu otrzymałem stosunkowo bardzo łatwo. Jeden telefon do ambasady wystarczył: sekretarjat w dwie godziny przysłał mi karton z czarnemi obwódkami.

Wszystkie ulice, wychodzące na plac, obstawione policją. Żandarmerja co krok żąda okazania przepustki. Nastrój podniecony i podniosły. Przed kościół zajeżdżają co chwila auta. Dyplomaci w cylindrach, w pierogach, w mundurach, szamerowanych złotemi galonami, wstępują na schody katedry.

Usiłuję wejść głównem wejściem. Mistrz ceremonji ogląda zaproszenie i wskazuje boczne wejście. Wchodzę zatem do bocznej nawy. Tam już zastaję tłum, który mi całkowicie zasłania widok. Więc jeszcze raz wychodzę i dość zuchwale pcham się przez główne wejście, mrucząc jedno słowo „Aus Botschaft"... Istotnie, zaproszenie jest z ambasady Przepuścili tym razem.

Wzdłuż głównej nawy żołnierze tworzą szpaler aż do ołtarza. Po lewej stronie rzędem stoją członkowie polskiej ambasady z p. Lipskim na czele. Wkręcam się, jak piskorz, między żołnierzy Reichswehry, tuż obok przejścia. Katedra ma wygląd niezwykły. Niezwykły, jak na Berlin. Bodaj po raz pierwszy... Wysokie kolumny, aż po korynckie ich kapitele, okrywają flagi z polskiemi barwami. Na

środku nawy katafalk, trumna, przykryta flagą z Orłem Białym. Moc zieleni.

Wszyscy czekają. Już miejsca są zapełnione, tłum po bokach kołysze się niespokojnie, kardynał w pontyfikalnych szatach zajął miejsce na tronie po lewej stronie ołtarza. Punktualnie pięć minut po dziesiątej sygnalizują przybycie kanclerza. Jakoż po chwili widzę go. Jestem od niego o krok. Zjawia się krokiem wojskowym, wysoki, z głową podniesioną, w swoim zwykłym mundurze brunatnym, na którym tylko z lewej strony Krzyż Żelazny. Więc oto — kanclerz. Nie, nie wygląda nawet na swoje czterdzieści lat. Uwagę przykuwają jego oczy — oczy mocne, oczy fanatyka, apostoła. Takie oczy musiał mieć Godfryd de Bouillon, kiedy nawoływał do krucjaty. Oczy szare, osadzone dość głęboko, pod gęstemi, ciemnemi brwiami. Kosmyka, opadającego na czoło, tego kosmyka, który wciąż jeszcze widać na wszystkich karykaturach kanclerza — już niema. Podobno jakiś fryzjer zwrócił uprzejmie uwagę kanclerza, że kosmyk ten był wynikiem wadliwego strzyżenia.

Kanclerz podchodzi do ambasadora Lipskiego, potrząsa jego ręką i coś mu szepcze. Domyślamy się, że to ustne kondolencje kanclerza.

Poczem już obaj posuwają się przed ołtarz, gdzie kanclerz zajmuje miejsce czołowe. Nabożeństwo się rozpoczęło. Trwało godzinę. Kanclerz czekał cierpliwie, póki kardynał nie zmienił swoich szat, w których odprawiał egzekwje, złożył mu głęboki ukłon i w tym samym porządku opuścił kościół.

Była to uroczysta msza żałobna za duszę Marszałka Piłsudskiego, w Berlinie.

To było moje pierwsze widzenie kanclerza Hitlera.

Potem widziałem go nieraz jeszcze przemawiającego. Ale szczególnie utrwaliło się w mojej pamięci owe spotkanie z nim w katedrze berlińskiej, udekorowanej polskiemi flagami i Orłem Białym, kiedy kanclerz całą godzinę klęczał przed trumną Marszałka.

Jakiż on jest? Co to za człowiek? Jak myśli i do czego dąży?

Pisano o nim dotychczas wiele tomów, niema dnia, żeby pisma codzienne nie zajmowały się jego osobą, podobiznę jego zna już doskonale każde dziecko. Czegóż o nim nie pisano, czego nie opowiadano!

A to, że nie jest wcale Hitler, tylko... Schückergruber. „Oesterreichisches Abendblatt" puszcza w świat złośliwą wersję o... żydowskiej prozapji Hitlera. Agencje żydowskie prześcigają się formalnie w wyszukiwaniu najpotworniejszych głupstw i niedorzeczności. Wyszukano jakiegoś Żyda, imieniem Otto Müller, który dowodził niezbicie, że jest spokrewniony z Hitlerem. Ów Müller miał oświadczyć, że członek ich rodziny, Abraham Hüttler, po przyjęciu chrztu otrzymał imię Ignacy, stał się — oczywiście! — antysemitą i wówczas cała rodzina zerwała stosunki z neofitami. Müller twierdzi tedy, że jest spokrewniony z Adolfem Hitlerem i to przez babkę Müllera, Rozalję Müller.

Tak i podobnie pisały różne brukowce Wiednia, a łgarstwa te, fantazje, kalumnje pośpiesznie przedrukowywały usłużne i pokrewne organy Pragi, Warszawy, Bukaresztu. Stąd już wędrowały głupstwa w świat. Nikt ich jednak poważnie nie brał. Skąd te wersje pochodziły? Przedewszystkiem miały być zemstą za walkę z Żydami, zemstą, nie przebierającą w środkach i metodach. A powtóre — koło osoby tak wybitnej, tak niezwykłej lęgnąć się

zaczęły legendy, domysły, dociekania — jak się dzieje zwykle dokoła wielkiej indywidualności.

W istocie bowiem rzecz ma się zupełnie inaczej.

Austrjak. Niewątpliwie Austrjak. W miasteczku Leonding, w okolicach Linzu, na cmentarzu tamtejszym znaleźć można tablicę z czarnego marmuru, przybitą do kamiennego nagrobka. Na niej napis: „Alois Hitler". To grób ojca Adolfa Hitlera.

Była to rodzina chłopska, rodzina rolników i młynarzy. Jerzy Hitler miał syna Alojzego. Chłopak odznaczał się pewną ambicją. Nie chciał dalej siedzieć na kusym kawałku pola. Mając lat trzynaście, wyruszył w świat. Trafił do Wiednia, szukając tam szczęścia i karjery. Terminował u szewca. Ale to rzemiosło nie przypadło mu do smaku. Sięgał wyżej. Jakoż udało mu się dopełnić swego wykształcenia i cel osiągnąć: został urzędnikiem celnym w pogranicznem miasteczku Braunau nad Innem. Ożenił się z Klarą Pölzl, z którą miał niebawem córkę. Znacznie później przyszedł na świat syn.

Adolf Hitler urodził się 20 kwietnia 1889 r.

Heinz A. Heinz, biograf Führera, przypomina, że przedtem rozegrała się głośna tragedja w małym zameczku myśliwskim, Mayerling. Tragiczną śmiercią zginął następca tronu Austro-Węgier, Rudolf. O ile wypadek ten szeroko rozbrzmiał po świecie, o tyle urodzin synka urzędnika celnego z Braunau nie witały żadne fanfary. A przecież — powiada Heinz — skutków śmierci Rudolfa nie można nawet porównać ze skutkami narodzin Adolfa!

Chłopiec wychowywał się wśród czeredy współrówieśników i niczem się od dzieciństwa nie wyróżniał. W „Mein Kampf"" niewiele mamy szczegółów dziecięcych lat Adofla. Tyle wiadomo, że ojca

wciąż przenoszono z miejsca na miejsce — zwykły los celników. Pragnąc uniknąć kłopotów z nieustannem przenoszeniem rodziny, pan Alojzy kupił niewielki domek w wiosce Hafeld i umieścił tu żonę i dzieci. Sam urzędował w Passawie, skąd na święta wpadał do rodziny.

Dom był skromny, jednopiętrowy, jakich wiele było w Hafeld. Miał piękny sad owocowy dokoła, w podwórzu stała stajnia na konia i krowę, nad stajnią był stryszek z zapasami siana i owsa. Wymarzone miejsce do zabawy w chowanego!

Jakiś czas przedtem jednak rodzina Hitlerów mieszkała w miasteczku Lambach, między Linzem i Salzburgiem. Mały Adolf osiągnął już wiek, kiedy trzeba było pomyśleć o nauce. Oddano go do klasztoru benedyktynów, gdzie chłopiec zapoznał się z zasadami elementarza i gorliwie brał udział w chórze kościelnym. Marzył nawet wtedy, że zostanie przeorem.

Gmach klasztorny w Lambach, w stylu odrodzenia, składa się z dwuch pięter. Pośrodku wznosi się wieżyczka z zegarem i z dzwonnicą, nad bramą mieści się tympanon z tarczą wewnątrz, uwieńczoną biskupią tiarą. Na tarczy widać emblemat — swastyki.

Ta swastyka klasztorna, później, łącznie ze studjami nad teorją rasizmu, miała stać się symbolem całego ruchu Hitlera.

Kiedy chłopiec podrósł, ojciec zapisał go do szkoły realnej w Linzu. Myślał o karjerze urzędniczej dla syna. Spotkał się jednak z protestem ze strony jedenastoletniego Adolfa.

— Będę artystą — zawyrokował chłopiec.

Był uparty, stanowczy i konsekwentny. Przykładał się do nauki rysunków i nauczyciele chwalili go za zdolności. Zostanie artystą malarzem — tak

sobie postanowił i perswazje zatroskanego ojca nie mogły już wpłynąć na jego decyzję. Matka łagodziła konflikty ojca z synem.

Dobiegłszy sześćdziesiątki, pan Alojzy przeszedł na emeryturę. Osiadł w swoim domku w Hafeld, zajął się gospodarstwem i sadownictwem. Umarł na serce w r. 1903. Pani Klara uważała za konieczne, żeby dzieci uczyły się dalej, chociaż środki materjalne z trudnością jej na to pozwalały. Adolf powinien szukać karjery urzędniczej: była to wola ojca. Zachorował jednak na płuca i kiedy po wielu tygodniach stanął na nogi, lekarz pokiwał głową i mruknął, że karjera urzędnicza nie bardzo będzie dla niego pożąlana: jest wątły i powinien być więcej na powietrzu.

W pięć lat po śmierci męża rozstała się z tym światem pani Klara. Dom został sprzedany i młody Adolf stanął sam oko w oko z życiem.

Z piętnastoma guldenami w kieszeni i nędznym węzełkiem w dłoni udał się do Wiednia. Tyle się słyszało o wiedeńskiej Akademji Sztuk Pięknych! Pełen emocji wstąpił po wysokich schodach i trzymając w ręce teczkę z paroma rysunkami, zapukał do kancelarji dyrektora. Ten przejrzał szkice i zawyrokował, że Hitler źle trafił. Wnosząc z rysunków ma on raczej predyspozycje do architektury.

Ciężko zawiedziony powoli opuszczał Adolf Schillerplatz. Skręcił na Opernring. Czuł w ustach gorycz pierwszego niepowodzenia. Inny profesor, do którego się zgłosił, pochwalił rysunki. „Gdzie pan się uczył dotychczas“? Nie chciał wierzyć, że Hitler jest samouk. Zamknął tekę i oddał ją chłopcu. „Musi pan przedtem zdobyć podstawy“‘ — oznajmił sucho.

Nie mając matury, nie mógł trafić do wyższej uczelni.

W ubogiej dzielnicy miasta wynajął najskromniejszą izbę. Zaczęła się włóczęga po wielkiem mieście, w poszukiwaniu chleba i pracy. Raz udało mu się dostać pracę przy budowie domu. Nosił zaprawę wapienną i cegły, pracował ciężko. Ale czuł się obco wśród robotników, którzy namawiali go, żeby przystał do nich i zapisał się do komunistów. Odmówił. Postarali się więc, żeby wyleciał z budowy.

W „Mein Kampf" pisze kanclerz o tych swoich upodobaniach artystycznych ze znawstwem. Studjował później architekturę i wyrobił sobie smak. Nie cierpiał nigdy modernizmu i tych nowych prądów w budownictwie. Zamiłowania skłaniają go raczej do architektury klasycznej. Godzinami mógł siedzieć ze stalugami przed jakimś klasycznym budynkiem Wiednia i cierpliwie rysować. Lubił wysmukłe kolumny, zakończone korynckiemi kapitelami, wsparte na doskonałych w swojej prostocie architrawach. Rozkoszował się symetrycznym rzędem greckich kolumn, tworzących majestatyczny peripteros, względnie dipteros. Tympanony, opatrzone rzeźbą figuralną, miały dla niego wdzięk, jaki im przydała kultura wielu pokoleń.

Kiedy stawiano w wiele lat później Brunatny Dom w Monachjum, Adolf Hitler projektował go do spółki ze swoim przyjacielem, wielkim architektem, prof. Troost. Burmistrz Monachjum, p. Fiehler, powiada, że bez wiedzy i aprobaty kanclerza Hitlera nie stanie żadna poważniejsza budowla. Te zamiłowania pozostały mu dotychczas.

Przyszły lata straszliwej nędzy, głodu, rozpaczy. Cóż mogły przynosić skromne rysunki nieznanego malarza? Nawet za izdebkę na poddaszu nie starczało pieniędzy. Zdarzało się, że musiał noc spędzać gdzieś wśród rumowisk, barłog w rupieciarni

na ostrużynach z desek dawał wytchnienie skołata-
nej głowie.

Kiedy bywało lepiej, kupował książki i uczył się. Kiedyś trafił na galerję parlamentu w czasie obrad. Słyszał różnojęzyczne mowy Rusinów, Polaków, Czechów, Słowaków, Serbów, Chorwatów. Nic z tego nie rozumiał. A kiedy wśród posłów wybuchła bójka i poszły w ruch kałamarze, opuścił wspaniały gmach, zdumiony do najwyższego stopnia. Przedstawiciele narodu zgorszyli go karczemnemi burdami.

Przez dwa lata był w Wiedniu robotnikiem. Przez trzy lata żył jako malarz. Uciuławszy trochę grosza, w r. 1912 przeniósł się do Monachjum. Ma lat dwadzieścia trzy, żadnego fachu i żadnej przyszłości. Przyszłość rysowała się żałośnie. Majster krawiecki, Popp, wynajmował pokoik, Adolf wziął go.

Na karcie meldunkowej napisał starannie „Adolf Hitler, Architekturmaler aus Wien“. Wstawał o świcie i szedł ze stalugami na miasto. Sprzedaż rysunków przynosiła mu tyle, że mógł nie umrzeć z głodu. Wieczorami, przy świeczce łojowej, uczył się i czytał. Pochłaniała go historja Niemiec, zastanawiało go współzawodnictwo Niemiec i Austrji — przecież tu i tam mówiono jednym i tym samym językiem.

Minęło dwa lata. Strzały Gavrilo Principa oznajmiły wielką i niebezpieczną nowinę. Wojna! Napisał do władz austrjackich, które uznały go za niezdolnego do służby wojskowej. Zgłosił się więc do armji bawarskiej. W parę dni później nadeszła odpowiedź o wcieleniu go do pierwszej kompanji 16-go bawarskiego pułku piechoty, jako ochotnika. W październiku już, po krótkich ćwiczeniach, pułk wysłano na front. Adolf Hitler pełnił niebezpieczne

funkcje łącznika okopowego (Meldegänger) między kompanją i dowództwem pułku. Towarzysze jego opowiadają chętnie o jego odwadze i wytrzymałości na trudy wojenne. Był lubiany w wojsku, chociaż często czuł się samotny. Towarzysze otrzymywali z domu listy, przesyłki, zawierające trochę jedzenia, czy paczkę ciepłej bielizny — do Adolfa nie miał kto pisać.

Szrapnel, który wybuchł tuż koło niego, zranił go poważnie. Szpital. Znowu wraca na front. Za męstwo w r. 1917 przyznano mu krzyż wojenny z mieczami, w r. następnym — dyplom i wreszcie — żelazny krzyż pierwszej klasy. Krzyż ten lubi nosić po dziś dzień: to wysokie odznaczenie w armji niemieckiej. W tym samym roku został straszliwie zagazowany w zaciętej walce we Flandrji, pod Ypres. Groziła mu ślepota. Z trudem wyleczył się.

Znowu front. Koledzy jego z frontu opowiadają, jak pewnego razu spotkał Hitler rekonesans francuski, który wychylił się z za pagórka. Było ich dwunastu, a Hitler sam. Ale oni myśleli, że za nim stoi więcej boszów. Więc krzyknął ręce do góry, usłuchali i poszli przed nim, jak im kazał. Zapędził ich do niemieckich okopów i Francuzi wtedy spostrzegli, że dali się ująć jednemu zwykłemu gefreiterowi.

Alkoholu ani tytoniu nie używał. Cały zato żołd szedł na... powidła, ulubiony przysmak Hitlera.

Koniec wojny. Pokój. Scheidemann ze schodów Reichstagu proklamuje republikę. Cesarz haniebnie ucieka z kraju. Siodlarz, pan Ebert, zostaje prezydentem Rzeszy. Bawarja — wolne państwo. Wittelsbachy uciekają. Tworzy się rada robotników, chłopów i żołnierzy, która na stolec prezydencki Bawarji powołuje starego dziennikarza żydowskiego i działacza komunistycznego, Kurta Eisnera. Rewo-

lucja. Ale nakrótko. Dwudziestoletni hrabia Toni von Arco Valley kropi z rewolweru do Eisnera i tem się kończy przewrót bolszewicki w Bawarji, któremu kres kładzie ostatecznie generał Ritter von Epp.

W tych warunkach żołnierze wracają z frontu. Demobilizacja. Adolf Hitler także opuszcza wojsko. Przejścia na froncie i sceny w ukochanem Monachjum, jakich jest świadkiem, nasuwają mu myśl, żeby poświęcić się polityce. Przypadkowo odkrył w sobie talent krasomówczy: to mu ułatwi karjerę.

Decyzja ta nie powstała, oczywiście, znagła. Niewątpliwie już wcześniej Adolf Hitler przygotowywał się do późniejszego swego rzemiosła polityka. Dużo czytał, dużo studjował, wyrobił sobie zdanie o wielu sprawach państwowych. Nie ulega kwestji, że zamęt, na jaki trafił po powrocie z wojska, decyzję jego ugruntował.

Jakież miał wtedy szanse powodzenia? Żadnych. Trafił na chaos, który pragnął usunąć, ale to jeszcze nie stanowiło wiele.

Kiedyś wpadła mu w ręce broszura robotnika, imieniem Anton Drexler. Rzecz miała tytuł „Mein politisches Erwachen“ (Moje przebudzenie polityczne). Napisał ją zwykły robotnik, który także pragnął poświęcić się polityce. Wygłosił oto odczyt i pewna majętna pani, zachwycona jego projektem, wręczyła mu 300 marek na ogłoszenie odczytu drukiem. Drexler założył polityczną grupkę ludzi, składającą się z pięciu ludzi. „Deutsche Arbeiter Partei“ mieściła się kątem przy Sterneckergasse. Przemówienia wygłaszano w jednej z licznych piwiarni monachijskich, w których zbiera się publiczność dla wypicia kufla ulubionego Pschorra. Jest to zupełnie inna publiczność, niż ta, jaką widuje się w Polsce. Większa demokratyzacja, większa swoboda, każdy gada co chce, każdy może wejść na stołek i wygło=

sić mowę, którą obecni przyjmą oklaskami lub gwizdami. Zbiera się tu cyganerja z całego świata, studjująca w akademjach monachijskich, schodzą się rzemieślnicy i wyrobnicy — wyrobieni politycznie, ogładzeni kulturalnie i mający jakie takie wykształcenie. Analfabetów w Niemczech niema.

Hitler trafił na zebranie partji Antona Drexlera. I przeczytana broszura i mowa wysłuchana przypadły mu do gustu. Zapisał się, jako szósty członek „Niemieckiej Partji Robotniczej". Kolejne posiedzenie poświęcone było kwestjom finansowym partji. Z referatu skarbnika okazało się, że aktualnie partja rozporządza majątkiem w wysokości 7 marek i 50 fenigów. Po uchwaleniu paru drobnych kwestji członkowie rozeszli się.

Tak zaczęła się karjera polityczna Adolfa Hitlera.

Narysował partji symbol. Ze studjów nad sprawą rasy przypomniał sobie znak swastyki — taki, jaki w dzieciństwie oglądał na frontonie klasztoru w Lambach. Ponieważ pod nazwę partji podszywać się zaczęły inne grupki polityków, postanowiono zmienić jej tytuł. „Nazional-Sozialistische Deutsche Arbeiter Partei" — tak będzie się odtąd nazywać partja.

Dyskutowano, sporządzano i układano statut partji, budowano cegła po cegle ideologję NSDAP. Narazie sytuacja była beznadziejna. Jeżeli partja ma się stać punktem wyjścia, takie pogawędki sześciu członków jej nie wystarczą. Trzeba zwoływać częste wiece publiczne, może uda się porwać ludzi, może ten i ów da coś na propagandę.

Pierwsze audytorjum składało się z dziewięciu słuchaczów. Następne już z trzynastu, dwudziestu trzech, trzydziestu czterech. Hitler wziął się energicznie do pracy. Przemawiał, nawoływał do zapi-

sywania, propagował swój program. Za kilkanaście uzbieranych marek dano ogłoszenie do jakiegoś dziennika monachijskiego, że w Müncher Hofbräukeller, w małej salce, mogącej pomieścić sto trzydzieści osób, odbędzie się zebranie. Dziwnym trafem sala zapełniła się po brzegi. Hitler wygłosił płomienną mowę i objawił słuchaczom wspaniałe krasomówstwo, siłę przekonania i niepokojącą dynamikę.

Stał się bożyszczem słuchaczy i przywódcą partji. Od sali do sali, od miasta do miasta, od wsi do wsi, wędrowano i wygłaszano płomienne przemówienia. Liczba członków rosła. Partja stawała się niebezpieczna dla najsilniejszej grupy komunistycznej. Usłyszeli, że powstała jakaś partja „narodowa". Wystarczyło, żeby ją znienawidzili. Ponieważ coraz częściej przytrafiały się zaczepki i ataki wrogów, trzeba było pomyśleć o samoobronie. Stworzono podobną grupę ludzi, jaką mieli komuniści i inne partje. Uformował się oddział szturmowców (Sturmabteilung), którego pierwszem zadaniem było pilnować porządku na sali w czasie przemówień Hitlera. Często dochodziło do krwawych bójek. Latały w powietrzu olbrzymie, ciężkie kufle. Hitler stał na mównicy i cierpliwie czekał. Kiedy manifestantów udało się wyrzucić, padało hasło: „Die Versammlung geht weiter" i Hitler kontynuował przemówienie. To powiedzenie „Die Versammlung geht weiter" stało się niebawem przysłowiowe, wiadomo było, że jest na porządku dziennym: rozprawa z komunistami i — jazda dalej.

Szturmowcy tedy spocządku mieli za zadanie ochronę zebrań przed wrogiemi partjami. Dopiero później charakter ich uległ zmianie. Oto szkic ich rozwoju, jak podaje Hitler:

„Oddziały szturmowe nie powinny być szkolone

z punktu widzenia wojskowego, lecz należy je pou-czać, jak mają wypełniać cele i zadania partji. Lu-dzie muszą być w tym celu silni i zdolni, trzeba ka-zać kłaść większy nacisk na sport (tu należą boks i dżiudżitsu), niż na musztrę wojskową... Jeżeli kie-dyś w przyszłości narodowi potrzebna będzie armja, to znajdzie on najlepszy materjał".

Jakoż istotnie, oddziały szturmowe po przywró-ceniu przez kanclerza powszechnej służby wojsko-wej okazały się elementem dobrze wyszkolonym i zdyscyplinowanym.

Program partji naszkicował Hitler przy pomocy Antona Drexlera. Oto, jak pisze o tem Drexler:

„Pracowaliśmy ciężko z Hitlerem, aby naszkico-wać oficjalny program partji. Kiedyś przyszedł do mnie wieczorem, uzbrojony w rękopis, w którym ten program spisał. Godzinami pracowaliśmy nad tem, skreślając i skracając, jak się tylko dało. Wie-dzieliśmy, że program nie może być rozwlekły, a jednak najważniejszą rzeczą było, aby każdy punkt był jasny, zrozumiały i dokładny... Świtało już, kie-dy nareszcie forma była ustalona. Program składał się z 25-ciu punktów. Kiedy skończyliśmy, Hitler zerwał się z miejsca i uderzył pięścią w stół tuż przed moim nosem, mówiąc:

— „Wiesz, stary, że te punkty będą rywalizowały z oświadczeniem Lutra, przybitem na wrotach Wi-tembergi!"

Jeden wiec odbywał się po drugim. Hitler, zachę-cony powodzeniem, widząc, że słowa jego nie giną w próżni, nabierał mocy i siły. Mówił z głębokiem przekonaniem, potrafił jasno, wyraźnie, zrozumiale wyłożyć cel i pragram partji, piętnował anarchję, w jaką popadło państwo, nawoływał do zjednocze-nia się.

Wciąż nowi i nowi członkowie wstępowali pod

znaki NSDAP. Przyszło powiększyć kwaterzę partji. Wynajęto trzy pokoiki, gdzie zainstalowano biuro; zakupiono maszynę do pisania, sporządzono kartoteki członków. Każdy z nich miał swój numer i numer ten zachował po dziś dzień. Kolejność liczb świadczy o kolejności zapisania się: im mniejszy numer, tem starszy członek.

Hitler dowiedział się w tym czasie, że jest do sprzedania pismo „Völkischer Beobachter". Po porozumieniu z przyjaciółmi uznał, że posiadanie własnego organu prasowego może się przydać. Zakupiono więc gazetę, która teraz ukazywała się jako dwutygodnik.

Hitler naszkicował także flagę partyjną. Nie była to rzecz prosta. Chodziło o to, aby wyrażała ona sens partji. Kolory czarno-biało-czerwone istniały jeszcze w Niemczech, co wskazywało na próżną nadzieję przywrócenia przedwojennej monarchji. Te barwy nie nadawały się. Partja Hitlera nie chciała być partją reakcji, lecz kontrrewolucji. Zachował wprawdzie stare barwy z tego względu, że pod temi barwami brały Niemcy udział w wojnie, ale dodał swastykę. Czerwone tło oznaczać miało socjalizm, białe — nacjonalizm, a swastyka — czystość rasową, nordycki symbol słońca.

Nie łatwo było pokonać jednak stare i liczne partje. W Niemczech przed dojściem do władzy Hitlera istniały 42 partje polityczne, zwalczające się zajadle i krwawo. Pomyślano więc o tem, aby stworzyć jakiś własny oddział ludzi, któryby mógł imponować wrogom i narzucić im szacunek dla siły i potęgi NSDAP. Oddział taki zorganizowano w maju 1923 r. Otrzymał on nazwę „Stosstrupp Hitler". Później nieco na czele tego korpusu stanął lotnik-kapitan Goering. Oddziały te przeznaczone bywały do szczególnie niebezpiecznej roboty i maszerowały

przed oddziałami szturmowemi. Panował w nich wojskowy rygor, dyscyplina.

Rok 1923 był dla Niemiec katastrofalny. Marka załamała się, zaczęła się obłąkańcza inflacja. Ludzie liczyli na miljardy. Francuzi zajmowali zagłębie Ruhry, drażniąc tem narodowe ambicje Niemiec. W Düsseldorfie zabity został Schlageter, którego nazwisko podniesiono w Niemczech do symbolu walki o przywrócenie narodowi godności i honoru. Komunizm rozszalał się tak, że lada dzień spodziewano się wybuchu rewolucji. Oczywiście, nie wszędzie doszły do posłuchu głosy rewolucyjne, maksymalistyczne. Południe Niemiec, Bawarja, Saksonja, opierały się republikańskim hasłom Berlina. Stresemann i Ebert nie cieszyli się tu popularnością. Chodziły słuchy o podziale Niemiec na dwie części: północną, socjalistyczną, i południową, reakcyjną, względnie hitlerowską.

Bawarski prezes ministrów von Knilling, pragnąc oprzeć się wpływom Berlina, mianował generalnym komisarzem państwowym na Bawarję von Kahra, zagorzałego monarchistę. Stosunki z Berlinem, jeżeli nie zostały całkowicie zerwane, to trzymały się tylko na włosku. Von Kahr myślał o sprowadzeniu Wittelsbachów. Berlin zarządzenia von Kahra uznał za jawny bunt. Aby jeszcze bardziej oprzeć się wpływom Prus, von Kahr zamianował naczelnym dowódcą Reichswehry bawarskiej prawicowego generała von Lossow. Był to już wyraźny bunt przeciwko władzom centralnym i lada moment można było oczekiwać zbrojnej reakcji rządu berlińskiego.

W tych warunkach von Kahr uznał za stosowne porozumieć się z Hitlerem, którego siłę potrafił należycie ocenić. Hitler postanowił działać. Zwołał wielki wiec w dniu 8 listopada 1923 r. do Bürgerbräukeller, gdzie przemawiać mieli bawarscy mini-

strowie. Ludzie Hitlera wezwani zostali do złożenia przysięgi, że pójdą nawet na śmierć, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Kapitan Goering zebrał swoje wojsko i oświadczył, że chwila decydująca nadeszła: rząd zostanie wypędzony, a Hitler i von Kahr powołają nowe władze.

Tłum słuchał właśnie przemówienia von Kahra w piwiarni na temat „Lud i naród", kiedy na salę wdarły się oddziały Hitlera. Powstała panika. Kobiety mdlały. Von Kahra i innych członków rządu bawarskiego ogarnęło zdumienie: nie byli przygotowani na tak stanowczy krok Hitlera. Tymczasem oddziały dotarły do estrady i otoczyły ją ze wszystkich stron. Na mównicy stanął Adolf Hitler. Ale wrzawa nie pozwoliła mu dojść do głosu. Hitler wyciągnął rewolwer i strzelił w sufit. Zapanowała minutowa cisza, wśród której mówca proklamował koniec czerwonego reżimu. Po tych krótkich słowach zbiegł z estrady, szepnął kilka słów von Kahr'owi i obaj przeszli do dalszego pokoju dla odbycia ważnej konferencji.

Na sali tymczasem pilnował porządku kpt. Goering. Chwile były prawdziwie dramatyczne. Kiedy uspokoiło się nieco, Goering wszedł na mównicę i oznajmił:

— „Zaczynamy na nowo: musimy odnaleźć nowe państwo. Nie zamierzamy skrzywdzić d-ra Kahra. Wszyscy go szanujemy. Nie walczymy z wojskiem, ani z policją. Walczymy tylko z żydowskim reżimem w Berlinie. Przedsięwzięliśmy ten krok, ponieważ jesteśmy przekonani, że ludzie, stojący na czele tutaj, w Bawarji, pomogą nam uwolnić się od Berlina i od Żydów. Nowy rząd utworzy się dokoła Hitlera, Ludendorffa, Pöhnera i von Kahra!"

Ludendorff, który także był na sali, wyraził gotowość poparcia Hitlera. Kiedy wrócił Hitler z von

Kahrem, Ludendorff przyłączył się do nich. Proklamowano nowy rząd. Udano się na dalsze narady, poczem Hitler musiał opuścić zebranie, żeby wydać szereg zarządzeń na mieście. Generał Ludendorff miał sobie polecone pilnować von Kahra i szefa policji i pod żadnym pozorem nie pozwolić im opuścić sali.

Kiedy po kilku godzinach Hitler wrócił, przekonał się, że zakładników niema.

— „Co to znaczy, ekscelencjo — zwrócił się do Ludendorffa — gdzie von Kahr, von Lossow i Seisser?"

— „Poszli — odpowiedział generał — dali mi słowo honoru"...

— „Boże — zawołał Hitler — w takim razie gra jest skończona!"

Generał „o nieszczęśliwej ręce" o lat dziesięć opóźnił dojście do władzy narodowych socjalistów...

Hitler zrozumiał, że zawcześnie otworzył karty. Tamci nie mieli dość odwagi, żeby podejmować się zamachu stanu. Udali się pośpiesznie do koszar i na monachijską stację radjową, protestując przeciwko plakatom, któe oznajmiały, że „Władza jest w rękach nowego rządu narodowego: Ludendorff, Kahr, v. Lossow i Seisser są z nami!" Nie, nie byli z nimi, z wyjątkiem Ludendorffa, który jednak popsuł całą sprawę.

Następnego dnia z rana oddziały szturmowe otrzymały rozkaz zajęcia sztabu głównego policji z monachijskim wojskowym sztabem generalnym. Hitler postanowił doprowadzić do rozstrzygającej bitwy. Zaaresztowano socjalistycznych i komunistycznych rajców miasta i pochód około godziny jedenastej ruszył na most Ludwika, prowadzący przez Izarę do centrum miasta. Na czele pochodu niesiono flagę ze swastyką. Dalej szedł Hitler, Ludendorff,

Goering i inni. Przechodnie wiwatowili na cześć Hitlera. Zdawało się, że wszystko odbywa się pomyślnie. Tymczasem u wylotu mostu trafiono na niewielki oddział wojska. Był to skutek zdrady von Kahra. Dalej stał oddział policji w hełmach i z bronią w ręku. Policjanci podnieśli karabiny, kiedy ktoś krzyknął z szeregów Hitlera: „Nie strzelać! Ludendorff jest z nami!" Na ten okrzyk policja opuściła broń. Kilku szturmowców w okamgnieniu rozbroiło oddział policji, pochód posuwał się dalej.

Czołowa kolumna dotarła tymczasem przez Marienplatz do Feldherrenhalle. Śpiewano na głos: „O, Deutschland hoch in Ehren" i tłum przyłączył się do manifestantów, gdy wtem zaterkotał karabin maszynowy. Powstało zamieszanie i kilka okrzyków rozdarło powietrze. Szeregi w rozsypce zaczęły się cofać. Na bruku leżały trupy.

Najbliższy sąsiad Hitlera padł, trafiony śmiertelnie; upadając, pociągnął Führera za sobą, przyczem ramię Hitlera zostało zwichnięte. Karabiny, mimo krzyków, przekleństw i jęków, nie przestawały siać zniszczenia. Goering pada ranny. Czternastu ludzi stratowano na śmierć. Ogółem padło w tej nierównej walce szesnastu ludzi. Zdumienie wywoływał Ludendorff, który odłączył się od tłumu, skierował się na Odeonplatz i stanął przed karabinami maszynowemi policji. Powinien być podziurawiony jak sito, tymczasem nawet nie został draśnięty.

Szofer Hitlera nadjechał i zatrzymał się obok leżącego wodza. Hitler wstał — lewe ramię zwisało bezwładnie — potknął się o coś. Młody chłopiec, nieprzytomny i okrwawiony, leżał u jego stóp. Zdrowem ramieniem Hitler objął chłopca i wciągnął go do auta. Samochód ruszył, ścigany przez wóz pancerny policji. Auto Hitlera zdołało jednak zmylić

pogoń. Odwieziono rannego chłopca do szpitala. Hitler uciekł dalej, za miasto.

Skrył się na wsi u swego przyjaciela, Dr. Hanfstaengla, późniejszego szefa biura prasy zagranicznej, gdzie jednak odnalazła go policja. Goeringa unieśli z pola bitwy przyjaciele. Schronił się on w Tyrolu, później przeniósł się, po wyleczeniu z ran, do Włoch, gdzie przebywał do czasu ogłoszenia amnestji.

Partja rozprzęgła się. „Völkischer Beobachter“ został zamknięty. Manifestantom wytoczono proces. Osadzono ich w twierdzy Landsberg. Rozprawa zaczęła się 26 lutego 1924 r. i trwała 24 dni. Hitler wygłosił jeszcze raz płomienne przemówienie, które trwało 4 i pół godziny. Przedstawił w niem cele i zadania ruchu. Skazano go na pięć lat twierdzy. Pięciu innych manifestantów otrzymało wyroki łagodniejsze. Generał Ludendorff został uniewinniony.

Twierdza Landsberg leży o 80 km. na zachód od Monachjum w miasteczku tej samej nazwy. Hitlera umieszczono w celi Nr. 7, w której przebywał młody hr. Toni von Arco-Valey, głośny zabójca prezydenta Bawarji, Eisnera. W szpitalu więziennym opatrzono jego uszkodzony obojczyk.

Heinz A. Heinz, biograf Führera, przeprowadził niezmiernie interesujące rozmowy z luźmi, którzy kiedykolwiek znali Hitlera. Między innymi interviewował głównego dozorcę więziennego, Franza Hemmricha.

„Chciałby pan dowiedzieć się czegoś o naszym regulaminie dla więźniów w twierdzy“?

Pan Hemmrich opowiada chętnie i dużo.

„Kiedy wybije godzina 6, dwaj dozorcy nocni są zwolnieni ze służby. Wszystkie cele zostają otwarte i w całem skrzydle panuje swoboda komunikowania się. O godzinie 7 przestępcy kryminalni

przynoszą politycznym śniadanie. Składa się ono z kawy z chlebem albo polewki. Potem więźniowie udają się do umywalni. O 8=ej otwiera się drzwi ze=wnętrzne na dziedziniec i ogród, wszyscy tłoczą się do przyrządów gimnastycznych, aby zażyć trochę ruchu. Niektórzy uprawiali boks i walki zapaśnicze. Wszystkie rodzaje sportów były dla więźniów udo=stępnione. Hitler nie mógł jednak uprawiać żadnego sportu spowodu chorej ręki. Musiał się ograniczać do roli sędziego. Po godzinie ćwiczeń fizycznych więźniowie udawali się na spacer po ogrodzie. Ogród — jak pan widzi — jest długi i wąski, ogra=niczony z jednej strony budynkami więziennemi, z drugiej wysokim murem. Z innych stron znajdują się wysokie drewniane parkany. Tutaj, widzi pan, jest napis: „Granica“. Jeżeli ktoś przekroczy to miejsce, jest to uważane za usiłowanie ucieczki. Mo=je okno wychodziło na ogród i do mnie należało mieć na oku spacerujących. Czy widzi pan tę długą aleję żwirową wzdłuż muru? To było ulubione miejsce spaceru Hitlera, w jedną i drugą stronę. Prawie zawsze w towarzystwie Hessa. Inni nazywali to miejsce „ścieżką Hitlera“. Czasami ci, co należeli dawniej do „Strosstrupp“, zaczynali przy spacerze śpiewać pieśni partyjne. Początkowo nie zwracaliś=my na to uwagi, a raczej nie sprzeciwialiśmy się te=mu, ale gdy pospolici przestępcy zaczęli także wrze=szczeć unisono i zakłócali spokój wszystkim, zabro=niliśmy tego. O dziewiątej wszyscy znajdowali się znowu wewnątrz budynków, a drzwi zamykały się za nimi. O 11=ej rozdawano listy. Oczywiście, w biu=rze otwierano je i cenzurowano. Jeżeli zawierały coś, co według opinji dyrektora nie powinno było dojść do więźniów, zatrzymywano je. Więźniowie sami zabierali przysyłane paczki z paczkarni i wszystko musiało być otwierane w mojej obecności. Często

musiałem nawet zaglądać do przysyłanych produktów spożywczych, sprawdzając, czy niema w nich jakiegoś przemytu... Tuż przed dwunastą nakrywano do stołu we wspólnym pokoju. Obrus ten właściwie nie był przepisowy, ale więźniowie sami to wprowadzili, a my nie protestowaliśmy. Posiłek przynoszono w jednem wielkiem naczyniu i podawano każdemu oddzielnie. W zasadzie obiad składał się z jednego dania. Wszyscy czekali na Hitlera, wyprostowani, stojąc każdy za swojem krzesłem. Kiedy Führer wchodził, wołano „Achtung!" (Baczność), a on podchodził do szczytu stołu i stał tam, dopóki wszyscy nie wystąpili naprzód z powitaniem. Potem wszyscy siadali. Rzadko rozmawiano o polityce. Zazwyczaj Hitler gawędził ze swoim sąsiadem z lewej i z prawej strony o takich rzeczach, jak teatr, sztuka, nawet kwestje techniczne. Był biegły w mechanice, zwłaszcza motorowej. Zawsze dostawał jakieś plany z warsztatów motorowych oraz nowe rysunki podwozi, które sam szkicował. Pod koniec posiłku Hitler pierwszy dawał znak „Mahlzeit" (Smacznego), na co wszyscy odpowiadali tak samo i siedzieli dalej, paląc i rozmawiając, podczas gdy sprzątano ze stołu. Czasem ktoś ofiarowywał mu owoce, co Hitler zawsze z wdzięcznością przyjmował. Po kwadransie odsuwał talerz i udawał się spowrotem do swojej celi. Około godziny czwartej jeden z grupy gotował kawę albo herbatę i w filiżankach roznosił towarzyszom. O trzy na piątą znowu otwierałem drzwi na dziedziniec i wszyscy wychodzili na drugie przewietrzenie się — Hitler i Hess udawali się niezmiennie do swojej alei. O szóstej wracali na kolację — śledź lub kiełbasa z sałatą. Jadano ją w celach. Każdemu wolno było kupować pół litra piwa lub wina. Wielu korzystało z tego przywileju. Potem o pół do siódmej następowała druga go-

dzina sportów i ćwiczeń cielesnych na wolnem po⸗wietrzu. Później więźniowie zbierali się we wspól⸗nym pokoju, do godziny dziewiątej. O tej porze każdy musiał wracać do siebie. O 10⸗ej gaszono światło".

Spoczątku, po nieudanym zamachu, Hitlera ogar⸗nęło przygnębienie. Depresja trwała czas dłuższy. Uważał, że wszystko jest skończone, że wysiłki jego poszły na marne. Przyjaciele perswadowali mu, że nie należy rozpaczać. Hitler postanowił działać da⸗lej. Ponieważ jednak ci, co zostali na wolności, roz⸗pierzchli się, trudno było z twierdzy kierować ru⸗chem. Będąc w zamknięciu Hitler zaniechał działal⸗ności politycznej.

Przystąpił do pisania autobiografji „Mein Kampf". Kiedy wraz z innymi wyłapanymi hitlerow⸗cami zjawił się w twierdzy Rudolf Hess, objął on funkcje sekretarza Führera.

Rudolf Hess urodził się w r. 1894 w Aleksandrji (Egipt), jako syn emigrantów niemieckich. Kiedy ukończył czternaście lat rodzice wysłali go do Nie⸗miec na naukę. Z chwilą wybuchu wojny zgłasza się jako ochotnik, walczy na froncie zachodnim i zo⸗staje ranny pod Verdun. Idzie na front rumuński, gdzie jest dwa razy ciężko ranny. Od jesieni r. 1918 do końca wojny jest lotnikiem na froncie zachod⸗nim. Podczas marszu 9 listopada 1923 r. bierze udział w pochodzie i wreszcie trafia do twierdzy w Lands⸗berg. Dłuższy czas był sekretarzem Führera. Dziś, jak wiadomo, jest jego osobistym zastępcą.

Teraz dzień i noc słychać było w celi Hitlera stuk maszyny do pisania. Hitler dyktował Hessowi. Każ⸗dy ukończony rozdział odczytywano na głos podczas wieczornych zebrań.

Hitlera odwiedzało w twierdzy wiele osób, nie⸗raz z najodleglejszych części kraju. Mógł się zatem

przekonać, że w dalszym ciągu pozostał popularny, że zwolennicy jego ufają, iż podejmie walkę nanowo. Naskutek wniosku dyrektora więzienia sąd zmniejszył karę Hitlerowi do sześciu miesięcy. Wskutek pewnych przeszkód natury personalnej udało mu się opuścić więzienie dopiero na parę dni przed Bożem Narodzeniem 1924 r.

Zaczęła się druga faza w historji ruchu narodowo-socjalistycznego. Narazie ruch ten, jak wiadomo, był zakazany. Hitler złożył wyroczyste zapewnienie, że będzie dążył do celu jedynie na drodze legalnej. Wyznaczył dzień 27 lutego 1925 r. na ponowne założenie partji. Wygłosił wielką mowę w Bürgerbräukeller — pierwszą od pamiętnych wydarzeń 9 listopada, i na dłuższy przeciąg czasu — ostatnią. Władze wydały zakaz wygłaszania przemówień politycznych przez „cudzoziemca Hitlera".

Wybór na prezydenta Rzeszy feldmarszałka Hindenburga, 26 kwietnia 1926 r., przyniósł ogólną amnestję przestępcom politycznym. Powraca z Włoch kpt. Goering i od tej chwili zaczyna się ścisła współpraca jego z Hitlerem i Goebbelsem.

Führer należycie ocenił zdolności polityczne Dra Goebbelsa i jego talent propagandowy. Goebbels przykładał wielką wagę do tych spraw. „Propaganda to sztuka, której posiadanie jest darem nadprzyrodzonym" — powie kiedyś z emfazą. Przyszłość pokazała, że niewiele przesadził. Hitler wysyła go teraz do Berlina, do tej „jaskini komunistów". Mianuje go także szefem centralnego biura propagandy na całe Niemcy.

Natomiast ochłódł znacznie stosunek Hitlera do Ludendorffa. Stary generał zawsze miał w sobie dużo cech warchoła. Teraz np. podejmuje walkę przeciwko Kościołowi katolickiemu. Hitlerowi mogło to tyl-

ko zaszkodzić, to też rozłam między nimi staje się tylko kwestją czasu.

W sierpniu 1927 przegląd, dokonany przez Hitlera wśród jego zwolenników, ujawnia 30.000 ludzi. Zakaz przemawiania cofnięto „cudzoziemcowi Hitlerowi" w r. 1927 i nanowo podejmuje on objazd pasterski wśród miast Rzeszy niemieckiej. W wyborach do Reichstagu w maju 1928 r. dwunastu pierwszych przedstawicieli Hitlera zasiada w parlamencie. Ten pierwszy sukces polityczny daje bodźca do dalszej akcji.

W początku 1930 r. komuniści zastrzelili młodego narodowego socjalistę, Horsta Wessela. Wessel, student, syn protestanckiego duchownego, napisał dla partji marsz, znany teraz pod jego imieniem. Hitlerowcy widzą w nim ucieleśnienie swoich ideałów. Naraził się komunistom, którzy pewnego wieczoru wpadli do jego pokoju i czterema strzałami pozbawili go życia.

1-go stycznia 1931 r. otwarto uroczyście Brunatny Dom w Monachjum — nową centralę partji. Przedtem jeszcze, bo w r. 1930 przy wyborach do parlamentu, partja Hitlera osiąga 107 miejsc i staje się liczebnie drugą reprezentacją po socjalistycznych demokratach. Walka staje się coraz ostrzejsza. W tym roku krajowy rząd w Brunświku reprezentują już hitlerowcy. Rząd ten przeprowadza naturalizację Adolfa Hitlera i nadaje mu obywatelstwo niemieckie.

Partja rośnie z dnia na dzień. Hitler nie jest już ubogim robotnikiem. Rozparządza własnym samochodem i własnym samolotem. Jeździ, lata, wygłasza mowy, działa, wydaje rozkazy. W wyborach na prezydenta republiki w r. 1932 marszałek Hindenburg otrzymuje niewiele co więcej głosów od Hitlera. Pierwszy — 18.600.000, drugi — 11.300.000 głosów.

Ostatnią walkę z Hitlerem podejmuje kanclerz Brüning, przedstawiciel centrum niemieckiego. Nakazuje demobilizację oddziałów szturmowych, rozwiązanie organizacji młodzieży p. n. „Hitlerjugend“ i konfiskatę majątku partji. Ale jest już zapóźno. W wielu państwach związkowych partja Hitlera rozporządza już największą liczbą posłów. Hindenburg odprawia Brüninga i 1 czerwca 1932 r. mianuje kanclerzem swego męża zaufania, Franza v. Papena. Ostatnie wybory stają się najkrwawsze w historji Niemiec. Komuniści ponoszą porażkę. Partja Hitlera osiąga 230 miejsc w Reichstagu.

Walka jest skończona.

Od 13 sierpnia 1932 r. toczą się rokowania między Hindenburgiem, Papenem i Hitlerem. Hitlerowi ofiarowują wicekanclerstwo. Odrzuca tę nominację. Powiadają, że odmowa ta stanowi „czarny dzień“ Hitlera. W wyborach listopadowych narodowy socjalizm traci 34 miejsca. Wciąż jednak jeszcze jest to największa liczebnie partja w parlamencie i Papenowi nie pozostaje nic innego, jak usunąć się. Urząd jego obejmuje generał von Schleicher (2 grudnia 1932 r.), człowiek mało znany i niepopularny. Kiedy znalazł się w zupełnem odosobnieniu, prezydent Hindenburg w dniu 29 stycznia 1933 r. powierza kanclerstwo Adolfowi Hitlerowi.

Malarz architektoniczny z nieznanej wioski austrjackiej zasiada na fotelu Bismarcka.

PORTRETY PALATYNÓW.

Mózg, pięść i język Trzeciej Rzeszy...

Tak możnaby w ogólności określić trzech najwybitniejszych mężów stanu dzisiejszych Niemiec.

Pierwszy daje myśl, inicjatywę, cel. Jest on twór-

cą całej narodowo-socjalistycznej ideologji. To jest Adolf Hitler.

Drugi realizuje te myśli. Uosabia on w tym organiźmie żelazną wolę. To jest Herman Goering.

Trzeci — ideologję i czyn przetapia w tyglu uczucia. Celem propagandy bowiem jest stworzenie woli narodu. Te uczucia i wolę budzi w narodzie niemieckim Joseph Goebbels.

Jest jeszcze jeden. Najmłodszy. Ten działa swoim młodocianym entuzjazemm. To bard i herold hitleryzmu. Nic tak nie rozpala młodzieży, jak entuzjazm. Tym bardem i heroldem nazi wśród młodzieży jest poeta, Baldur von Schirach.

Myśl — wola — uczucie. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, jak ważną jest harmonja między temi trzema współczynnikami w każdym organizmie. Jak wielką sztuką jest harmonijne ich współdziałanie. Ale o to można być spokojnym: Niemcy znani są ze sztuki wzorowej organizacji.

Niema wśród nich starców. Wszyscy są młodzi. w sile wieku. Wszystkich rozpala jeden cel: dobro państwa. Żadnemu nie da się zarzucić prywaty. Można się nie zgadzać z ich metodami, można potępiać ich gwałtowność i nienawiść rasową. Ale trzeba zrozumieć, że prawdziwie nienawidzieć potrafią albo wielcy idealiści, albo desperaci, którzy utracili już możliwości innych, łagodniejszych metod.

Jeżeli analizować historję ruchu hitlerowskiego, jeżeli śledzić owe dziesięć lat mozolnej walki ich o władzę, kiedy tropieni byli, jak dzikie bestje, zarówno przez ówczesne rządy, przez komunistów z jednej strony, a konserwatystów z drugiej — można zrozumieć, że ci ludzie byli jednem i drugiem: idealistami i desperatami.

Potępiając ich metody, potępia się je z punktu widzenia moralności prywatnej. Nie jest rzeczą mo-

ralną rozróżnianie dwuch moralności: publicznej i prywatnej. A jednak inaczej w życiu być nie może. Zamach stanu staje się zbrodnią, jeżeli się... nie uda. Niefortunnych zamachowców wiesza się na latarniach. Ten sam zamach stanu udany — będzie świętem narodowem. Exemplum: Trzeci Maj u nas.

Narodowy socjalizm przyszedł do władzy w drodze legalnej. Ale mimo to jest rewolucją. Jest rewolucją, która nosi wszelkie cechy rewolucji permanentnej. Obawiamy się jednak, że rewolucja permanentna jest stanem normalnym każdej dyktatury. Jest stanem przejściowym z jednej organizacji do drugiej. To wulkan energji kinetycznej.

Do czego dąży narodowy socjalizm?

Do czego dążą przywódcy Trzeciej Rzeszy?

Oznajmili oto, że pierwszem ich zadaniem będzie przwrócenie ducha narodowego Niemiec i dumy narodowej. Oznajmili, że Niemcy nie chcą i nie mogą żyć wiecznie pod pręgierzem Traktatu, który z nich uczynił barbarzyńców: winowajców barbarzyńskiej wojny.

W pierwszym zatem rzędzie postanowił Adolf Hitler przywrócić Niemcom suwerenność. To mu się udało. Wskrzesił armję i obalił układ lokarneński, który suwerenność niemiecką w Nadrenji stawiał pod znakiem zapytania.

Co uczyni dalej? Na to pytanie dają odpowiedź jego pokojowe enuncjacje. Przyszłość pokaże, czy jest szczery.

Zanim atoli dalej rozważymy historję tego niezwykłego ruchu, przypatrzmy się sylwetkom głównych hitlerowskich działaczy.

Oto one.

„DER SIEGER VON BERLIN“.

Oddziały S.-A. uformowały szpaler na kwadrans przed przybyciem ministra. Stoją nieruchomo — chłopaki dobrze zbudowane — z rozstawionemi nogami i z minami bardzo serjo. Każdy z łańcuchem na piersi — znak swastyki — swastyka także na ramieniu.

Przyjechał. Szybko i zręcznie wyskakuje z samochodu — mimo niedowładu nogi. Niski, czarny, na oko możnaby go wziąć za studenta. Zdecydowanym krokiem idzie wzdłuż szpaleru, wszedł do sali — huragan oklasków — zasiadł skromnie w jednym rzędzie z innymi.

Międzynarodowy Kongres Filmowy. Odbywa się w gmachu parlamentu — dawniej opera Krolla. Sztandary wszystkich narodów, których reprezentanci biorą udział w kongresie. (Niemcy mają niesłychany zmysł dekoracyjny. Jak oni urządzają te zjazdy, kongresy, meetingi! Sztandary, swastyki, ogromne — moc tych emblematów i dekoracyj, które stwarzają nastrój świąteczny, podniosły, działający na wyobraźnię tłumu).

Przewodniczący wita ministra i oddaje mu głos. Minister oświecenia publicznego i propagandy, dr. filozofji, Józef Goebbels, przemawia. Trzeba go słyszeć, żeby mieć pojęcie o jego zdolnościach oratorskich. Jak umiejętnie moduluje głos, jak umiarkowanie go podnosi, z jaką prostotą i swobodą rzuca myśli, hasła, jak wspaniale operuje djalektyką. Urodzony mówca!

Przemówienie jego raz wraz przerywają oklaski. Ci, co nie mają możności rozumieć jego słów — cudzoziemcy — w czasie przemówienia trzymają na uszach słuchawki. Słuchawki te umocowano styłu oparcia foteli. Bardzo pożyteczne urządzenie. Ra-

zem ze słowami ministra słyszy się jego przemówie=nie w trzech innych językach. Speakerzy ex promptu tłumaczą jego mowę i podają na salę na zasadach ra=djotelefonu. Można sobie dowolnie wybrać tekst an=gielski, francuski albo włoski.

„Der Sieger von Berlin“ — jak go nazywają. Tą swoją swadą bowiem i djalektyką zdobył Goebbels stolicę i rzucił ją do stóp Führera. Podboju Berlina, który spośród wszystkich miast Rzeszy miał opinję najbardziej „czerwonego gniazda“, dokonał Goeb=bels wytrwałą, metodyczną pracą propagandową. Przemówienia jego, zawsze starannie opracowane, przygotowane, wypowiedziane dobrze, wycezylo=wanym dramatycznym patosem, potrafią porwać całe audytorjum — zwłaszcza kobiety.

Kobiety niemieckie szaleją za nim, jako mówcą. Jeszcze przed przewrotem hitlerowskim za groszo=we składki kupiły mu samochód — żeby nie potrze=bował męczyć chorej nogi, która utrudnia mu cho=dzenie.

Pani Magda Goebbelsowa, od kilku lat szczęśli=wa małżonka ministra, szczerze zwierzyła się nie=dawno, że w mężu zakochała się od pierwszego wej=rzenia — kiedy właśnie przemawiał. Adonisem prze=cież nie jest p. Goebbels i, prawdę mówiąc, nie ma po temu warunków zewnętrznych. A zatem — je=go głos.

Urodził się 29 października w małem mieście Rheydt w Nadrenji. Pochodzi ze starego rodu west=falskich chłopów i drobnych mieszczan. Zamłodu uczęszcza mały Józio do ludowej katolickiej szkół=ki w Rheydt. Później — gimnazjum i wreszcie stu=dja na uniwersytetach w Bonn, we Fryburgu, Würz=burgu, Monachjum, Heidelbergu, Kolonji i w Ber=linie. Studjuje historję, historję sztuki i literatury,

filologję. W Heidelbergu składa swoją rozprawę, której broni w r. 1920; uzyskuje doktorat filozofji.

Z ruchem narodowo-socjalistycznym nawiązuje pierwszą znajomość w Monachjum w r. 1922. Przypadkiem zachodzi na zebranie polityczne, na którem przemawia Adolf Hitler. Mowa ta wywiera na nim silne wrażenie. Bez wahania składa swój podpis na liście nowych członków NSDAP.

Zrazu — już jako członek nazi — działa na terenach akademickich, później, mimo okupacji Nadrenji przez wojska Ententy, potajemnie zakłada na obszarze Nadrenji i Ruhry pierwsze organizacje lokalne. Ogniskiem tych grup staje się miasteczko Hattingen. Działalność jego nie mogła atoli trwać dłużej w ukryciu. W r. 1924 władze okupacyjne wydalają go z Nadrenji. Goebbels udaje się wówczas do Elberfeldu i obejmuje redakcję gazety „Völkische Freiheit“. W rok później zakłada słynne „Listy narodowo-socjalistyczne“ i w ten sposób stwarza podstawy dla pragmatycznego programu partji. W tym samym czasie prowadzi okrąg partyjny Nadrenji i Ruhry, z siedzibą w Elberfeldzie.

9. listopada 1926 powołuje go Führer na stanowisko kierownika okręgu Wielki-Berlin. Goebbels z miejsca przystępuje do opracowania należytej metody walki. Całe odium kieruje w stronę elementów komunistycznych. Kiedy przekonał się, że teror marksistowski został pokonany, otwiera bramy Berlina Hitlerowi, który tutaj przemawia po raz pierwszy 1 maja 1927, w święto majowe. Zakaz wygłoszenia tego przemówienia, który wyszedł od ówczesnych władz panujących, hitlerowcy czują się już na siłach zignorować.

W tym okresie zakłada Goebbels pismo „Angriff“, które zrazu ukazuje się jako tygodnik. Na dzień partji w Norymberdze zdołał „rozwiązany“

okręg „Wielki-Berlin“ wysłać już 700 członków SA. Na tem walka o zdobycie Berlina może być uznana za ukończoną.

W 1928 Goebbels należy do pierwszych posłów hitlerowskich do Reichstagu. Także — w r. 1930. Przy podziale ról Führer powierza Goebbelsowi kierownictwo propagandy partji. Nominacja ta stanowi rzecz pierwszorzędnej wagi. Były to lata rozstrzygające: udanie lub nieudanie się całej akcji zależało od umiejętności jej propagowania. Goebbels i z tego zadania wychodzi obronną ręką. Nagrodą były mu wybory do parlamentu w marcu 1933 r., przynoszące narodowemu socjalizmowi walne zwycięstwo.

W kilka tygodni po zwycięstwie obejmuje Goebbels świeżo dla niego utworzone ministerstwo oświecenia publicznego i propagandy.

Pośród mozolnych walk, ustawicznych podróży i przemówień znajduje Goebbels czas na pracę publicystyczną. Ogłasza szereg książek, m. inn. „Der unbekannte SA-Mann“, „Michael“, „Das Buch Isidors“, „Knorke“, „Kampf um Berlin“, „Die Blutsaat“, „Der Wanderer“, „Die 2. Rewolution“, „Die verfluchten Hakenkreutzler“, „Der Nazi-Sozi“, „Das kleine ABC“, „Signal zum Aufbruch“, „Lenin oder Hitler“, „Wege ins dritte Reich“, „Das erwachende Berlin“, „Vom Kaiserhof zur Reichskanzlei“ *).

Wciąż pochłonięty pracą, wciąż w ruchu, przelatuje kraj wszerz i wzdłuż, przemawia, działa, organizuje. Życie prywatne uznaje tylko w gronie naj-

---

*) „Nieznany członek SA“, „Michał“, „Książka Izydora“, „Knorke“, „Walka o Berlin“, „Posiew krwi“, „Pielgrzym“, „Druga rewolucja“, „Przeklęci swastykarze“, „Narodowy Socjalista“, „Małe ABC“, „Sygnał do wymarszu“, „Lenin czy Hitler“, „Drogi do Trzeciego Reichu“, „Budzący się Berlin“, „Od Kaiserhofu do kanclerstwa“.

bliższej rodziny: wolne chwile spędza z żoną i dziećmi.

Mimo popularności jego w kraju, która ustępuje chyba tylko popularności Führera, nie brak mu wrogów. Nie mówiąc o komunistach i Żydach, którzy go nienawidzą, z niechęcią odnoszą się do niego koła skrajnie prawicowe. Mówią tam, że Goebbels przestał być właściwie narodowym socjalistą, że stał się „narodowym bolszewikiem". Złośliwi nazywają go „Trockim niemieckiej rewolucji", jako że posiada z nim pewne cechy wspólne: demagogję, radykalizm i swadę.

Żydzi... No, to chyba jasne. Ale on niewiele sobie z tego robi. Podobno sam nieźle włada żargonem i przepada za „szmoncesami", t. j. żydowskiemi wicami.

Możliwe.

PILOT — GENERAŁ — PREMJER PRUSKI.

To zaledwie drobna ilość tytułów Hermana Goeringa. Jest on pozatem przewodniczącym Reichstagu, Wielkim Łowczym Rzeszy i potrójnym generałem: lotnictwa, piechoty i pruskiej policji krajowej.

Na jego temat krąży w Rzeszy miljon anegdot. Powiadają, że z okazji ślubu otrzymał od kogoś prezent w postaci albumu, w którym zapisano tysiąc i jedną anegdotę na jego cześć. Minister Goering, który ma poczucie humoru, podarunek ten przyjął z uśmiechem.

Opowiadano mi w Berlinie następujący dowcip na temat zaszczytów p. Goeringa.

Jezioro. Łódź. Na brzegu stają Hitler, Goebbels i Goering. Pragną przeprawić się na drugi brzeg. Kto będzie wiosłować?

— Może Hitler?

Tamci dwa protestują. — „Führer? Nie, to nie wypada“... — „Więc może Goebbels?“ Tamci oponują. Przecież on jest taki wątły... „Więc — Goering?“ — „Na miłość Boską — woła Führer — tylko nie Goering! Jak tylko usiądzie do wioseł, zaraz każe się zamianować admirałem...“

Częsty gość w Polsce, więc tembardziej znać go potrzeba.

Urodził się 12 stycznia 1893 r. w majątku rodowym Rosenheim, w Bawarji. Pochodzi ze starej ziemiańskiej rodziny saskiej. Ojciec jego, stary bojownik za wolność i wielkość Niemiec, na rozkaz Bismarcka zdobył południowo-zachodnią kolonję afrykańską. Zarządzał nią przez długie lata w charakterze ministra-rezydenta.

Herman uczęszcza do szkół w Fürth i w Ansbach. Przechodzi szkołę kadetów w Karlsruhe oraz wyższy zakład kadetów w Gros-Lichterfelde. Po złożeniu z odznaczeniem egzaminów w marcu 1912 r., wstępuje do 112 regimentu piechoty w Mühlhausen w randze porucznika. W chwili wybuchu wojny z tym samym pułkiem wyrusza na front. Wyróżnia się w służbie wywiadowczej, ale niebawem z przyczyny ostrego reumatycznego zapalenia stawów idzie do szpitala. Sąsiednie łóżko zajmuje niejaki Bruno Loerzer, zapalony lotnik. Namawia on Goeringa, żeby po opuszczeniu szpitala także zaciągnął się do floty powietrznej. Zgoda! Jako obserwator-pilot przy armji Kronprinza, odznaczony zostaje Herman Goering krzyżem żelaznym pierwszej klasy — niebylajakie wyróżnienie! W r. 1915 uzupełnia wykształcenie lotnicze w słynnej szkole lotniczej we Fryburgu i już jesienią udaje się ze swoją flotyllą powietrzną na front, do Szampanji. Ciężko ranny, na pewien czas znowu trafia do szpitala. Po wyzdrowieniu, w r. 1917 otrzymuje do-

wództwo eskadry. Zasługi jego przynoszą mu najwyższe wojenne odznaczenie: Pour le mérite, ufundowane przez Wielkiego Fryderyka. W czerwcu 1918 powierzona mu zostaje słynna eskadra myśliwska Richthofena: w wojnie powietrznej eskadra ta pełni najbardziej odpowiedzialne funkcje. Wojna skończona. Goering wraca do kraju i w randze kapitana-pilota opuszcza armję. W latach 1920 — 1921 pełni służbę na cywilnych linjach powietrznych Svenska Lufttrafik w Stockholmie. Żeni się w tym czasie i razem z żoną powraca do Niemiec. Studjuje na uniwersytecie monachijskim historję i ekonomję. Temperament działacza politycznego ponosi go do walki z wewnętrznymi wrogami Rzeszy. W Monachjum trafia na przemówienie Hitlera i natychmiast staje do jego dyspozycji. Już w grudniu 1922 r. otrzymuje wysoki stopień dowódcy oddziałów szturmowych (SA) i przystępuje do reorganizacji tej grupy. Przychodzi krytyczny rok 1923. Marsz narodowych socjalistów przez Monachjum do Feldherrenhalle. Tam po raz drugi otrzymuje Goering ciężki postrzał. Przyjaciele unoszą go na rękach i, chroniąc przed nieuniknionym aresztem, wiozą do Tyrolu. Potem — kilka lat we Włoszech. Amnestja z r. 1927 otwiera mu bramy ojczyzny. Znowu walka w szeregach nazi. Jest on między pierwszymi piętnastoma posłami do Reichstagu. Führer powierza mu najbardziej odpowiedzialne funkcje i zadania. Jako zaufany Hitlera, Goering wywiera pewien wpływ na politykę niemiecką za rządów Brüninga, v. Papena i v. Schleichera. W maju 1931 jedzie do Rzymu, gdzie ma ważną rozmowę z Mussolinim. W sierpniu 1932 zostaje przewodniczącym Reichstagu, a kiedy 30 stycznia 1933 Hitler objął kanclerstwo, niezwłocznie powołuje go do gabinetu.

Nazi mają mu do zawdzięczenia przywrócenie autorytetu rządowego, tak nadszarpniętego za poprzedniej władzy.

BARD REWOLUCJI.

Die Einen sind vom Fressen fett
Und ernten fremde Saaten
Und haben Haus und Hof und Bett —
Die Andern sind Soldaten.

Die Einen wurden riesenreich,
Die Andern ruhn in Flandern.
Sind sie vor Gottes Sonne gleich,
Die Einen und die Andern?

Baldur v. Schirach

Taki młody i taki już potężny!

Policzcie, ile ma lat... Urodzony 9 maja 1907 r., jako syn porucznika kirasjerów, późniejszego intendenta teatru wejmarskiego, Karola von Schirach, Baldur po skończeniu szkół wstępuje na uniwersytet w Monachjum. Studjuje przeważnie germanistykę i historję sztuki.

Z ruchem narodowo-socjalistycznym związał się zamłodu, mając lat 17. Od r. 1925 działa u boku Führera i dziś należy do jego najzaufańszych przyjaciół. Zastać można go często nietylko we własnem biurze, ale i w kancelarji kanclerstwa. Dwudziestoletniemu zaledwie Baldurowi powierza Hitler odpowiedzialne kierownictwo ruchu narodowo-socjalistycznego wśród młodzieży akademickiej. Jakoż udaje się młodemu działaczowi większą część tej młodzieży zaprząc do rydwanu Wodza. Jako wódz organizacji młodzieży p. n. „Hitler-Jugend" organizuje wielki pochód młodzieży w Potsdamie w r. 1932, wreszcie jednoczy ją pod jednym sztandarem w liczbie przekraczającej miljon członków.

Jako szef młodzieży niemieckiej posiada Baldur von Schirach nieograniczoną władzę. Pracuje ręka w rękę z kanclerzem i z ministrem propagandy. Razem ustalają nowe metody, razem powołują do życia, szczebel po szczeblu, nowe organizacje dzieci i młodzieży, jak „Landjahr", do którego idą dzieci po opuszczeniu szkoły, jak „Jungvolk", do którego zapisuje się berbecia już we freblówce, jak wreszcie „Hitlerjugend", do której dziecko przechodzi, osiągnąwszy dziesięć lat.

Jako poeta-liryk ogłosił von Schirach kilka tomików poezji. „Sztandar prześladowanych" znalazł rozgłos wśród miljonów. Popularny jest także jego wiersz p. t. „Do Wodza". Znany jako dziennikarz i literat. Książki jego, jak „Hitler taki, jakim go nikt nie zna" i „Triumf woli" osiągnęły w ostatnich latach jedne z największych nakładów.

SPRAWY KOLONJALNE.

— My chcemy kolonij! My chcemy kolonij!

Ta skandowana piosenka rozlega się w Niemczech i nie daje spokoju. Wieńce, symbolizujące utracone prowincje i kolonje w monachijskiej Feldherrenhalle na Odeonplatz, wymieniają te nazwy i przypominają je:

Südwestafrika... Kamerun... Togo... Samoa...

A przecież wyrzekli się ich dwukrotnie. Po raz pierwszy w artykule 119-ym Traktatu Wersalskiego. A po raz drugi w Ewangelji narodowego socjalizmu, w książce... Adolfa Hitlera, „Mein Kampf". Cóż tam wówczas pisał o tej sprawie dzisiejszy Führer?

Pisał wyraźnie:

„Zatrzymujemy wieczny pęd Germanów na południe i na zachód Europy i kierujemy nasze spoj-

rzenie na kraje, leżące na Wschodzie. Zamykamy nareszcie kolonjalną i handlową politykę czasów przedwojennych i przechodzimy do polityki osiedlenczej (Bodenpolitik) przyszłości" (str. 742).

A potem nagle wszystko się zmieniło. W r. 1935 zaznaczył się wyraźny zwrot w niemieckiej polityce w stosunku do zagadnienia kolonjalnego. Kilku wysokich dygnitarzy dało początek nowej akcji. Zaczęło się od tego, że gospodarczy dyktator Rzeszy, dr. Hjalmar Schacht, w przemówieniu, wygłoszonem z okazji otwarcia targów lipskich w d. 4 marca 1935 r., oznajmił, że gorsze położenie Niemiec w porównaniu z innemi wielkiemi mocarstwami tłumaczyć należy brakiem zamorskich posiadłości: „Francja i Anglja — mówił p. Schacht — mogły skutecznie podtrzymać handel ze swemi kolonjami, gdzie niema żadnych kwestyj transferowych. Ten fakt uwidocznia prawdę, że państwo przemysłowe potrzebuje kolonjalnych obszarów surowcowych. Niemcy zresztą także i w przedwojennej polityce kolonjalnej miały na oku tylko gospodarcze, a nie imperjalistyczne cele".

P. Schacht stworzył nawet coś w rodzaju planu działania w kierunku odzyskania kolonij. Plan ten polegać ma na tem, aby stworzyć specjalne towarzystwa uprzywilejowane, któreby — ręka w rękę z istniejącym od r. 1925 w łonie Reichstagu „Interfraktionelle Kolonialvereinigung" — rozwinęły aktywność w krajach zamorskich i eksploatowały je dla dobra gospodarki niemieckiej. Projekt ten jednak nie znalazł należytego posłuchu, dał atoli bodźca do akcji rewindykacyjnej wśród społeczeństwa.

D. 9 listopada tegoż roku minister finansów, hr. Schwerin-Krosigk, omawiając trudności, jakie Niemcy napotykają w swoich usiłowaniach do zdobycia zagranicznych rynków zbytu, oświadczył, że jeżeli

Niemcy nie będą mogły zwiększyć importu surowców, to zażądają współudziału we władaniu obszarami, z których surowce te będą mogły sprowadzić.

Wreszcie w wywiadzie z prezesem „United Press" oznajmił Adolf Hitler w dniu 29 listopada, że Niemcy nigdy nie zrezygnowały ze swoich dążeń kolonjalnych.

Czemu przypisać te zmiany w poglądach kierowników narodowego socjalizmu na sprawę kolonjalną? Są one natury ideologiczno-doktrynalnej. Pisząc „Mein Kampf" był Hitler zwolennikiem teorji „powrotu do ziemi" i przeciwnikiem form nowoczesnego kapitalizmu, a handel międzynarodowy traktował jako malum necessarium, które trzeba, o ile możności, zmniejszyć. Kolonje, a zwłaszcza kolonje przedwojenne, nie przedstawiały dla Niemców tej roli, jakąby dziś odegrać mogły. W ostatnim, przedwojennym roku 1914 wyemigrowało zagranicę zaledwie 10.000 obywateli niemieckich, a z tego do kolonij niewiele więcej niż 1000 osób. Nie warto było rozpraszać się wówczas dla problematycznych korzyści.

Po wojnie natomiast do okrojonych Niemiec powróciła potężna fala reemigrantów, w liczbie zgórą miljona 250 tysięcy obywateli. Jacyż to Niemcy i skąd powrócili do Rzeszy? (Cytuję z wydawnictwa Friedricha Heissa „Deutschland zwischen Nacht u. Tag", 1934, Volk u. Reich Verlag, Berlin).

Z Łotwy i z Estonji	12.000
Z Okręgu Kłajpedzkiego . . .	15.000
Z Poznańskiego i z Pomorza . .	900.000
Z Rosji	40.000
Z Górnego Śląska	100.000
Z Alzacji i Lotaryngji	125.000
Z Francji	54.000

Z Eupen-Malmedy	2.000
Z Belgji	3.000
Z kolonij	13.000
Z Górnego Szleswigu	2.000
Razem . .	1.266.000

Ta wielka ilość reemigrantów i obtantów nie mogła pozostać bez wpływu na warunki etnograficzne i gospodarcze Rzeszy. Zrobiło się ciasno. Tym ludziom, którzy powrócili do ojczyzny po wielu latach niebytności w kraju, nie łatwo było o znalezienie pracy. A tymczasem inne państwa, do których kiedyś kierował się cały niemiecki ruch emigracyjny, zamknęły swoje granice.

Najwyższa Rada Aljantów podzieliła po wojnie kolonje niemieckie w ten sposób, że część kolonji przydzielono państwom zwycięskim, inne zaś oddano w zarząd mandatowy Wielkiej Brytanji, Francji, Belgji i Japonji.

W ten sposób Niemcy straciły:

W AFRYCE:

Togo, podzielone między Anglję i Francję, o powierzchni 87.000 km. kw. i o ludności 1.033.000 (w czem Niemców — 320 osób);

Kamerun, podzielony podobnie jak Togo, o powierzchni 790.000 km. kw. i o ludności 2.653.000 (w czem Niemców — 1643 osoby);

Wschodnio-afrykańska kolonja, podzielona między Brytanję i Belgję, o powierzchni 995.000 km. kw. i o ludności 7.866 (w czem Niemców — 4107 osób);

Południowo-zachodnia kolonja afrykańska, podzielona między unję państw południowo-afrykańskich, o powierzchni 835.000 km. kw. i o ludności 105.000 (w czem Niemców — 12.292).

W AZJI i OCEANJI:

Nowa Gwineja i wyspy archipelagu Bismarcka pod mandatem brytyjskim i odpowiedzialnością Australji; wyspy Marszałkowskie pod mandatem japońskim, wyspy Karolińskie również pod mandatem japońskim i wyspy Samoa — pod mandatem brytyjsko-australijskim. Łącznie wyspy te obejmują około 330.000 km. kw. z półtoramiljonową ludnością, w czem Niemców — 1700). Na rzecz Chin straciły Niemcy wreszcie koncesje w Kiauczau o powierzchni 600 km. kw., ze 195.000 ludności (w czem Niemców — 4256).

Łącznie straciły Niemcy na rzecz Aljantów 2.953 tysiące km. kw. powierzchni z 12.295.000 ludności. W kolonjach tych zamieszkiwało 23.952 Niemców *).

Sugestje p. Schachta, o których wspomniałem wyżej, dały asumpt do coraz liczniejszych występów Niemiec z żądaniem zwrotu kolonij.

Generał von Liebert, były komendant zamorski sił zbrojnych, opracował świeżo plan pewnego rodzaju dywersji wśród ludności tubylczej. Akcja ta idzie w kierunku wywołania niezadowolenia wśród tej ludności z ich obecnych właścicieli czy też mandatarjuszów i wyrażenia woli na powrót do Niemiec. Dążenia te nie zatrzymują się zresztą tylko na dawnych kolonjach niemieckich: podobnie, jak Japończycy chcą wygrać na wrzeniu w Indjach, plan gen. v. Lieberta zmierza do poruszenia mas chińskich i annamickich w Azji, a także tych kolorowych, którymi nieudolnie i słabo rządzi Portugalja.

Obok bowiem haseł o zwrot dawnych kolonij, Niemcy wysuwają żądania przydzielenia im kolonij

---

*) Są to ostatnie dane sprzed wojny. Czerpię je z Westermanns „Taschen — Welt — Atlas" 1934. Georg Westermann, Braunschweig.

źle administrowanych przez państwa słabe ekonomicznie, którym kolonje z ich surowcami nie są tak niezbędne, jak państwom wielkim, silnie uprzemysłowionym.

Niewątpliwie dziś kolonje są Niemcom bardziej potrzebne, niż przed wojną. W r. 1914 eksport niemiecki wynosił 20 miljardów marek, z czego na handel z kolonjami przypadało zaledwie 110 miljonów, czyli pół procent ogólnego handlu. Z tych 110 miljonów zamorskich jedna tylko koncesja Kiauczau pochłaniała zgórą 50 miljonów marek.

Liczba Niemców, osiadłych przed wojną w kolonjach, wynosiła 24.000. Dzisiaj, w dobie bezrobocia i nieludzkich wysiłków w kierunku ukrócenia go, Niemcy obiecują sobie skierowanie miljonowej masy ludności do przyszłych kolonij, co nietylko osłabiłoby krajowy przerost ludności, ale pozwoliłoby także zwiększyć kolonjalną produkcję surowców własnemi rękami.

Jak wiadomo, państwa Ententy nie wyraziły dotychczas zgody na żadne ustępstwa kolonjalne dla Niemiec. W każdym bądź razie treść znanych pytań min. Edena, skierowanych do kanclerza Hitlera, każe się domyślać, że państwa te nie wyrzekłyby się rokowań kolonjalnych.

Zapewne za cenę innych ustępstw...

ŻYCIE NOCNE.

Nunc est bibendum
Nunc pede libero pulsanda tellus
Nunc saliaribus ornare pulvinar deorum
Tempus erat dapibus sodales!

Tempus erat...

Teraz się to wszystko bardzo odmieniło. Gruntownie.

— Nie mamy czasu na zabawę. Nie możemy tracić sił na nocne hulanki. Musimy dużo pracować.

Tak mi powiedział pewien hitlerowiec, którego zastałem po południu w piwiarni przy kuflu Pschorra. O północy zauważyłem, że do lokalu zaglądają straże policyjne, oglądają twarze, obserwują, wychodzą.

— Czego oni szukają? — zapytałem.

— Sprawdzają, czy szturmowcy opuścili już nocne lokale — brzmiała odpowiedź. — Do północy dosyć zabawy. O dwunastej trzeba iść do łóżka.

Leży przedemną wielka propagandowa księga p. t. „Deutschland zwischen Nacht und Tag“. Przeglądam ją raz jeszcze. Tekstu niewiele, tyle tylko, żeby wytłumaczyć i wyjaśnić liczne fotografje. Ilustracja tego, czem były Niemcy i czem są teraz. Więc dawniej — rudery, w których gnieździ się i tłoczy nędza; drogi rozsypujące się; dzieci bez nauki i bez opieki, trampy; starcy bezdomni, skazani na żebraninę. I oto dalsze ilustracje: w tym czasie powszechnej nędzy, głodu, bezrobocia, co robią tak zwane wyższe sfery? „Modeköniginnen“ — trzy gracje w pięknych sukniach balowych, nóżki widoczne aż za kolanka, miły uśmieszek — to wybrana królowa mody, a obok niej „damy dworu“. Królowa piękności“, „królowa mody“, „królowa rumby“... „Wstyd! Niemcy, jesteście chyba nieprzytomni!“ Zdjęcie obok: wnętrze baru. Młodzi chłopcy leją w siebie alkohol, a przy innej ladzie siedzą rzędem fortancerki, z których nawet jedna, najbrzydsza, w monoklu! Co wyrośnie z takiej młodzieży? Jaki będzie sens jej życia?

Jakby dla kontrastu poniżej widać postać schyloną zdesperowanego żebraka i staruszka strapiona zbiera na drodze kawałki węgla, które spadły z wozów.

Takim kontrastom położono koniec.

Zygmunt Nowakowski w swojej książeczce p. t. „Niemcy à la minute“, wydanej przed kilku laty, opowiada zabawną anegdotę, charakterystyczną dla ówczesnych stosunków. W zapchanym dancingu podczas jakiegoś fokstrotta słychać nagle krzyk: „Uwaga! Komuś upadła na ziemię karta bezrobocia!“ Wszystkie pary przestają nagle tańczyć. Wszyscy tańczący to... bezrobotni.

Dzisiaj taka scena jest już w Niemczech nie do pomyślenia.

Nie dowodzi to, żeby się nie bawiono. Nigdzieindziej nie widziałem tyle zatłoczonych dancingów, co w północnej dzielnicy Berlina, w Dreźnie, Lipsku, Monachjum, Hamburgu... Bawią się. Tańczą. Śpiewają. Piją swoje piwo.

Ale już inaczej. Nie jest to rozpaczliwe opilstwo człowieka, który nie ma nic do stracenia, któremu wszystko jedno, czy swoje nędzne życie przepić, czy przetańczyć. Nie jest to taniec szkieletów, które nie mają co włożyć do ust, a tańczą, żeby o tem zapomnieć. Nie jest to galopada bezrobotnych, którzy za to, że nie pracują, pobierają jeszcze przyzwoite zasiłki...

Pozostała — radość życia. Poprostu.

Organizacja „Kraft durch Freude“ stara się o to i zabiega, żeby robotnik niemiecki miał po pracy godziwą rozrywkę. Teatr, muzykę, książkę, film, taniec, wycieczkę turystyczną...

Dawniej elegancki ruch Berlina koncentrował się Pod Lipami, na placu Paryskim, przy Bramie Brandenburskiej. Od paru lat dopiero najmodniejszą dzielnicą stał się West-end. Tu żarzą się najwspanialsze neony, tu oślepiają oczy błyskotliwe witryny magazynów. Tu króluje zabawa w najwytwor-

niejszych lokalach. „Barberina“. „Casanova“. „Kakadu“. „Rio-Rita“. I wiele innych.

Po teatrze dobrze jest zjeść kolację. Dokąd pójść? Do Aschingera? Tanio, bo tanio, ale więcej niż skromnie. Nieco lepiej dają jeść w słynnych zakładach Kempinsky‘ego. Żyd polski, który przed pięćdziesięciu laty zaczął od niewielkiego handelku.

Więc i tam nie...? W takim razie chodźmy do jednej z licznych restauracyj rosyjskich. „Jar“. „Maxim“. „Don“. Wszystkie do siebie podobne i na jedną modłę. Ach, pani Pulcherja Iwanowa z gogolewskich „Staroświeckich pomieszczików“ klasnęłaby na ten widok w dłonie! W pierwszej sali — sklepik. Można tu zaopatrzyć się w prawdziwe rosyjskie smakołyki. Grzybki małosolone. Kawior astrachański, gruboziarnisty. Sigi wędzone. Przeróżne słoje, słoiki, marmelady, wędliny, słodycze...

W przejściu do restauracji orkiestra rosyjskich bałałajek. Emigranci w białych „rubaszkach“, przepasani wzorzystemi jedwabnemi paskami. Panienka bladolica siedzi przy bębnie i od czasu do czasu podchwytuje cienkim głosikiem melodję ukraińskiej piosenki, a we właściwej chwili kopie obcasem w bęben. Trzech czy też czterech srogich dońskich kozaków pobrzękuje w struny narodowego instrumentu. Bóg wie, czy widzieli kiedy na oczy Don i Rosję...

Ale snobi chętnie tutaj zaglądają z przyczyny pewnej egzotyki. Ta oto dystyngowana pani, która niesie półmisek z bieługą, to pewnie będzie sama księżna Daszkowa... A ten gruby pan z orlim nosem, czytający od godziny „Wozrożdienje“ — organ faszystowskich emigrantów rosyjskich w Mukdenie — to zapewne jakiś carski generał. Wszystko być może... Ale każde wrażenie, doznawane w zbyt częstej dawce, osłabia się samo przez się. Dzisiaj nie przychodzą tu dla oglądania księżnej Daszkowej, ale dla

smacznej kuchni, dla wspaniałego barszczu małorosyjskiego z kaszą greczaną, dla sigi, bieługi, kawioru.

— Ziełajetie wodki? — zapytuje mnie „księżna“. Jej akcent rosyjski budzi we mnie wątpliwości.

— Czy pani jest Rosjanką?

— Ach, nie — mówi — jestem Niemką. Ale nauczyłam się rosyjskiego. Z potrzeby...

Mruga na mnie łobuzersko.

Księżna pewnie nazywa się poprostu Frau Müller albo Schulz. Wobec tego już z mniejszym szacunkiem spoglądam na orli nos, schowany w gazecie. To będzie Herr Müller. Albo Schulz. Biedaczysko, nie zwiedzie mnie swoją lekturą: już oddawna widzę, że gazetę trzyma „do góry nogami“...

Przenosimy się do Rosi. Słynny lokal w demokratycznej dzielnicy Berlina. Tutaj spécialité de la maison stanowią efekty wodne. Pod dźwięki muzyki dziesiątki fontann tańczy, lśni, błyska — wspaniała feerja wody, barw, dźwięków!

Przy każdym stoliku telefon. Sentymentalne niemeczki z zapamiętaniem piszą, kokietują, atakują. Bo jest i poczta pneumatyczna. Panienka, z którą tu jestem, już zawczasu, w domu, przygotowała sobie kilka karteczek maszynowego pisma, zawierających najświeższe dowcipy, bons mots, aforyzmy i uszczypliwości.

W piwnicy jest „Klosterkeller“ — w stylu klasztornym — coś w rodzaju paryskiego „Cabaret du Néant“. Dobre dla snobów, ale smaku w tem niewiele. Usługują służący w habitach, przepasani mniszemi pasami, siedzi się w ławkach kościelnych, na froncie coś w rodzaju ołtarza.

Panienki przewąchały, żem Polak, bo oto już dostaję kilka „czułych“ liścików przez pocztę. Nie, nie można powiedzieć, żeby wiało z nich sympatją dla

naszej nacji... Przeważnie dość trywialne inwektywy, zaczepki, pogróżki... Och, nie tak łatwo w trzy lata narodową antypatję zamienić w sympatję. Ale pocieszam się, że gdzieindziej zato, w Monachjum, spotkałem się z czulszym stosunkiem.

TUSCULUM WIELKIEGO FRYDERYKA.

Taki podwarszawski Wilanów. Tylko nieco może dalej od Berlina. No i na większą skalę. Ale król Jan Trzeci dawno już w grobie, więc nie miał kto od tej pory dbać o rozszerzenie ram królewskiej, wilanowskiej rezydencji. Podczas gdy ostatni władca Potsdamu, chociaż banita, wciąż jeszcze żyje i nie tak znowu dawno rok rocznie po kilka miesięcy letnich przemieszkiwał tutaj z familją. Dzisiaj stale rezyduje w Potsdamie były Kronprinz. Nic więc dziwnego, że wszystko tu jeszcze nosi ślady niedawnej rezydencji monarszej.

Kolejka nabita i napchana. Niedziela. Więc też berlińscy sonntagsreisendery z dzieciskami na rękach, z koszyczkami, z prowiantami, zgrzani, spoceni uciekają z miasta na t. zw. dziś modny weekend.

Jedzie się prawie godzinę. Za nami już Südende, za nami śliczny, ukwiecony Schöneberg. Teraz znowu mijamy niepozorną stacyjkę, ale miasteczko uprzemysłowione — mianowicie, przemysł włókienniczy — miasteczko o dziwnej nazwie: Nowawes. Co za Nowawes znowu? Ano, poprostu, z polskiego „Nowa wieś“ — ślad dawnych osad słowiańskich. Pozostała ta nazwa i kilka czy kilkanaście nazwisk obywateli „Nowak“, „Lubycky“, „Robak“.

Potem jest Neubabelsberg — niemiecki Hollywood — ogromne atelier, oparkanione, przy bramie

strażnik: bez przepustki trudniej tu się przedostać, niż przez ucho igielne. Mamy taką przepustkę, więc wpadamy na małą godzinkę. Pokazują nam sterczące jeszcze dekoracje: domy, ulice, szyldy z filmu „Mazurka“. W licznych ateliers wre praca. Tu nakręcają komedję, tam farsę, tu dramat. Reinhold Schünzel, dawniej aktor komedjowy, pamiętny z filmu „Hrabina Paryża“, dziś reżyser, stoi na jakiemś potężnem rusztowaniu z megafonem przy ustach i ryczy. Filmują właśnie „Amfitrjona“. Oto Willy Fritsch, piękny amant, w roli tytułowej. Oto panna Harvey, świeżo przybyła z Ameryki, eteryczna łątka o alabastrowej cerze: wszyscy znajomi z ekranu.

Biura studjów, biura synchronizacji, w których fachowcy śledzą, aby dźwięk i akcja były należycie uzgodnione, ówdzie małe muzeum botaniczne; pokazują nam dwa gniazda mrówcze, otoczone fosą z wodą, połączone wielkim drągiem. Dwa obozy mrówcze muszą się na tym drągu spotkać. Następuje walka na śmierć i życie. Aparat ją utrwali na filmie dydaktycznym.

Wyruszamy dalej. Potsdam.

Stąd, ze stacji trzeba jeszcze jechać spory kawałek drogi tramwajem. Mijamy łuk triumfalny ostatniego cesarza (czy nie przedwcześnie triumfalny?). Miasto czyste aż do przesady i do zbytku. Jakby lada chwila spodziewano się przyjazdu cesarza. Tak tu się właśnie przyzwyczaili do rygoru, porządku, ładu.

Wysiadamy. Park. Idziemy. To się tak mówi — idziemy. Można po tym ogromnym parku chodzić dzień i noc i jeszcze go nie przemierzyć wzdłuż, ani wszerz. Żwirem sypane szerokie aleje. Olbrzymie okazy dębów, buków, sosen, lip. Angielskie strzyżone trawniki. Za nami i przed nami wyżej wspo-

mniani week=end'odwcy. Pieski skowyczą, dzieciaki beczą, wózki skrzypią na żwirze. Procesja.

Zdala niebawem widzimy wierzchołek historycz=nego młyna. A=a=a! Bardzo kunsztownie jakoś usta=wiony drewniak na masywnej, betonowej podsta=wie. Skrzydła już zębem czasu draśnięte, tu i ów=dzie z powyłamywanemi szprychami, ale naogół młyn zakonserwowany wybornie i jeszcze swoje wrażenie na zblazowanych turystach wywiera.

Guide, czyli po polsku oprowadzacz, z patosem przypomina czeredzie słynną legendę o dobroci ser=ca Fryca, który młynarzowi ustąpił i młyn zostawił, chociaż mu aspekt ogromnie zasłaniał z cudnego, ro=kokowego Sans=Souci. O dziesięć kroków pod górą mamy go teraz przed sobą. Dokoła kwitną magnolje, rabaty tęczowe kwiatów tworzą całą feerję barw. Fontanny tryskają przeróżnemi zygzakami, a krople wody w słońcu nabierają kolorów szmaragdu.

Żeby zwiedzić pałac od wewnątrz, wykupujemy bilety. Nakładają nam na nogi jakieś pokraczne su=kienne saboty i tak froterując suniemy. I tu dopie=ro okazuje się, że można było nie jeździć i nie oglą=dać. I tu dopiero okazuje się, że wspaniała i ścisła do najdrobniejszych szczegółów jest inscenizacja „Wielkiego Fryderyka“ w interpretacji genjalnego Ludwika Solskiego.

Solski parokrotnie jeździł do Sans=Souci na stu=dja terenowe. Badał rozkład sal, ich architekturę, szperał we fryderycjańskich foljałach, własnorękcz=nie oglądał flet królewski, który tu spoczywa razem z innemi pamiątkami Wielkiego Fryca. Nie potrzeba też powtarzać za Eugenjuszem Soiskim, że wszyst=kie „rekwizyty“, co je ma Solski na sobie, nie są re=kwizytami. To wszystko są rzeczy oryginalne. Ory=ginalne ordery, pierścienie, stroje. Część kupił u ber=lińskich kunsthändlerów, część poprostu od przyja=

ciół niemieckich wycyganił. Jedna tylko Bisza nie jest oryginalna...

Więc kiedy tak sobie stoimy z kuzynem w tej Marmurowej Sali i spoglądamy w ogród przez wielkie okno weneckie, to zdaje się, że za chwilę usłyszymy własnoręczny werbel Solskiego, stuk głuchy fryderykowskiej pałki, chichot sardoniczny króla i szept jego gwardji. Może właśnie powracają z pogrzebu Biszy?...

A tutaj znowu jest słynny pokój Woltera. Stylowe, możnaby rzec „zbiorowe wydanie" bajek La Fontaine'a. Meble kryte adamaszkiem, na którym subtelne ornamentacje ptaków, zwierząt — ilustracja bajek. Pośrodku sufitu arcypiękny pająk: majstersztyk meisseńskiej porcelany. Takież kunsztowne farfurki — wazony, oprawy zegarów i luster na tle jasnej buazerji ścian.

A guide wciąż gada i gada. To jest królewski flet, który król bardzo lubił, do rozpaczy tą muzyką doprowadzając biednego filozofa... A oto królewska bibljoteka. Książki, w skórę oprawne, ze złoceniami, przeważnie atoli francuskie. Diderot... D'Alembert... Monteskjusz... Woltera pełne wydanie z dedykacjami dla Fryderyka. Nie brak także ewangelji króla — „Il Principe" Macchiavellego — król przez całe życie kierował się aforyzmem „dovete adunque sapere come suo duo generazioni da combattere: bisogna esse volpe e leone"...

Między salonami jakieś minjaturowe, ciasne i ciemne antiszambry — pewnie w takich właśnie godzinami przesiadywał na służbie młody kornet von Krasicki, marząc o nadobnej von Gockovsky... A owdzie królewska sypialnia. Prosta, jak wszystkie sypialnie królów i cesarzy. Podobnie wygląda sypialnia Franciszka Józefa w Schönbrunnie — zwykłe drewniane łóżko, komiczny nocny sto-

liczek pod ręką, żadnych landszaftów, obrazków. Gładkie ściany. Tak samo wyglądała sypialnia Mikołaja Drugiego w Zimowym Pałacu — aż ponuro, tak surowo. Tylko tam dziesiątki świętych obrazków i ikon na ścianach, poprzyklejanych byle jak, naprędce, szpileczką, albo pluskiewką. (Tutaj świętych obrazków nigdy nie bywało. Fryderyk był ateistą).

To sobie nawet można wytłomaczyć: monarchowie, zmęczeni otaczającym ich wciąż przepychem, blichtrem — spać woleli wśród gołych, gładkich ścian.

Sala balowa, sala marmurowa, sala błękitna... Sonntagsgäste froterują najjaśniejsze posadzki, zadzierają głowy i patrzą na wszystko z zachwytem. Entuzjazmujące się Niemeczki pokrzykują na widok bronzów, wazonów, luster. A powtóre — wszakci to tutaj właśnie, po tej samej posadzce, człapał w rannych, filcowych pantoflach Wielki Fryc, obmyślając środki dla stworzenia przyszłej potęgi Prus i Rzeszy...

A ja jednak myślę sobie o tych jego biednych gościach, którym amfitrjon płatał psie figle, eskamotował jednemu biskupowi ordery i odbierał rzadkie aplegiery jego famulusowi, znęcał się z szatańską i małpią złośliwością nad Wolterem, nie mówiąc już o własnych jego generałach i dostojnikach.

W jednym z dawnych potsdamskich pałaców mieszka cicho b. Kronprinz, jako osoba prywatna.

A w drugim, sąsiednim, w Wildpark, mieści się państwowa szkoła dla kierowników i instruktorów państwowej Służby Pracy.

Eugenjusz M. Schummer.